













N<sup>o</sup> 340

*Wielkowski*  
RAMOTY I RAMOTKI

LITERACKIE.

*Madziara*



043-8

*Handwritten signature*

*Handwritten signature*



342 870

# RAMOTY I RAMOTKI LITERACKIE

napisal

*Ant. Wi.*

chirurg filozofa



**TOM I.**

**WARSZAWA.**

W Drukarni pod firmą J. KACZANOWSKIGO  
przy ulicy Długiej Nro 543.

1845





14317

*Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby  
egzemplarzy.*

*w Warszawie dnia 5 (17) października 1844 r.*

*Cenzor Starszy i Naczelnik K. C.*

*Niezabitowski.*



507045





O!... to mój nos!... patrzcie co za nos!  
Jest w nim twórczość! jest i wieszczą głos!  
Jest w nim um!.. jest geniusz! — są ślady wielkości!  
Daję go na wystawę, — na ołtarz wieczności!...







W uśmiechu każdym zapałem siebie,  
Zapałem gorycz, com ją wciąż pił,  
— Raz tylko jeden na mojem niebie  
Promyk radości jasno się lśnił.



It is a very common mistake to suppose that  
the first of these is the same as the second.  
The first is the name of the person who  
has been killed, and the second is the name  
of the person who has killed him.

## PRZEDMOWA.



— *Co jest przedmowa?....*

— *Jest to obmowa czy obmówienie a raczej omówienie dzieła.*

*Gdy autor nie ufa aby bez pomocy rzecz zrozumiano, natenczas przed rozpoczęciem dzieła, objaśnia, przysposabia niedołęznego czytelnika, czyli omawia dzieło swoje;*

— *gdy twierdzi że jego poprzednicy w tymże samym przedmiocie pisali niedokładnie i mylnie, a zapewnia że on pisał dokładnie i bez pomyłki, także dzieło swoje obmawia;*

— *gdy znów poczuwa się do niedokładności a uniewinnia się ze spodziewanych zarzutów, również dzieło obmawia.*

*Taka gadanina jest po największej części bezużyteczna a zawsze nudna, — przewlekłością zaś staje się niecierpliwiąca i przypomina koncertanta, który na scenie stroi instrument. Ale nierównie nudniejszą jest sprawa gdy autor do omówienia dzieła, dołączy wprost pochwalne a bezpośrednie omówienie swojej osoby, n: p:*

— że ogromne pokonywał przeszkody; że nie zaspokojenie miłości własnej, ale wyłącznie dobro ogółu było jego jednym celem;

— albo że nigdyby pracy swojej światu nieogłaszał, lecz gwałtowne nalegania przyjaciół zmusiły go do wy-nurzenia się z ukrycia;

— albo gdy oświadcza, że mając nieco czasu i nieco usposobienia, wolne od obowiązków chwile poświęca, ni-by to z wielkiej łaski, na użytek powszechny;

— albo gdy czyni najczulsze (a najpocieszniesze) pożegnanie z najmiłą, z najukochańszą książeczką swoją, którą nazywa swoim najdroższem dziećciem, skar-bem, klejnotkiem i t. d.....

Cóż więc rzeczywiście jest przedmowa?...

— Jest to przysionek książki w którym autor, jeży czuprynę, (a jeżeli nie ma czupryny?... — w ta-him przypadku gładzi łysinę) poprawia kołnierzyki, ogląda swoje ubranie; puszy się i nadyma, albo łasi się i pokorzy przed wystąpieniem na scenę publicznego objawu.

Mamże więc pisać do moich Ramotek przedmowę?...

— Obejdzie się najzupelniej. — Ależ ja w ogłoszeniach na przedpłatę, oddawna przyrzekłem przedmowę, a nawet walną przedmowę. — Rób jak Ci się podoba. — Już wiem co począć, aby był wilk syty i koza cała, — to com napisał o przedmowach niechaj posłuży za przedmowę, a że krótka, tém samem jest walna; — czego nikt z rozsądnych literatów nie zaprzeczy.





## GŁOS PIERWSZY

### Do Czytelników.



*O wy duszy mojej najmiłsze perełki! Czytelnicy! wy którzy mnie w życiu autora, od największej uwalniacie boleści, pozwólcie przede wszystkim niechaj was uściskam i ucałuję, niechaj się z Wami popieszczę, niechaj Was do serca mojego przytulę, niechaj Was łzami przywiązaniu i miłości zroszę, pokropię i obleję.*

1) Przybliź się do mnie łysy filozofie, — bliżej — bliżej — daję Ci błogosławieństwo na drogę badań: przeczytaj z uwagą 6 tomów moich Ramot i Ramotek, a niezawodnie schwytnie wiesz, widzę i — um.

2) Przybliź się ogorzały rolniku, klękaj i odbierz moje błogosławieństwo, a pojmiesz, że jak jesteś pierwszym ogniwem życia narodu, tak starać się winienes, abyś nie był ostatnim w życiu umysłowym; niechaj Cię nie sama Ceres, ale i Minerva promieniem łaski swojej ogrzewa; — bądź reprezentantem uczuć najszlachetniejszych, bądź filarem cnót narodowych, bo jesteś sercem narodu.

3) Przybliź się do mnie osiwiały prawniku! daję Ci błogosławieństwo na drogę sprawiedliwości, — niechaj Cię Jehova strzeże od matactwa i krętaniny, czytaj moje

*Ramoty i Ramotki, znajdziesz homeopatyczne ale niesfałszowane krople prawdy.*

4) *Chodźcie tutaj przemysłowcy! — odpocznijcie po waszych uczciwych zabiegach i niecnym szachrajstwach, klękajcie na grochu i na tatarce, bo dużo jest grzechu w życiu waszém. Chuć pieniężna obsiadła serca wasze, znieczyściła umysł, stąd największą część swoich uczuć daliście na lichwę złota. W V. tomie moich Ramotek sprawię wam łaźnię, tom I i II przeczytajcie dla rozrywki.*

5) *Płci piękna! proszę, bardzo proszę — niechaj Aśki będą łaskawe bliżej przystąpić. Oczki na dół, usteczka na sznurek, rączki na krzyż. O! tak pięknie. Cóż Aśki chcą?..... romansu?..... he?..... W I i w II tomie bardzo mało romansu, w następnych będzie więcej. Czytajcie tymczasem co jest, nie zapomniałem i o was gotówki.*

6) *Kawalerowie! marsz! marsz!..... Stój! równaj się, oczy na prawo, nosy na dół... uszy do góry!....*

*Mości balbierzu do apelu.*

*— Lala?! — jest.*

*Wiercipięta?! — jest.*

*Lampart?! — jest.*

*Dandy?! — jest.*

*Pływacz vel kłamca?! — jest.*

*Opryszczek?! — jest.*

*Lew?! — jest.*

*Długouchy?! — jest.*

*Nie brakuje żadnego, idźcie na kwatery i czytajcie moje Ramoty i Ramotki.*

*Dzieci po cóż się ciśniecie?... w cielecia nigdy nie orzą, — nie dla was Ramoty — ruszajcie do grammatyki.*



## GŁOS DRUGI

### Do Czytelników.



*Praca naukowa stała się w XIX stuleciu najznakomitszym, najpięrszym zaszczytem człowieka, ale wten-  
czas tylko, gdy się objawia czynem, gdy ją oddajemy  
w życie narodu; — to zaś, co Łacinnicy wyrzekli: «et  
voluisse sat est» żadnej dzisiaj nie ma wartości; — i  
choćby najcnotliwsza chęć, gdy w sercu jest zamknięta,  
choćby najwniosłejsze pomysły, gdy je w milczącym  
mózgu więzimy — mówiąc utartym wyrazem — psu na  
budę się nie zdadzą.*

*Tę prawdę przenikniony zamierzyłem pisać, — ale  
co pisać?... i jak pisać?... trafiłem na miejscowy sęk,  
szczególniejszej twardości. Złożywszy naradę z mem ser-  
cem i z mym rozumem, postanowiłem pisać to, co czuję,  
i pisać tak, jak umiem. Co do pierwszego — jestem w najzu-  
pełniejszej zgodzie z mojem sumieniem; co do drugiego,  
zaklinam się na Minerwę, że chciałem pisać rozumnie,  
ale cóż, kiedy umysł mój zbyt często zmuszanym był*

odrywać się do walki zewnętrznej, a w takich przypadkach na sposobną chwilę czychające głupstwo, skwapliwie zakradło się do mojego pióra, i tak się starannie ukryło, że go dotychczas wysledzić nie zdołał. Otóż więc Czytelnicy, gdy głupstwo w mych pismach napotkacie, proszę was i błagam — bez żółci, bez gniewu, niech każdy w swoim egzemplarzu głupstwo ołówkiem wykryśli, a będzie miał egzemplarz bez głupstwa, i może go powtórnie z niezamąconym pożytkiem odczytać. Czy zaś wszystko jest głupstwem, co się każdemu z was głupstwem wydawać będzie, to znów inne pytanie, na które ja odpowiadać nie myślę, bobym Was może obraził, a to byłoby niewdzięcznie. Niemniej przeto objawię, co ja w książce głupstwem być sądzę:

- a) gdy ogłaszane myśli są o tyle z prawdą niezgodne, że stają się zasadom moralności przeciwne;
- b) gdy autora nikt zrozumieć nie może;
- c) gdy piszący obrat przedmiot za granicą swoich wiadomości;
- d) gdy obrazowanie jest sprośnem;
- e) gdy ramotka jest bez żadnego celu.

Tych to zarzutów uniknąć pragnąłem, mniej bacząc na inne. Otóż i koniec drugiego głosu do Czytelników.







## Pańów Krytyków.



Jest bardzo wielu u nas ludzi, którzy nie pojmują żadnych dobrodziejstw krytyki, którzy w krytyce nie widzą nic więcej, jak nałogową złośliwość, którzy się brzydzą i krytyką i krytykami; — są to Osły przez wielkie O. — Podług mojego zdania, krytyka jest słońcem, pod którego promieniami podłe zielsko usycha, a użyteczne ziarno najpomysłniej wzrasta; jest najpierwszym warunkiem umysłowego życia, a w swoich skutkach zbawieniem człowieka. — Nieszukając zbyt odległej starożytności, popatrzmy się na te wieki średnie, dzisiaj jeszcze przez zardzewiałe głowy tak bardzo chwalone, — ileż tam przesądów, niktzemnych śmieszności i zbrodni istniało?.. i któż ten wielki gmach podkopał?.. kto zwołał tysiące rąk do obalenia potwornego kolo-

su?...zaprawdę była to krytyka. — To wszystko czém się w XIX stuleciu sprawiedliwie chlubimy, jest dziełem krytyki. Należy się więc najgłębsze uszanowanie krytyce. — Odmienną nieco jest sprawa krytyków, bo pomiędzy kapłanów prawdy namieszało się mnóstwo niepoświęconych lajków, co fuszerską praktyką kalają boskie pośłannictwo jenijalnych mężów. Wpóśród nas niestety! (zjadł pies kotlety), z latarnią szukaj krytyka zasługującego na to wielkie imię, — natomiast partaczy frymarczących słowami nagany lub słodkiej jak miód pochwały, znajdziesz na tuziny, na kopy, na setki, — i o mało że nie tysiące; — zarozumiałych marzycieli jest pełno, rozumnych myślicieli niewielu; — sprawiedliwych sędziów na palcach policzysz, i jeszcze ci kilka próżnych palców zostanie, szarlatanów — nie obdzieliłbyś siercią z największego wielbłąda.

Dotąd mówiłem w ogólności, a teraz mówić będę w szczególności, o tak nazwaną krytyce literackiej, i o tak nazwanych krytykach literackich.

Krytykę literacką dzielę na dwa główne rodzaje:  
na podmiotową  
i na przedmiotową.

*Krytyka podmiotowa*, a takiej jest najwięcej, traktuje o formie, o akcyi, o tle, o kolorycie, o romantyczności, o klassycyzmie, o węzłach, o intrydze, i o effe-kcie.

*Krytyka przedmiotowa*, a takiej jest bardzo mało — bada ducha, śledzi logikę, i szuka celu książki.

Krytycy podmiotowi, którzy wzięli za hasło bajac jak *Piekarski na mękach*, dadzą się tylko uszykować, albo alfabetycznie, albo podług starszeństwa wieku, lub też podług prowincyj, — gdyż co do pojęcia, od r. 1832

żaden żadnego nie prześcignął. Aby się nie przestraszyć zbyt długim szeregiem, policzmy ich na prowincje. — Od których że więc zacząć?.. Jakoś Małopolska, Litwa i Żmudź razem się cisną pod pióro, ale Ukraina i Wołyń na całe gardło wrzeszczą o pierwszeństwo; Gallicya i Kraków, niechcą być ostatniemi, a moi Wielkopolanie z kochaną Rzeszą, także się sierdzą — trudna rada! niewiem jak sobie począć?..

No, wiecie co? już was ani podług prowincyj, ani podług jeneralnego alfabetu, ani podług starszeństwa wieku wymieniać nie będę, *lecz rączka rączkę myje*, i wy także Piekarscy nie bajajcie nic złego o moich Ramotach i Ramotkach. — Bez waszój pomocy wiem dobrze, że w moich Ramotkach wiele podmiotowych bąków nastrzelałem, ale *sza*, ani *mrumru* o tём; — chcecie koniecznie bajać, to bajcie pochwaty, tylko nie skąpo, po bratersku, całą gębą, pełnem piórem; — a jeśli się który z przedmiotowych krytyków z naganą odezwie, czego się w najlepszej wierze niespodziewam, w takim nadzwyczajnym przypadku, krzykniecie razem, «to zazdrość! to intryga! to potwarz! Au: Wi: był jeniuszem! jest jeniuszem; i będzie jeniuszem! Au: Wi: jest oryginalnym, wielkim, najznakomitszym, niezrównanym, *ludowym* pisarzem! Możecie nawet dodać, «*nieśmiertelnym!*» Tak! tak! krzyczcie, że jestem nieśmiertelny!.. Ach Boże! co to za rozkosz być jeniuszem nieśmiertelnym!.. A wiecież wy co to jest jeniusz nieśmiertelny?!.. he?.. niewiecie?.. ja także niewiem, ale mniejsza o to, czy wiemy, czy niewiemy, dosyć że tych przedmiotowców zarzucicie czapkami, — hu — hu! — górą *Piekarscy!*





## Najszanowniejszych Prenumeratorów.



Ile razy zdarzyło mi się napotkać spis prenumeratorów na czele, lub co gorsza na plecach dzieła, zawsze byłem ciekawy dowiedzieć się, jaki cel w drukowaniu tego spisu uczony autor założył?.. bo przypuścić nie mogłem, aby to czynił dla zwiększenia objętości materjalnej tylko. — Jeżeli przez ogłoszenie pięciozłotowych nazwisk z imionami i z tytułami, zamierzył swoim niejako chlebodawcom wdzięczność okazać, należało coś do nich przemówić — np. «O! wy! którzy! przez namowy, przez nalegania, przez stosunki pokrewieństwa, powinowactwa, przyjaźni i znajomości, daliście po 5 lub po 10 złotych na papier i druk mojego dzieła, niechaj wam w tém doczesnem i w przyszłym życiu, — *«rajskie świece świecą»* — albo: «O wy! pośrebrza-



ne filary kwestującej literatury, przyjmijcie drukowany hołd rozczulonego autora» i t. p. Ale zacząć od Adama a skończyć na Zenonie, nie rzekłszy do nich ani słowa, w tém zaprawdę żadnego *sensu* nie znajduję.

Nadto rozumiem, że każde dzieło drukuje się albo celem wyłonienia myśli filozoficznych, albo dla objawu uczuć sentymentalnych, albo na melancholiczno-praktyczny użytek, lub też nakoniec dla rozweselenia skłopotanych animuszów, a nigdy dla zaznajamiania z literami nazwisk osób, czytelnikowi po największej części zupełnie obojętnych. — Cóż dopiero za przysługa, gdy umieszczą nazwiska na jakie ja przed 18 laty w spisie prenumeratorów na jakąś okropną trajedją, nieszczęśliwie napotkałem, to jest na jakiegoś pana Witalisa Rozszczęszczypczykoczykowskiego A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R. i na jakąś Rulikuligulipulikowikiewiczównę sędziankę. — Bóg łaskaw, żem sobie przy pierwszém nazwisku języka zębami nie skaleczył, a przy drugim nieprzewrócił, a com sobie głowy nałamał nad owemi pojedynczemi literami «A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R.» aby się dowiedzieć jaką to godność pan Witalis Rozszczęszczypczykoczykowski piastuje?.. byłem w ówczas młody, a więc ciekawy, pomnę że trzy noce nie spałem, jednakże do dziś dnia niewiem co ten alfabet znaczy.

W innym zaś spisie prenumeratorów, czytając:

Myks b. urzędnik komory pogranicznej,

Buch b. kapitan artylleryi,

Psik, artysta dramatyczny,

mniemałem że autor ze mnie żartuje, stąd obrażony, dzieło jego rzuciłem na stronę. —

Najszanowniejsi prenumeratorowie Ramot i Ramotek Literackich, — ani nazwisk, ani imion, ani tytułów

waszych nie wymienię, bo sędzę, że z wyższych pobudek pospieszyliście z przedpłatą na druk oryginalnie po polsku napisanych książeczek — z pobudek szlacheńszych, aniżeli jest chęć widzenia swojego nazwiska gołosłownego, drukowanego na bibule, zabierającego bezpożytecznie miejsce wyrazom myśli, wyrazom uczuć, spostrzeżeń, nauki lub rozrywki. *Z uczucia obowiązku* wspierać piśmiennictwo krajowe, bez chęci błyszczenia pieniężnem nazwiskiem, jak było zawsze, chociaż i w najszczuplejszej możności zakresie, sprawą pocziwą, tak obecnie jest najpierwszą, — dla tego oddaję wam cześć, i przyrzekam, że w późniejszych moich pracach będę pilniejszym, a więc użyteczniejszym.



# **CIENIOM TEGO MĘŻA**

**KTÓRY ATRAMENT VEL INKAUST WYNALAZŁ,**

**PIERWSZY ODDZIAŁ MOICH RAMOTEK**

**w dowód wdzięcznego uwielbienia, poświęcam.**

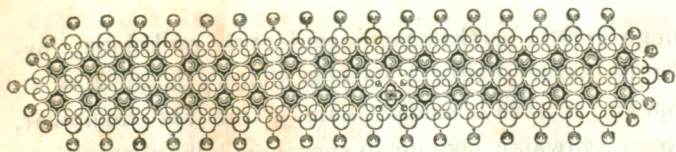
*Acu. Di.*











## WSPOMNIENIE SKOLNE.



„Co się dzieje w szkole, niepowiadaj choćby cię smażono w smole!” — niewiem czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa, w wielkiem mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem — przed dwudziestu laty, za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawiał.

Byłem dopiero w klasie trzeciej oddziale pierwszym, gdy przybył z Gietynki, (niepamiętam czy doktor filozofii czy nie doktor — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi professorami) pan Berendt, i objął katedrę literatury niemieckiej w Gymnasyum Poznańskiem. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionej postaci, nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustę czar-

nego koloru, a u kamaszy sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików — mówię wyraźnie siedm, bom je nie raz rachował, przemyслиwając, jakimby to sposobem kilka oberżnąć;— zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moję figlarną na zawsze utrwalić:

„O! ty co bujasz wesoło po jasnej niebios przestrzeni,  
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,  
Serce cię moje chwyciło,  
Wysoka chwało!“

Co za tryumf!?!...gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć — już nawet skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha professor, i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego mój powieści celu: — siódmego Stycznia, nazajutrz po trzech królach, przybiegłem rychło do zakrystyi, pragnąc służyć do mszy studenckiej, — a lubo nie hardzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tylko końcówki: »per Dominum Deum nostrum«—*sanctae*» głośno wymawiałem— jednakże natomiast, potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę — aż tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo. — Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

— Rozumiesz ty co ten Berendt szwargoce? *»die erste Abtheilung der deutschen Litteratur — ruhig — ruhig — i zawsze ruhig — zupełnie jak gdyby kto szczotką po uszach drapał.*

— ~~Waj~~ Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął — „hajdamaku!“ — na całą godzinę było cicho, i chociaż



często dał żelaznych karmelków (1) milęj przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfuss to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on też uczony! Kaulfuss i Cassius, należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta zrozumie? — zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił — «pierwszy oddział literatury niemieckiej pocyna się...

— Ej gadasz, on nas pierwój powinien nauczyć grammatyki — wokabuł — a potem dopiero rozprawiać o literaturze. — Słuchaj Auguście! zrobmy mu dzisiaj figła; jak on zacznie «ruhig» to my się odezwiemy «Stille» tylko tak aby żadnego nie spostrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego, ty wiesz?...

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystyi, tylko poprośmy Walentego.

(1) Był to przez rektora szkół Poznańskich, przez księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszej. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku, — zwykł mawiać „dostałem świeże Lesłowskie z Warszawy karmelki“ i serdecznie kluczem który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. — Bolało to, pamiętam, bardzo — Panie święć nad jego pocziwą duszą, miał on ksiądz nader groźną minę — marszcząc czoło, jeżył czuprynę, fukał, dawał karmelki aż czasem łapetka spuściła — a przecież my go z całej duszy, z całego serca kochali, i wiedzieliśmy dobrze za co go kochamy.

«Mój kochany Walenty dajcie—dajcie — mnie — i mnie» jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystjan dał każdemu z nas po odrobince żółtego wosku.

— Poważnie ozwały się organy—miły śpiew choralny rozległ się po Świątyni Pańskiej, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga — we farze Poznńskiej—siedmset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę—bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, — nauczycielom troski i znoje nagroził. — Byłem i ja w pośród modlących się, zapomniałem o Berencie—myśl pozbyła się swawoli—pobożnie patrzyłem się na obrządek mszy świętej—i dopiero gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio — «czy masz wosk?»—«mam» odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyty moje.

Od 8-ej do 9-tej był język polski — poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego: słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. — Gorliwy w służbie stary pedel Schal, zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął professor Berendt.—Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej jak siedm; — rachuję u lewej — niedowierzam oczu moim! o radości! — sześć tylko. — Prawił tym czasem pan Berendt o Wilandzie, myśmy wosk z kieszzonek wydobyli.

«Ruhig» — «Stille» ozwało się po różnych klasy stronach, kilka piskliwych głosików.

— Was ist das?

• Harmonija woskowa zagrała —

— «Du ungezogener Bube» — schwycił mnie za kołnierza granatowego spancerka i silnie za drzwi wyrzucił. — Świeże powietrze owiało mnie; — Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiała się, mówiąc: «już to znów na pokucie» — Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając jak się tam moi koledzy popisują — i kiedym się dziwił spokojności jaka w klassie panowała, — ksiądz Antosiewicz przechadzający się po dziedzincu, do mnie zagadał: «A cóż wilczku wygnali cię z kniei — pewnoś baranka dusił? — «Nie księżo Professorze! jam nic nie robił — (i skrzywiłem twarz moję w grymas płaczu) tylko pan professor Berendt opowiadał nam że Kopernik był Niemcem — a wszakże ksiądz professor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.» — Zarumienił się ksiądz Antosiewicz — roztworzył na rozciecz drzwi klassy, i popychając mnie na przód, z przyciskiem wyrzekł: Kopernik był Polakiem — jest to rzeczą dowiedzioną, i żadnej nie ulegającą wątpliwości — proszę pana professora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Gietyndze ale nie u nas.... i wychodząc drzwi za sobą zatrzasnął. — Berendt stał nieporuszony i niemy; — łoskot grzmotu nie jest tak głośnym jak był śmiech i wrzask siedmdziesięciu chłopców! — «Aha! sehen Sie Herr Professor! — nie będę marzył na zimnie» i wyszczerzyłem zęby. — Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi, ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.



Cóż? — zapytał przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika. — Książd professor ledwie wyszedł — on zaraz powtórzył że Kopernik był Niemcem — i że się Polacy niesłusznie przyznawają.... Nie dał mi dokończyć książd dziekan — trzęsąc się ze złości wnosi mnie za kołnierz na powrot do klasy, i w najwyższém uniesieniu zawołał: — Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie — a jeżeli nam pozazdrościli.... «Was wollen Sie damit sagen Herr College!» — «Kopernik war ein Pole!» W tém ukazał się ówczesny rektor Kaulfuss: rzecz się wyjaśniła, — cenzor klasy zdał świadectwo, — pogodzili się przeciwnicy — i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwolcie łaskawi czytelnicy że zamilczę — bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboka myśl tych wyrazów «co się dzieje w szkole nie powiadaj! choćby cię smażono w smole!» do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo — długo po tém zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie Wrocławskim, moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często «czy Kopernik był Polakiem?»

Patrząc tu w Warszawie na pomnik tego wielkiego męża, szybko omijam to miejsce. — Wczoraj przy ulicy Senatorskiej spytał mnie jeden z dawnych znajomych «czy Kopernik był Polakiem?» — Łzy zapełniły oczy moje — było to wspomnienie z lat daleko ubiegłych — z lat młodości i szczęścia.



# **SPOSTRZEŻENIA**

**NAD MORALNEMI CHOROBAMI XIX STULECIA**

**O KOŁOWACIZNIE LITERACKIEJ.**



ДНЕВНИК

ДНЕВНИКЪ СЪДЪРЖАЩЪ ИСТОРИЯТА НА

НАРОДА НА БЪЛГАРИЯ





## SPOSTRZEŻENIA

NAD MORALNEMI CHOROZAMI XIX STULECIA.



### *O kołowaciznie Literackiej.*

Kołowacizna, kołowrot, kręcik, (*policephalus rationis nigrae*) choroba dzisiaj nadzwyczaj ząęszczona, wedle ścisłych badań, przeszła do rodu ludzkiego wprost od owiec.

Kołowacizna owcza (*hydrocephalus, hydatyteus*) ma swoje siedzibę w jamie czaszkowej; — toż samo i u ludzi w mózgu się ząęździła. U owiec są 4 główne rodzaje téj słabości: 1) Chora owca zatacza się w rozmaitych kierunkach, chwieje się, ale w górę nos podnosi, i zwaną jest żęglarzem: 2) Za-

tacza się w jedną zawsze stronę i w kółko obraca, głowę i kark zwiesza, na bok ją wykręcając; — powszechnie nazywaną jest *kręcikiem*: 3) Biegnie szybko naprzód, kłósem, z opuszczoną głową, potyka się, i upada;—nazywaną jest *kłósakiem*: 4) Kręci się w lewo i w prawo, podskoczy i stanie słupkiem w odrętwieniu, które i pół godziny trwać zwykło; — nazywają ją *warijatem*. Ostatni rodzaj jest najniebezpieczniejszy. W ogóle, choroba ta u owiec powiększej części niewyleczona, należy do zapalnych, powstaje z niestosownej zmiany karmy, z niezdrowego powietrza w owczarni, z upałów południowych, lub jest spadkową. Zaradcze środki wskazał nam w Weterynaryi Popularnej, zasłużony w agronomii, czcigodny J. N. Kurowski.

Przedmiotem naszych uwag jest kołowacizna literacka;—jawi się na wszystkich drogach *wiadomości ludzkich*, a policzyć jej rodzaje, przechodzi granice możliwości jednego człowieka. Niosąc na ołtarz wspólnego pożytku częściowe spostrzeżenia, daleki jestem od tej zarozumiałości abym sądził że całość stworzyłem, że doskonałość jest pracy mojej udziałem;—raczej pragnę wywołać zdolniejszych mężów do zastanowienia się nad kołowacizną literacką, bo wszakże, gdyby każdy z mistrzów w swoim oddziale młodemu pokoleniu wyjaśnił przyczynę kołowacizny, i wskazał zaradcze środki, iluż to żeglarzy, *kręcików*, *kłósaków*, i (najniebezpieczniejszych) *wariatów* wczesne znalazłoby ocalenie, a świat o ileżby spokojniej oddychał?...

Przed wszystkimi innemi rodzajami, kołowacizna filozoficzna obecnie najwięcej i najszkodliwiej poku-



tuje i to w dwóch zupełnie sobie przeciwnych kierunkach.

Filozofija jest dążeniem do prawdy, a zatem jej wyjaśnieniem; głównie zaś polega na ujęciu w obręb najściślejszych definicyj tego wszystkiego, co z natury swojej zdaje się leżeć po-za wszelkiem orzeczeniem.

Zapytałby może niejeden, dla czego koniecznie taka transcendentalność ma być przedmiotem prawdziwej filozofii? dla czego nie opiera się raczej na praktyczności, na rzeczywistej stronie życia? i jaka przedewszystkiem może wypłynąć korzyść z badań metafizycznych, których raczej treść do teologii i do niezłomnej wiary w objawienie należy?

Otóż macie jeden główny systemat choroby filozoficznej. Niestety! stają na cudzym gruncie, walczą cudzą bronią, wyrzekają cudzym językiem, i o tyle tylko od istotnych odróżniają się filozofów, o ile ich rzecz jest bez związku i przed logicznością ucieka. Cała bowiem ich nauka, jest to miotać obelgami na obszar nauk filozoficznych, których tém samém nie pojęli; jest to poddawać się pokornie pod obce, czyjeś wyrzeczenia; jest to zaszczycać imieniem niemoralnych i bezbożników tych wszystkich, którzy na drodze spokojnego badania, jakkolwiek prowadzeni skazówką objawienia, dochodzą szczytnych początków ducha wszechświata i ducha człowieczego. Dobrze to pojęli twórcy najnowszych systematów filozoficznych, kiedy logikę w jedno złączyli z metafizyczną dziedziną; przewidywali bowiem, że nadejdą kiedyś kołowate półgłówki, co chcąc napastować w filozofii stronę czystą, transcendentalną, nie potrafią jej oderwać od cudownie ułożonego biegu logicznego, a więc walcząc przeciw-

filozofii, walczyć zarazem będą przeciwko zdrowemu rozsądkowi i jego następstwom.

Pytamy, czy ktokolwiek może nieupatrywać w podobnym stanie usposobienia umysłowego, wyraźnej, najzupełniejszej choroby umysłowej? Przeciwnicy rozumu, dowodów swojej nieprzyjaźni na drodze samegoż rozumu wyszukują: takich to *mizologów* filozoficznych do pierwszego rodzaju kołowacizny zaliczymy.

Do drugiego należą ludzie o słabych żołądkach a nie poślednich apetytach, którzy połknąwszy nieco najrozmaitszego pokarmu spekulatywnego, strawić go jednak nie mogą. Młodzieniec zbrojny kilku tuzinami myśli i zdań oderwanych, ubogi w nauki ściste, a naukom przyrodzenia zupełnie obcy, w zamian których opatrzył się w dykcjonarz kaptańskich mistrza wyrażen, stąd pewny zwycięstwa, maszeruje groźnie do zdobycia szturmem, wiedzy w jej absolutnem stanowisku; — ale niestety! z braku przysposobienia się do walki, na pierwszym szczeblu traci wszystkie zdrowe zmysły, na drugim dostaje zawrotu głowy, z trzeciego upada kołowatym! i zaiste nie żeglarzem, nie kręcikiem, nie kłósakiem, ale w zupełności warijatem. Jako taki, gada od rzeczy, po kilka dni zostaje w odrętwieniu — potem nagle wpada w szalony zapał, — pierwsze lepsze okresy z Arystotelesa łączy z myślami Kanta, ogólnik Platona stawia za pewnik matematyczny, i z tej mieszaniny, tworzy chaos najdziwaczniejszych wniosków, przy którym sprawa w naszym Osieku, a nawet wiekopomny nieład przy budowaniu wieży Babel, pierwszeństwo utracają; — i ten to chaos obiera i przyjmuje za oś ostatecznej doskonałości, i z pogardą lub z litością spogląda na niepojmujących jego systematu, niebacząc,

że on sam siebie, tylko w chwilach gorączki rozumieć się zdaje. Biada temu kto jego rozpraw i dowodzeń słuchać jest przymuszony, — a stokroć biada temu, co się w jego pisma zagrzebie, bo przy najsilniejszym organizmie mózgowym, dostanie nieochybnie zapalenia, albo mu nerwy łączące rozum z sumieniem nieodzownie pęknąć muszą.

Poznaki kołowego filozofa są:

1) W każdym technieniu pełno zwierzchniej uczo-  
ności, a w każdej myśli pełno głupstwa.

2) W ciasnych położeniach nagła i najłatwiejsza  
zmienność zdania.

3) Używanie formułek mowy filozoficznej w ży-  
ciu najprozaicniejszym, — np. rozprawiając o pożytku mierzwienia roli, wyrzeknie: — «Sterkoryzacja w dziedzinie wiedzy agronomicznej jest przedmiotową» — ganiąc nałóg pijactwa, nazwie go odjemnym działaczem na racjonalizm; — całą godzinę będzie gadał o materji i o duchu, zwalczy przytem Leibnitza, pochwali Fichtego, — i skończy na rozwoju nieskończoności.

Napomnienie odebrać mający kmiotek, albo zagrodowy szlachcic, lub pozornie pokorny ekonom, za powrotem do domu, przy gęstym poczęstnem zapewnia swoich przyjaciół, że ten mądry pan albo był pijany, albo... posztuka po czole, na znak, że nauczycielowi pomieszało się w głowie. Podobne przykłady są niezliczone, i wszystkie noszą jedną cechę popisywania się z mniemaną filozofią, przyczem przymiotnik absolutny, a, e, bezwzględny a, e, — we wszystkich siedmiu przypadkach *numeri singularis et pluralis*, o ile można najczęściej powtarzanym jest.

4) Ubiór naumyślnie niedbały; obyczajność oryginalnością zadziwiać mająca.

5) Wieczne skargi na ciemnotę rodu ludzkiego.—

6) Roztargnienie zmysłów tak daleko posunione, że nawet to, co wszyscy mijają, kołowaty filozof absolutnie rozdepee, bo jego myśl gościem na ziemi, ona zawsze goni za absolutną prawdą w krainie ducha, — rozumie się — absolutnego.

Skoro kołowaty filozof roczek jeden tylko w słabości potrwa, już nie masz dla niego ratunku! — dla świata zginął na wieki. — Co do sumienia... niechaj go Bóg osądzi!.. wyroki ludzkie, jak w wielu sprawach, tak szczególnie w sprawach sumienia ludzkiego, mylni bywają.

Czyli po dziś dzień filozofija schwyciła wiedzę i prawdę — których filozofów z nieskończonego szeregu kołowatych odłączyłoby wypadało, nie w tém tu miejscu mówić należy, — w przecięciu na stu, licząc sumienie, 99 jest kołowatych. — O gęsiach zamilczę.

### *Kołowaczna badań historycznych.*

Jeżeli badacz z małą znajomością historyi, bez żadnych usposobień naukowych, tutaj filozoficznych i filologicznych, rzuci się na stare księgi, na zbutwiałe rękopisma i odwieczne pamiątki, — natenczas chciwe mózgu czerwone robaczki ssą go nielitościwie, zapalenie szybko wzrasta, badacz nagle dostaje zawrotu, odrętwienia, zatacza się w kółko, szyję naprzód wyciąga, i staje się kręcikiem.

Na własne widziałem oczy, jak w roku zeszłym młodzieniec z świeżym, niezakatarzonym nosem, zajrzał



do księgozbioru niegdyś zakonu Benedyktynów, i z wściekłą radością pochwycił, porwał i uciekł ze spisem kuchennych wydatków z roku 1478. Było to po łacinie, gotyckimi literami, zapisanych przez X. Kanafarza arkuszy około 300. Ów badacz przez 8 dni męczył się nad zrozumieniem pierwszego wiersza, ale niemożąc podołać, poradził sobie zapraszając znajomego filologa, i jakoby od niechcenia, z uśmiechem wieloznacznym, podsuwa mu ów mniemany skarb. Uprzejmy gość tłumaczy:

«W środę przed ś. Benonem, wydano kaszy jęczmiennej otłuczonej na stół dla księży, kwart 8; dla czeladzi, pośledniejszej kwart 5. *Item* sztokfiszu funtów 16, *item* grochu dla ludzi kwart 5, *item* kapusty garnków 3.»

— A to jest ważne, ile wówczas jedzono?!...

— Szkoda że liczba ludzi nieoznaczona.

— Prawda!...

Taki to mąż całe życie szpera, i jeżeli nie napotka szczerego przyjaciela, którenby mu wyjaśnił, co historyczny badacz w zasobie osobistym przed rozpoczęciem badań mieć winien, nieborak zemrze na kołowaciznę, zostawi 500 arkuszy niezrozumianych przez nikogo notatek, stosy skradzionych osobliwości najnieciekawszych, w kuryerze znajdziemy: «Uczony ziomek, badacz starożytności, zawczesną śmiercią okrył kirem kraj cały i t. d.» wedle zwyczaju.

Niewiasty od tej słabości są wolne, a jeżeli zajrzą do starych ksiąg, czynią to w tenczas, kiedy romans historyczny pisać zamierzają. Bogu dzięki, natężenie nie jest zbyt, po wierzchu obaczają, — dla tego mózg się nie osłabi, i czerwonego robaczka na błonie nieujrzysz.

Kołowaciznie badań historycznych ulegają i męzowie znakomitych zdolności, ale bardzo rzadko, i w tym tylko przypadku, gdy starożytność do swęj potrzeby, a nie do rzeczywistęj prawdy sprowadzić ośmielają się. U nich robaczki czerwone ssą nie mózg, ale serce, i kołowrót przechodzi w inną chorobę, w kurcz sumienia literackiego, — o czém później.

### *Kołowacizna księgarzy.*

Księgarz gdyby mógł być uważanym li tylko jako kupiec materijalny, nigdyby chorobie kołowacizny nie uległ, lecz kiedy powołanie jego jest wyższe, a niezrozumienie tego powołania zbyt wielkie, tworzy się w ówczas kołowacizna, czerwone robaczki ssą mózg, powstaje zapalenie, zatacza się, chwieje i staje się *kłóśakiem*. Zrozumienie swego powołania jest dla księgarza jedyném zagadnieniem, którego rozwiązanie nie tak łatwe jakby się komu zdawało. Nie dość dla księgarza zapełnić cztery pokoje księgami, wyuczyć sprzedającego, jak ma kupującym wychwalać objętość dzieła, dobroć papieru, wyrazistość czcionek, piękność obrazków; nie dość tedy i owedy wydać własnym nakładem nędzny romansik, kabalistykę. lub wykład snów, utargować dziennie 300—500 złp.—powinnością jego jest wpłynąć korzystnie na ogół, a jak to uczynić?.. rozum i sumienie najlepiej mu wykażą. Jeżeli zaś zbywa mu na tych dwóch przymiotach, — stokrotnie biada! — Zawiodł on siebie, zawiodł i publiczność; przeszedł albo w poczet kramarzy, albo kłóśaków, jednéj z tych ostateczności nie uniknie.

Pominmy kramarzy, jako niegodnych wspomnienia.

przypatrzmy się *kłósakom*. Piotr kupił po Pawle księgarnię, uporządkował, oczyścił, dozupenił nowszemi dziełami, zawiązał z księgarzami za granicą stosunki handlowe, polecił się miejscowym literatom, i nadto, przedsięwziął swoim nakładem wydawać dzieła, zwłaszcza że szwagier jego Tomasz, na témże przedsiębiorstwie w 5 lat niespełna, 140,000 złp. zarobił. Ale Tomasz nie był kłósakiem, wiedział co drukować, a co sąsiadowi odstąpić; Tomasz, autorowi którego rękopis lichą był ramotką, tysiącnie oświadczył ubolewania, że dla natłoku pracy, dla braku gotowizny, tak udatnego utworu nabyć nie może; Tomasz drukował tylko księgi treści wyraźnie znamienitej, zdatnem piórem skreślone.—Piotr zaś, znając się tyle na literaturze ile koza na pieprzu, przynoszone mu rękopisa oddawał nie pod sąd światłych i pogłos naukowy posiadających literatów, ale pod sąd swęj siostry, która namiętnie lubiła romanse, pod sąd swojego brata, którego po ukończeniu szkół obwodowych, cukiernią założył,— albo pod sąd swojego siostrzeńca, którego w rodzinie uchodził za mędrca, usposobił się bowiem na pomocnika do jeometry, i umiał suche pola, zarośla, bory, a co więcęj, bagna i wody przemierzać. Ci to trzej sędziowie zwykle pochwalne wydawali zdania: niechaj do tego autor był uprzejmym, grzecznym i starannie ubranym, niechaj autorka była miłą i wymowną osobą, Piotr nabywał rękopisma i drukował *Podróże Basi*, *Ruiny zamku Zdzisława*, *Kurhanki*, i tym podobne brednie, — kiedy tymczasem wypuszczał z rąk dzieła zaszczyt i korzyść wydawcy przynieść mogące, bo tutaj autor był mało-mówiącym i niepozornej powierzchowności, — rękopism jego był na szarym papierze, nie-

czytelny, nie starannie przepisany. — Cóż się stało? Piotr wplątał się w kilkanaście nakładów książek, o których publiczność i słyszyć nie chciała; Piotr stracił kilkadziesiąt tysięcy. — Czemu? Bo Piotr nie będąc sam znawcą, powierzał sąd ludziom równie jak on niezdolnym, — przyjaźni z mężami umniczemi nie poszukiwał, i działał na oślep, a czerwone robaczki, tylko czychały na żywioł. Dla tego dzisiaj Piotr zatacza się, stawa słupkiem, w odrętwieniu, i biorąc znów z jarlakami porównanie, należy do 3 i 4 rodzaju, to jest i do kłósaków i do warijatów. Szkoda, Piotr miał dobre chęci, ale go kołowaczna zgubiła. — Temu losowi co Piotr, popadło wielu, i można zapewnić śmieie, że na kłósakach w księgarstwie, nigdy zbywać nie będzie.

#### *Kołowaczna powieścio-pisarstwa.*

Skoro tylko autorowie, czy autorki, bez logicznego układu, bez dążności moralnej, bez smaku, bez znajomości sztuki, słabe i najdziwaczniejsze pomysły kleić poczną, przyodziewając je pożyczoną z tandety sukienką, czy tam jest tytuł powieść obyczajowa, czy tak zwana historyczna, czy szkic, czy fantazja, — zawsze do kołowrotów, do kręciów policzyć ich należy. Kilka przykładów z świeżo ubiegłego czasu, niechaj o rzetelności mojego twierdzenia zaświadczą:

Młodzieniaszek zapala się we śnie żądzą sławy, — widzi i słyszy jak dwaj z Olimpu heroldowie trąbią w cztery części świata: «Fabijan Oślikowski napisał tom z 143 stronnic złożony, romans oryginalny, pod tytułem: *Kurhanek*.»

Tra! tra! tra! — i trąbią coraz głośniej.



Fabiś nazajutrz pisze, i z radości płacze jak bóbr; matka płacze, że się dochowala takiej pociechy i chluby; kochanka pyszni się jak paw, że jej narzeczony napisał romans; brat w szkołach co pół godziny powtarza: »mój brat, co książki pisze«; a wujowie, stryjenki, ciotki i stado krewniaczek, — wszystko wrzeszczy: »Fabiś napisał książkę, Fabiś bardzo uczony! — Mój Boże! ktoby się był spodział, — najgorsze ze szkół przynosił świadectwa, a teraz książki komponuje. Zwyczajnie, zafukali.« — I Fabian Oślikowski nie wiedząc jak się to stało, został autorem.... śmieci literackich.

Kalassanty Rozpętowicz jeszcze w czwartej klasie umarzył sobie powieść *historyczną (?)* »Ruiny zamku Zdzisława« i głowa jego była przez lat trzy brzemienią Ruinami Zdzisława, i trzy lata zaglądał do starej spleśniałej kroniki, i w powieści kilka razy wspominał o Jagiellie i o Krzyżakach; opuścił wprawdzie tło ówczesnego wieku: Krzyżacy gadają językiem naszych Dandych »weź pan miejsce« — »miej pan tę dobroć osądzić moich uczuciów« i t. p. — ale są nazwiska historyczne, a więc romans historyczny, i lubo Zabrzezińskich wprowadza do miasta, które za naszych czasów zbudowane zostało — nic to nie szkodzi, — od czego *licentia poetica*. Natomiast nazwisko autora gotyckiemii odtłoczone literami, okładkę dano ciemno-tabaczkową z seledynowemi ozdobami, rok najświeższy o sześć miesięcy naprzód posuniony, w dwóch tomach po 177 stronnic, — i Kalassanty Rozpętowicz stworzył powieść historyczną. NN. i XX. przestali do gazet pochwalne sądy; p. Y. wytyka pomniejsze usterki, ale przyznaje wielki, niepośledni geniusz, dziwi się dla czego się ten jenijusz ukrywał i zaklina na Jowisza, aby takich nie zagrzebywał zdolności.

Minodora, piękna Minodora, w stu bezsennych nocach ułożyła powieść uczuciową *Edgar i wierność do grobu, czyli koleczyk w Arabii*: Jarmark w Jędrzejowie. Ansgar poznaje Filomenę. Ansgar odjeżdża do Algieru, tam zabija trzystu Beduinów, chwyta lwicę i lwięta, kuje w kajdany, zwycięża hijenę, krokodyla i parę lampartów. Otoczony żywymi potworami, wraca do śnieżnego podnóża powątpiewającej o jego wierności Filomeny. We wnętrznościach krokodyla znajdują koleczyk, którego Adila Turczynka, karmicielka Filomeny, otrzymała od jej babki Petronelli, jako dowód że Filomena księżniczką. Filomena mitrą książęcą okryta nie zmienia uczuć, wyrabia u stryja księcia, hrabiowską dla Ansgara koronę. Ansgar nie wiedząc o tem, i wątpiąc o wierności Filomeny, wstępuje do Kartuzów, tam oddaje mu przełożony pismo, które mu przed trzydziestu laty umierający podróżny był złożył i z którego się okazuje, że Ansgar jest potomkiem Boabdila ostatniego z królów Maurytańskich. Mieszkaniec z wysp Kanaaryjskich (gdzie cukier najlepszy robią) zwiedza Rzym, dowiaduje się osobliwym przypadkiem, że Ansgar jest synem Ildefonsa, zwraca mu 60 milionów franków, złotem holenderskiem na węgierski kamień ważonem, skarb u niego na schowanie przez Ildefonsa zostawiony. Władze duchowne uwalniają Ansgara od ślubów klasztornych. Ansgar wraca do Warszawy, znajduje Filomenę w klasztorze, wbiega w chwili obłóczyn, wydaje krzyk, Filomena mgleje. — Nazajutrz łączą wierznych kochanków. Romans kończy się bengalskim ogniem i wielką fantazją na flotowers, które autorka nieźrównanie opisała, używając prawdziwie technicznych wyrażen. — Ale o niesprawiedliwości człecze

czyli ludzkie! — jakiś dziwak napisał, że Ansgar, kolczyk i wierność, — są to mgłe klejonki.

Autorka ciska płomień gniewu, klątwy, złorzeczeń, upewnia swoje przyjaciółki o wielkiej znowie, o spiknięciu się, zaprzysięga stanąć w obronę wszystkich nieszczęśliwych, i sama Minodora pisze dwa arkusze rozbioru *bezstronnego*, z którego się wykrywa, że jej dzieło należy do *nieśmiertelnościów*. Uczony (to jest uczył się) Cyryll Doroteusz Mordega umieścił w jednem z pism publicznych coś w ogólności o romansach, a głównie coś w szczególności o Ansgarze i Filomenie. Pan Mordega napomknął coś o estetyce, wspomniał o obecnym widnokregu literackim, i wywnioskował, że Ansgar i Filomena są wzorową powieścią.

Nie dawno dostał mi się do rąk, wielki, rozchwalony poemat z dziejów rodowych. — Czytam, — i słowa nierozumiem, co autor za cel był sobie założył. Autor był mi dobrze znajomym, pytam i proszę o szczerą odpowiedź. Pogładził jędrnej czupryny, zaczerwienił się jak rak, jękał się, — lecz gdym go ścisnąć przyjacielsko począł, i gdym mu do duszy zagadał: »Kubusiu powiedz, jak eś uczciw, powiedz, skąd powzięłeś pierwotną myśl do tego poematu? coś napisać chciał? co to są za osoby Rodryg i Odrzygiełto! wyjaśnij mi tę mitologiczną ich tajemniczość« — w ówczas Kubuś rzekł:

— Pierwotną myśl do tego poematu podał mi romans Rinaldo-Rinaldini. Rzec całą zmieniłem, uczyniłem ją rodową, bohatera mego poematu Odrzygiełtę przeniósłem w ukraińskie stepy, i tam został przez puszczyki, przez nietoperze zadziobanym na śmierć, — z której powstaje dopiero po siedmiu latach i ukazuje się swym przyjaciołom na kontraktach w Kijowie.

— I cóż Kubusiu, nie czujesz zapalenia mózgowego?

— O! czuję, czuję, że coś ssie moje siły umysłowe, doznaję chwilowo zawrotu i w głowie mi się kręci...— Niestety! już są czerwone robaczki, już do kołowatych, do najniebezpieczniejszych, do *warijatów* należysz. Zmierzaj się nad sobą póki czas, Kubusiu! kołowacizna autorstwa książek jest chorobą okropną, posłuchaj mej rady;— jeżeli nie masz usposobienia naukowego, jeżeli w twój głowie pustki, po cóż ci koniecznie pisać. Prawda, że okrzyczane literatury, niemiecka i francuzka, mają podobnych dzieł tysiące, że w każdej francuzkiej i niemieckiej księgarni znajdziesz większą połowę książek przez kołowatych autorów pisanych, — ale po cóż nam cudzoziemców w ich złém naśladować? Niezazdrośemy im tych stosów literackich śmieci; mają oni dzieła wielkie, nieśmiertelne, te od nich przyjmijmy, szum lub nieczysty osad zwróćmy im z grzecznością. — Niechaj się ilością szczycą, my na jakości, na wyborze poprzestanmy. Wielość piszących dowodem umysłowego postępu, ale wielość książek niedorzecznych jest zarazem zgubną dla rozumu, dla młodzieży bez wyboru czytającej, jest zarazą dobrego smaku, jest kołowacizną.

Chęć autorstwa u nas nie jest bynajmniej za wielką, biada tylko że wśród małej liczby piszących, siedm dziesiątych części na kołowrot literacki choruje, a wcale leczyć się nie chcą, chociażby znaleźli zaradcze środki, jakimi są:

1) Nauki zasadnicze, czcząścią umysłową nieskrępe, do użytku praktycznego zastosowane.

2) Przekonanie się, że beletrystyczne wiadomości dla salonów arcy-dostateczne, do pisania książek bynaj-



mniej wystarczającemi nie są; bo dzisiaj w świecie literackim, już czeskich kamieni za brylanty czystej wody nieprzyjmują. Wolno wśród niedowarzonych półgłówków, wśród ludzi ograniczonych, popisywać się z niedogryzkami literackimi, ale prawdziwa wartość, przyznana obecnie bywa — tylko prawdziwej wartości; — kołowroty, kręciki, wiek złoty już dla was przeminął!





# **MALEŃKI ODŁAMEK**

**Z HISTORYI MOJEGO NOSA.**







## MAŁENKI ODLAMEK

### *z historyi mojego nosa*



„Dostał nosa i spuścił go na kwintę.“

Skąd wzięto to przysłowie swój początek, oznaczyć nie umiem, a spytać się o to czcigodnego Wojcickiego dotąd zaniedbałem; znaczenie przecież tego przysłowia nie jest nikomu obce, i podobno każdy z ludzi odbiera i odbierać będzie nosy, i będzie je spuszczał na kwintę: wszakżeż nawet i wielki Napoleon przez nieszczęsny los, ukracający jego zuchwałość, dostał nosa, i na wyspie ś. Heleny spuścił go na kwintę; ależ i całe narody nie szukając w odleglejszej przyszłości, np. Turcy po bitwie pod Nawarynem, nie dostaliż nosa i nie spuściliż go na kwintę? Cóż więc dziwnego,

że i ja, będąc małym chłopczykiem, dostawałem nosa od moich najdroższych rodziców za rozmaite błędy dzieciaczka; żem dostawał nosa od domowego nauczyciela za nieuwagę i roztrzepanie; żem w szkołach publicznych dostawał nosa za hałasy, za figle, za kostery i za zarozumiałość o swych zdolnościach, a stąd mniejszą jak należało pilność; na uniwersytetach wprawdzie nie odbierałem nosa, ale znów po nosie rapirem kilka razy dostałem; w wojsku często dostałem nosa za spóźnienie się na parady (bom też ja i nigdy żadnej parady nie lubiłem; ale jak minęła parada, ani mi się razu nie spóźniłem, lecz znów tych od parady nie było); w urzędowaniu wójta gminy dostawałem nosa od wągrowieckiego Landrata; od rejencyi bydgoskiej za niezdanie raportów o wściekłym psie, o pojawieniu się wilków, o chorobie śledziony i t. p. Później jeszcze Żydkowie poznańscy poczęli mi dawać nosa pozwami, i jak tylko dawno i szeroko zapamiętam, od najdrobniejszej młodości dostawałem i dostaję nosy, coraz to głębiej spuszczałem mój nos na kwintę, i dziwię się, że tylu dodatkami przedłużony, dotąd ziemi nie dotknął; może by też już był i dotknął, ale go nadzieja dźwiga do góry, i jakoś z braćmi nosami innych ludzi w równi utrzymuje. Historija mego nosa, aczkolwiek go nigdy zbytnie nie zadzierałem, w szczegółach jest ciekawa, bo los w czynieniu dodatków do mego nosa był bardzo chimerny: tam, gdzie na najdłuższy zastugiwał, zostawił go takim, jakim go dało przyrodzenie; gdzie był najniewinniejszy, przyczepiał mi śmiertelnej boleści nos dodatkowy i stroił go na kwintę rozpacz. W osobnym dziele (Svo z rycinami, z przedmową, z głosem do czytelnika, i ze spisem omyłek drukarskich) przy schyłku

dni moich (co mniej-więcej za lat 40 nastąpić może); skreślę wszystkie szczegóły losu mojego nosa, dzisiaj opowiem tylko, na duchowy obroczek dla wiejskich spółobywateli przypadek, jak w jednym dniu od sandomierskiego chłopka, w jednej chwili trzy nosy dostałem.

Chłopek bronował zasiew żyta, a było to już w końcu drugiej połowy miesiąca października, ja z dwururnią w ręku, pod wiatr, przy piaszczystej górcie, upatruję kusego, i lekceważąc pracującego chłopka, mijam go milczący. «Na wieki wieków amen» głośno wymówił chłopce i nisko mi się pokłonił. «Niech będzie pochwalony» szybko odrzekłem spostrzegając się w błędzie. Był to pierwszy nos, alem go bynajmniej nie spuścił na kwintę, i przeciwnie niecom się obraził, że chłopce mojej nieuwagi nie przemilczał; przystanawszy więc, łającym pańskim tonem, ozwałem, się do niego: Cóżto dopiero żyto bronujecie? .... a kiedyż ono zejdzie? .... — Razem z dworskim, co go wczoraj siac dokonczyli niespełna, uśmiechając się odpowiedział chłopce; — to był już drugi nos. — Ja, bo wysiewam 300 korcy, niedziw więc, żem się spóźnił. — Ja wielmożny panie, odrabiam cztery dni pańszczyzny; przez dwa miesiące po dwa dni w tydzień jeździłem o trzy mile na szarwark; stróża na mnie kilka razy przypadła; do wybierania dworskich kartofli z dnia na dzień wyganiałi; odnosiłem podatek do miasta obwodowego; i jeździłem z pańską duchem wymłóconą latosią pszenicą do Warszawy, bo się podobno jegomość obawiał żeby nie zatęchła.

To był w jednej chwili trzeci, ale już porządny nos, i czułem, że mi się spuszcza na kwintę. Zostałem dłu-

żny w odpowiedzi, za kusym dalej nie biegłem, ale powróciłem do domu, i przedewszystkiem rozkazałem karbowemu, aby Szczepaniaka na cztery tygodnie od pańszczyzny uwolnił. Następnie zacząłem dumać, czyli by mojej teorii o ścistej, szczegółowej sprawiedliwości, gesto po głowie i w sercu zasianej, do praktyki wiejskiego państwa, systematycznie i na zawsze wcielić niemożna.





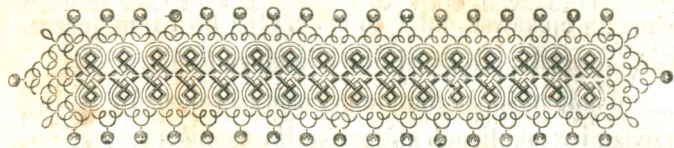
**NAPOLION**

**I ŻYDKI SWARZĘDZKIE.**

REVOLUTION

THE REVOLUTION OF 1848

1848



## **NAPOLEON**

### *i Łydkie Swarzędzkie*

(zdarzenie prawdziwe).



W Swarzędzu, w miasteczku o jedną milę od Poznania odległym, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyszną żydowską celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy niemi ruchu, któren od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tém prócz p. burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiero wyjawiała się u chrześcian pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że po-za kirkutem (smętarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowę za-

chodzili ciekawsi, coby to znaczyło? bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, że Napoleon cesarz Francuzów w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. — Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zielenca—jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Po-za karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów — ich szwargotanie, wrzask i hałas, byłyby w stanie lichą artyllerią zagłuszyć. Już wtenczas każdy się mógł domyślić, że owa tajemnica żydowska była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszej z południa krzyknął na dachu siedzący szajgiec: *Er kymt! er kymt!* (jedzie! jedzie!) Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon! Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych jeneratów o strategiczne położenie Swarzędza. Oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z po-za stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, płaszcze, konie strojne rozmaitej barwy pokryciem; pióra, pałasze, gdzie-niegdzie piki i sztandary, nadawały tej jeździe szczególnie wojenny i azyatycki charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich—nikt tego wypadku objaśnić nie umiał; w tém wysuwa się naprzód dowódca jazdy tureckiej, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza, zdejmuje



z głowy turban, mówiąc: *Fürchten Sie nichts kaiserliche Majestät, wir sind keine Türken, wir sind Schwensenzer Juden.* (Nie lękaj się Wasza Cesarska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy Żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał— odważne Turki krzyknęły:

»*Wiwajt!* Wielki Cesarz Napoleon niech żyje! jeszcze raz niech żyje! i powtórzywszy trzykrotnie *wiwajt!*« usunęli się na stronę.

Marszałkowie Francuzcy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmieał.





**A. B. C.**

**DLA PIENOCIEPNICH DZIECI.**

A. B. O.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO





## **A. B. C.**

DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.



Wybierając się z Warszawy na pola, bory i lasy— pod słomiane strzechy i do murowanych dworców, — umyśliłem i postanowiłem zabrać kilka liber papieru, spore naczynie z atramentem, i piór zastruganych pół kopy, iżby kilkotygodniowych spostrzeżeń nie oddawać na łaskę często niegrzecznej pamięci. Moja literacka przezorność okazała się rzeczywiście potrzebną, gdyż na pierwszym noclegu, gdzie dziennik mój rozpoczynam, w pochylonej karczemce, od lat 40 — od czasu jej wybudowania—żaden z ludzi pióra w tem miejscu do ręki nie wziął: djabeł zaś, którego narzekania i przekleństwa pijanych chłopów na przypiecku liczył, wyręczał się pazurem, znacząc kreski po ścianie; doliczywszy bo-

wiem pewną ilość przez Lucypera oznaczoną, miał mieć prawo porwania dziedzica żywcem do piekła, za to, iż na siedmnastu włókach trzecią zbudował karcznię i złodziejem obsadził. Nie wiem czy prawda, tak się przynajmniej djabęł przechwala.

Ależ niechaj nie uprzedzam zdarzeń, zacznę porządkiem: — 1841 roku 20 maja.

Dzisiaj o godzinie 9 rano, po wysłuchaniu mszy św. po tkliwem pożegnaniu się z ukochaną i drogą mi żoną, po szczerém uściśnieniu przyjaciela, po grzecznych ukłonach dla znajomych, natuliwszy czapki na uszy, siadłem na bryczkę, obok mnie mój pokojowiec Pawełek, na koźle woźnica Grzesio, i ruszyłem z Mazowieckiej ulicy trójką spokojnych koników. Na Wierzbowej, na Trębackiej — jeszcze ukłony, przed pocztą zapytanie: »dokąd jedziesz Guciu?« odpowiedź: »na wieś robaczkę.«

Spuściwszy się wolno i ostrożnie przez Bednarską ulicę, przystanąłem przed mostem, aby się opowiedzieć skąd i dokąd jadę. Na moście stępem, przez Pragę truchteczkiem, — aliści przy rogatkach znów: »skąd? dokąd? ile ludzi? ile koni? na długo? — jedź pan z Bogiem.« Jakoż wyjechałem istotnie na zwirowy gości-niec.

W każdym innem miejscu byłbym przedewszystkiem rozdziawił gębę po świeże powietrze, byłbym się zagapił w piękność przyrodzenia, byłbym zmiarkował skąd wiatr wieje, — czyli w rozpoczętej podróży pogoda sprzyjać będzie, czy deszcz przywita; — kto na przeciw mnie, kto za mną jedzie i idzie; jakie mijam domy, ogrody, zagony, łąki, rzeczki, lasy, góry i doły, — ale tutaj terażniejszość stała się dla mnie obojętną, bo przeszłość całą myśl owładła.

Dopiero w Miłosnie pocztarska trąbka i turkot ogromnej karety żałosne przerwały marzenia. Grzesio przystanął dla napojenia koni, Pawełek zeskoczył izby mu dopomódz, ja natadowawszy fajeczkę, wstąpiłem do szynkownej izby po ogień.

Ściany brudne, ławy i stoły brudne, baba nalewająca gorzałkę jeszcze brudniejsza; — kilku nędznych, *bardzo nędznych* chłopów; — kilku drapichróstów do rozboju podobnych, trzy ciury od furgonów wojskowych, dwóch kozaków na patrolu, i małe dziewczątka przysłane po gorzałkę od kowala; — psy, śmieci i błoto, kieliszki i flaszki, obrazy świętych i sławnych ludzi, —których przez szyby zapstrzone pomiotem much i pajaków, rozpoznać nie było można;—węgle przysypane popiołem na kominie, przy których siedział kot z przypalonym włosem, z krótko uciętym ogonem, z iskrzącymi się ślępiami,—oto całość jaką jednym rzutem oka pochwycić mogłem. \*) Zapaliwszy fajeczkę oddaliłem się spiesźnie. Przez kilka godzin dalszej podróży, nie schodził mi z oczu ów czarny kot, — i już wtenczas wpadałem na domysł, ażali to nie jest djabeł w pożyczanej postaci, któren pilnuje sposobności podsłuchania rozpaczającej duszy, aby z nią wejść w układy. Zdrowy rozum, mówiąc górniej: wiedza z absolutnego stanowiska, myśli takowej do komórki przekonania wpuścić nie chciała, — gdy w tém pękło tylne koło u bryczki, i Grzesio, i Pawełek, i ja, a za nami tłumok z pościelą i worek z obrokiem, rzeczy żyjące i nieżyjące, — wysypaliśmy się na ziemię.

\*) Dzisiajszy stan téj karczmy zupełnie jest odmienny, bo wzorowy porządek dawną nieczystość zastąpił, — kot tylko, często jeszcze na kominie siada.

„A! czy djabeł nam w oczy zajrzał? czy jaka baba urzekła?” wymówił Grzesio żegnając się trzy razy.

— Nieopatrzyłeś bryczki mazgaju i teraz na djabła spędzasz.

— Nie tylko żem wielmożny panie opatrzył, ale i kował, i oto pan Pawełek, oglądaliśmy ją wczoraj, wszystko było mocne, i nikaj ani jednej szruby nie brakowało, koła zaś są przecież nowusienkie, boć je dopiero na Ś. Wojciech kołodziej zrobił.

— No gdzież tedy ten djabeł siedzi, co nam bryczkę zepsuł? — chyba u ciebie pod czapką, bo się w głowę skrobiesz.

Pawełek śmiejące się zęby pokazał, a Grzesio szukając toporka i postronka, smutno odrzekł:

— Panowie nigdy człeku prostemu nie wierzą, a jednakże ja łośńskiego roku djabła na jarmarku widziałem, jak się kłócił z dziadkiem, który głośno śpiewał różaniec: było to przed wotywą, ludzie poczęli się do kościoła gromadzić....

— No patrzajcie go, on mi będzie bajki prawić, a ja będę słuchał, — poszukaj oto lepiej dębczaka albo brzozy wiśniej, przywiąż pod nasadę — i trzeba nam się do wsi jako-tako dostać, boć tutaj nocować nie możemy.

Zamilkł stary Grzesio, wykonał mój rozkaz; Pawełek włożył na bryczkę rzeczy i strzaskane koło, i już mieliśmy ruszyć z miejsca, kiedy gaduła obejrzawszy się na stronę, zawołał:

— A juści że nam djabeł tę szkodę wyrządził, czy jegomość nie widzi?.... (wytrzeszczam oczy, ażali nas kot z Miłosny nie goni) ot drogi krzyżowe, a figury poganie nie postavili! — jakżeż się tu nieszczęście



przydarzyć niema, wszakżeż on wszetecznik najbardziej na rozstajnych drogach wojuje.

— Mój Grzesiu! jak pojedziesz z powrotem do domu, dam ci pisanie do księdza proboszcza, aby cię objaśnił, kiedy mi wierzyć nie chcesz, że djabłów niema na świecie, — tymczasem rusz z miejsca, chyba chcesz abym ja wziął lejce do ręki.

Splunął Grzesio na miejsce, gdzie się bryczka wywróciła, zaciął koni i szedł w milczeniu. Droga na którą my zjechali, była piaszczysta, kamieni i korzeni w kolejach pełno, wolno więc wlekliśmy się już przeszło godzinę, gdy wreszcie ujrzelśmy po nad polem małą karczemkę z zajezdną stajnią.

— Daleko ztąd do Siennicy? zapytałem chłopka jadącego do lasu po drzewo.

— Będzie pół mili.

— A przy tej tutaj karczmie jest kowal?

— O dwoje staj w tamtej wejno wiosce, mieszka dobry majster, ale tam niema zajezdnej stajni, potrzeba będzie wielmożnemu panu w karczemce popaść, a kogo do wsi posłać.

— Bóg zapłać przyjacielu, pono usłucham waszej rady.

Wjechaliśmy do rozwartej stajni: kury i koguty odbywały po żłobach rewiziją, — kaczk i gęsi czyniły na gnoju agronomiczne poszukiwania, a kilkomiesięczne pstrokate ciele stało zamyślane na środku. Trudno się czego od cielecia dowiedzieć:— kury, koguty, kaczk i gęsi, za naszym przybyciem pouciekały, świegotął wprawdzie wróbel na belce, patrząc przez dziurę w dachu na słońce, alem go niezrozumiał, udałem się więc do izby. Lecz i tutaj nie było się z kim rozmówić, bo

usmolony dzieciak w kołysce, tak się zajął w garn-czek ziemniaków, iż mojej obecności wcale nie spostrzegł, a chociażby był i spostrzegł — dwuletni, jakąż mógł mi dać wiadomość o sianie, którego dla koni potrzebowałem.—Któż wyrazi moje przerażenie, gdy na przypiecku burego kota zobaczył, którego mi się z niezwykłą przenikliwością przypatrywał.— »Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!« zawołałem głośno, — kot z wyraźną niechęcią zsunął się za piec, dziecko się przełękło i płakać poczęło. We drzwiach komory ukazała się czterdziestoletnia osoba płci żeńskiej, której w żaden sposób białogłową nazwać nie mogę, bo była tak mocno śniadą i ogorzałą, iż rozumiałem, że spostrzegł murzynkę.

— Można tu popasać, czy dostanę siana, chleba, masła, piwa?

— Dostanie wielmożny paniczek wszystkiego, — odrzekła cyganka, szynkarka i gospodyni domu.

— A nie masz kogo posłać do kowala?

— Oj chyba że nie, mój mąż pojechał z synem do miasta, sama tylko zostałam w domu.

Rozkazawszy dać siana dla koni, powróciłem do stajni, aby Grzelę do kowala wyprawić.

Grzesio zły, iż koło tak daleko dźwigać będzie, poszedł upomniany, aby spieszo wracał. — Ale minęła godzina druga, trzecia, szósta, siódma i ósma, deszcz zaczął padać, ściemniło się; — dowiedziałem się od cyganki: że 400 złp. płacą suchej arendy, że jej mąż niesłusznie oskarżony o kradzież koni, które przypadkowo przyplątały się do ich domu, dzisiaj ma termin w sądzie policyi prostej; że zli ludzie powiedzieli, jakoby ich syn w pobliskich wioskach wszystkie kury wy-

łapał; że wódkę do miasta podwożą; że przechowują podejrzane osoby; i że wiele innych potwarzy wymyślili sąsiedni karczmarze, a to wszystko przez zazdrość... — już mi się i słuchać sprzykrzyło, a Grzesia jak niewiadać tak niewiadać. Zniecierpliwiony — właśnie miałem wysłać Pawełka po wiadomość co się z Grzelą stało, gdy wreszcie przylazł oczekiwany. Koło było sporządzone, ale język i nogi Grzesiowe zaniemogły, bo doszedłszy do celu, zatoczył się i oparł o bryczkę, mrucząc pod nosem:

»Panie majster, do wasana!« potém się otrząsnął, potém w urywanych wyrazach łajał kogoś, że kartofłówkę sprzedaje, — potém się rozśmiał chwając szumówkę ze żyta, — potém wymówił *pianissimo* »nalej asani jeszcze jedną kwaterkę« upadł na ziemię, chrapnął i natychmiast zasnął. Wskazawszy Pawełkowi brzydkie skutki pijaństwa, rozkazałem mu, aby worek ze sieczką pod głowę Grzeli położył, aby go derą okrył, aby o koniach pamiętał, i aby tłomok z pościelą zniósł do izby, bo o odjeździe ani myśleć było można.

Tymczasem do karczmy zaczęła się schodzić rozmaita gawiedź, a wszystko drab w draba, z łagą w ręku, — zarosłe, barczyste, ze spojrzeniem ponurem, — a każdy mnie zmierzył od stóp do głowy. Powrócił i gospodarz z miasta z synalkiem i z trzema żydami, zaczęli grać na katrynce, zjawiło się kilka podejrzanых kobiet, — na kominie smażyli kiełbasy, kiszki, — kwatarka szła z rąk do rąk, — a kot na samym zrębie pieca mruczał i warczał i kręcił ogonem; — dziecko wyniesione do komory, ciągle bez najmniejszej przerwy płało.

Pawełek, któren już przyniósł tłomok, i siano pod oknem rozestął, obejrzawszy się po izbie, nieznacznie szepnął mi do ucha: »Panie! deszcz przestał padać, możnaby dalej jechać, jabym powoził.« Nieodpowiadając Pawełkowi, zawołałem na gospodarza: »o godzinie 10 niechaj w twojej gospodzie wszystko się uciszy, ty zaś stary złodzieju ze swoim synem łapikurą, będziecie spali w stajni, która żadnego nie ma zamknięcia, a jeżeli mi konie ukradną, albo jedna słomka z bryczki zginie, każę cię jutro okuć w kajdany, z których cię za życia sam djabeł nie rozkuje.« Poczem wziętem do ręki dwururną strzelbę, i dwa zamki odwiodłem.

— Pawełku! gdy fury nadjadą, niechaj się ekonom do dnia zatrzyma.

— Dobrze wielmożny panie! — odpowiedział nie w ciemię bity Pawełek, — ja im też mówiłem, że w tej tutaj karczmie czekać na nich będziemy.

Gospodarz i jednego nieodrzekłszy słowa, skinął na syna, wzięt na się kożuch i wyszedł. W pięć minut, prócz mnie, żyjącej duszy w izbie nie było. Położyłem się: świeca paliła się na ławie, tuż przy mnie stała odwiedziona dubeltówka, stary kordelas wydobyty ze skórzanój pochwy, leżał pod ręką. Może już z pół godziny rozmyślałem, czyli przedsięwzięte środki ostrożności są dostatecznemi, gdy na raz oczy moje zbiegły się ze ślepiami kota, któren z pokorną miną zbliżał się do mnie, śmjerтельны dreszcz przeszedł członki moje, mimowolnie wrzasnąłem »Jezus Marya!« Kot chycnął na przypiecek, Pawełek wpadł do izby z potężnym drągiem.

— Czego chcesz?

— Pan wołał.



— Chyba ci się przyśniło, przetrzyj uszy i połóż się na bryczkę.

Pawełek odszedł, jam wstał, bo widoku roziskrzonego kota dłużej znieść nie mogłem. Biorę kordelas i posuwam się do pieca, owa bestija kot, nasrożył się, parschnął na mnie tak smrodliwie, iż rozumiałem, że kto smołę z dziegiem na izbie zapalił. W tę chwilę przypomniało mi się opowiadanie Grzeli, i przybiegła myśl: »a gdyby też to był djabeł?«...

Malcem jeszcze będąc, słyszałem od starych ludzi, że im także starzy ludzie opowiadali, jakoby od starych ludzi słyszeli, że jeżeli kto ma wiele w sercu odwagi, a podejrzaną istotę odczarować chce w naturalnego djabła, albo w inną postać, winien jedynie szybko na wszystkie cztery strony świata bez świadków zawołać:

»Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable!« i że wówczas, *nie tylko* że się djabeł pokaże w naturalnej postaci, ale jeszcze wszystkie rozkazy tyle śmiałego człowieka wykonywać, na każde zapytanie najszczerzą prawdę odpowiadać, i na jego usługach, tak długo pozostać musi, dopóki ta sama osoba, która biesa zarzekła, niewymówi również na cztery części świata tychże samych wyrazów na wspak; ale że przytem, takiemu śmiałemu człowiekowi, należy za każdą razą wyraźnie się przeżegnać.

Otóż gdy bestija kot z miejsca się nie ruszał, jakoś szczęśliwie przypadło mi na pamięć owo zaklęcie i jeszcze inne figle na djabła, bez najmniejszej jednakże wiary w takowe gusła, nagle i szybko, na wschód, zachód, południe i północ, co tchu starczyło, krzyknąłem:

»Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable!« — i przeżegnałem się.



Patrzę przed siebie, kota niewidać, jeno słyszę że się coś kominem łamoce, — i któreż pióro określi mój przestrah i nadzwyczajne podziwienie?... bies sobaka, w najnaturalniejszej postaci, wypadł na węgle.

Najszanowniejsi czytelnicy! wszystkie powiastki o djabie na krogulczych albo na bekasich nóżkach, w kuskym fraczkcu, w trójgraniastym kapeluszu, mogły was rozśmieszyć, — ale niechajby któren z was był zobaczył pod owę chwilę rzeczywistego bięsa, jak na krowich kopytach, z ogromnym kałdunem, z długim ogonem, z potwornym łbem rogatym, z komina się stoczył i ku mnie przystąpił, o sto przeciw jednemu zakładam się, że żaden z was czcigodni literaci, nie dotrzymałby placu, a ja panowie, anim się z miejsca ruszył!... Lecz pocóż się przechwalać, byłbym i ja drapnął, ale mi nogi stężały, a ząb o ząb klekotał jak na tartaku, i gdybym był w stanie trzęsące się usta do posłuszeństwa nakłonić, byłbym bezzawodnie, co prędzej na wspak odgadał, com lekkomyślnie przed chwilą wyn ówił; bo jakkolwiek już nieraz śmierci śmiało zajrzałem w oczy, to jednakże z djabłem w jego naturalnej postaci, bezpośrednio nigdy niewojowałem, i z tej-to przyczyny, oczy i uszy obiedwiema rękami zatkawszy, com tylko pobożnych modlitewek umiał na pamięć, recytowałem z taką skrucą i pokorą, jak nigdy w życiu mojem, — gdyż to nie darmo przysłowie: »kiedy trwoga to do Boga!« Ulitował się też Bóg dobrotliwy nad biedą moją, bo po chwili wróciła odwaga, otworzyłem oczy i patrzę—a pan djabeł siedzi przedemną w kuczkach, i drżąc skurczony płacze, jakoby żak szkolny, gdy mu nauczyciel ośle uszy na głowę włoży. Jeszczem zupełnie

do przytomności nie przyszedł, ale gdy bies pokornie się ozwał:

»Cóż jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony, najoświecenszy panie i dobrodzieju rozkazać najtaskawiej raczysz?« — wtenczas dopiero poczułem się od razu dawnym zuchem, i zażywszy tabaki dalej w rozmowę:

— Czy to waść był kotem? cóż waść tu porabiasz? na co waści sadze wycierać? dokąd się waść tak spieszyć?... kiedy przed chwilą jeszcze na kordelas mospa nie nie aprendowałeś, a teraz stoisz jak błazen i tytułujesz mnie od jasnych do najoświecenszych panów i dobrodziejów.

— Wszystko jaśnie oświeconemu panu dobrodziejowi będę w stanie wytłumaczyć, i wszystko objaśnić, racz tylko najoświecenszy panie swoje pierwsze wyrazy na wspak wymówić, bo bez tego jest mi niepodobienstwem zebrać zmysły moje.

— Hola mości biesie! mnie kaszy szydłem jeść nie uczono, i wiem to bardzo dobrze, że żądanie twoje na ten a nie inny cel wystosowałeś, abyś mógł czmychnąć, — ale wasza djabelska mość przeczekasz się troszeczkę, zanim go z usług moich odprawię. Ja jestem ciekawy i spodziewam się od waszmości wiele rzeczy dowiedzieć. Żeby mnie zaś asindzi nieobełgał, oświadczam, że najmniejsze kłamstwo surowo ukarzę.

— Ja najoświecenszy panie prawdę nad wszystko miłuję, i jak honor kocham...

— Spiriantus! nie żartuj zemnie, bo cię natychmiast święconą wodą pokropię.

Djabeł zatrząsł się, kudły mu kotem stanęły, i zgrzytnąwszy zębami, z rezygnacją rzekł:

— Pytaj o co chcesz panie, — stało się! widzę że nieszczęśliwy, i że moja cała nadzieja w dobroci serca najoświecénszego pana.

— Bez tych tytułów, bardzo proszę, zemną można poufać, a szczerością i otwartością więcej wskórasz, aniżeli byś pochlebstwem zyskać mógł. Masz Belzebubie rozum i węch dobry, zapewne zwietrzyłeś, że ja żartować nie mam w zwyczaju.

Dobrywszy z pod poduszki szkatułkę, wyjąłem z niej papier, atrament i pióra, zapaliłem fajeczkę, objaśniłem świecę, i siadając za stołem, rozpocząłem następujący egzamen:

— Skąd waśc rodem?...

— Z Warszawy, panie dobrodzieju.

— To waszmość mazur niepotrzebujesz przeto wzorem niemieckich, włoskich lub francuzkich Mephistophelesów, kręcić i majaczyć, ale winienesz gadać, jak polski djabeł, śmiało i otwarcie.

— Tak panie dobrodzieju, tylko że to już nie każdemu dzisiaj się podoba, a nawet zupełnie z mody wychodzi....

— Głupi waśc ze swoją modą. Gdzież waśc do szkół chodziłeś?

— Panie dobrodzieju! do żadnych szkół nie chodziłem, mama trzymała do mnie guwernera Francuza.

— Więc waśc umiesz po francuzku?

— Oui Monsieur, et si vous permettez, je m'expliquerai en français, parceque cette langue est la meilleure pour exprimer nos sentiments.

— Za pozwoleniem, będziemy się po polsku rozmawiać, waścby mnie oszałamiał dwuznacznością frazesów nadsekwanskich.

— *Vielleicht ist Ev. Exzellenz der deutschen Sprache mehr geneigt, und werden gnaedig geruhen.*

— Nie mój djabie, mnie najmilej po polsku, i jeżeli czartowska mość w obcej mowie smakujesz, znajdziesz inną razą wielu zwolenników do takiej przyjemności, w rzeczy zaś, jaką my mamy przed sobą, nie widzę żadnej potrzeby cudzoziemców przybierać na pomoc, kiedy się naszą krajową mową zrozumieć możemy.

— Jednakże jest to piękną rzeczą, odznaczać się od gminu, i radziłbym panu dobrodziejowi....

— Słuchaj biesie! jak mi jeszcze raz w mojej obecności wyraz »gmin« powtórzysz, zaraz, ale to natychmiast pokropię.

— Przepraszam, najuniżeniej przepraszam, — nie znałem nowszych przesądów pana dobrodzieja.

— Więc ty to przesądem nazywasz! — przekonuję się, że ciebie najsprawiedliwiej porwano do piekła.

— Panie dobrodzieju! ja sobie tam nie przykrzę, znalazłem mnóstwo przyjaciół i dobrych znajomych, mamy swoje zabawy, — nasze wyobrażenia nie znajdują przeciwników, a nadewszystko, jest zastosowanie się do etykiety i do dobrego tonu.

— Pierwszy raz słyszę, żeby w piekle dobry ton panował.

— O panie dobrodzieju, dobry ton przekładamy nad wszystko!

— W jaki sposób przyszedłeś waść do tego szczytu, żeś djabłem został?...

— Ja istotnie sam niewiem, — żyło się podług prawideł świata, podług zasad przyjętych przez wię.



kszą część ludzi; — bywało, że się ściśle nie trzymał nudnej moralności, że w drażliwych okolicznościach unikałem błędnego oporu tak zwanej cnoty, — ale iżbym popełnił jakie głupstwo, nieprzypominam sobie.

— Zapewne zamiast przykładania się do prawdziwego dobra ogółu, o sobie tylko pamiętałeś, i to z krzywdą ubogich, nieszczęśliwych; czy cierpiącej ludzkości nigdy w sercu twojem politowania nie wzbudziły?

— Ja żyłem dla siebie, wyłącznie dla siebie, wesoło i przyjemnie.

— Więc samolubstwo i rozwiozłość.....

— Tak, po części, — przecież głównie jeden z moich czynów, którym się i w piekle brzydzili....

— Rozumiem, ale powiedz mi, jakiej manipulacji użyto do wpisania waszeczki w poczet djabłów.

— Tego się panie dobrodzieju nie godzi wyjawiać.

— Ale ja bardzo proszę.

— Nie mogę, na uczciwość nie mogę.

— A to błazen z jego djabelską uczciwością. Czy rozumiesz, że ja ze siebie drwić pozwolę; aby cię przekonać co umiem:

»Spiriantus szolder ad tuum inclitium....«

— Najpotężniejszy dobrodzieju stój! stój na miłość rodzicielską ojca i matki twojej, zaklinam cię, stój!.... brrrum! o ja nieszczęśliwy! powiem, zaraz powiem, o cóż mnie to najoświecający panie pytałeś? pamięć ze strachu straciłem.

— Pytałem się ciebie, w jaki sposób do piekła się dostałeś?



— Tak było: konając uczułem nadzwyczajne bóle, zdawało mi się, że żywot mój szarpią padalce i żmije, że serce, które całe życie było bryłą lodu, w chwili ostatniej płonie nieugaszonem ogniem. Sumienie z piersi wbiegło do mózgu, i z rozpaczą czyniło zarzuty rozumowi, któren przed chwilą jeszcze, wszystkie czyny moje pochwalał; dusza oblana śmiertelnym potem, skurczona i drżąca jęczała okropnie, a jakieś ciemne obrazy trupiemi kośćmi snuły się przed memi oczyma, grożąc i złorzecząc; — w tém przez bluźniercze usta, rozpychając gardło rogami, wpadł wewnątrz mnie kum djabeł, a ujawszy duszę zębami, zgrzytnął i świsnął i wyleciał przez komin. Deszcz lał strumieniem, wiatr wył przeraźliwie; przez pokłady srebra i złota z szybkością pioruna spuszczaaliśmy się na dół, ani gwiazd, ani księżyca, ani słońca nie widziałem więcej, grobowa ciemność osłaniała nas zewsząd, dopiero czwartego dnia, podobno że już u was na ziemi trzeci raz kur zapiał, uczułem nadzwyczajny upał, gorąco i żar. Mój przewodnik zawył radośnie, żelazne bramy zaskrzyptały, i wśród pisku i wrzasku dusz smażonych w kotłach wrzącej smoły, stanęliśmy przed Lucype-rem. Przez 9 lat gotowano duszę moję w osobnym tyglu, przez rok moczono ją w occie siedmiu złodziei, a następnie wyprawiono mnie na ziemię, w moje rodzinne strony, abym pełnił służbę podług co miesiąc odnawianych rozkazów. Spotkałeś mnie pan dobrodziej, na moje nieszczęście, w tej tu karczemce, spisującego kreski przekleństw, złorzeczeń i bluźnierstwa w morze występków tonących ludzi, — gdy liczba dojdzie do 777, — dziedzica, któren na 17 włokach ziemi trzecią karczmę postawił, i złodziejem obsadził, mam

żywcem porwać do piekła, bez odnoszenia na sądy, bo on już dawno osądzonym został.

— Powiedz mi waszeć, cóż to za kot, któren dzisiaj w Miłośnie siedział na kominie.

— Jest to mój brat djabeł.

— Czyli w każdej karczmie macie swoje patrole?

— W każdej panie dobrodzieju! gdzie tylko kropla gorzałki, jeden z nas być tam musi.

— A w lesie gdzie mi się bryczka złamała, czyli waść także albo któren z jego kolegów był obecny.

— Nie panie dobrodzieju! to zwyczajny wypadek i nic więcej; może pan dobrodziej uważał, że Grzesio na Pradze zawadził o brykę furmańską, przez co oślał koło i piasty nadłupał, ale to gapie na nas tylko każde złe spędzają.

— Objaśnij mi teraz Belzebubie, dla czego się szczególnie karczmami opiekujecie?

— O, bo widzi pan dobrodziej, w karczmie bywa zawsze wesoło, napotyka się najczęściej dobrych znajomych, — i jakoś pod dachem nie tak się nudzi djabełowi.

— Spiriantus! gadaj zrozumiałej! chyba że konieczne chcesz abym cię skąpał.

— Jaby mi jaśnie wielmożnemu panu krwi z mojego palca usączył, tylko się pan dobrodziej nieodgrażaj, — i racz mnie najtaskawiej inaczej nazywać, bo ten wyraz «Spiriantus» jest dla każdego uczciwego djabła bardzo nieprzyjemnym; nieuwierzysz pan dobrodziej, jak podobna obelga niszczy wszelką życzliwość i odbiera chęć szczerego wystowienia się.

— Biesie, gadaj bez żadnych wybiegów, bez długich korowodów, — to na nic ci się nie przyda: ja nie

podług twojego własnego widzimi-się, nie podług twojego djabelskiego zapatrywania się na rzeczy, ale podług sądu zdrowego rozumu ludzkiego, chcę mieć każdy przedmiot, o który się ciebie spytam, jasno, zwięźle zrozumiałe wytłumaczonym.

— Więc byłbym przymuszony odbiegać zupełnie od moich zasad, a w takim razie obraziłbym moje przekonanie, moje wyobrażenia — i ściągnąłbym na siebie surową karę Lucypera; wszakżeż już za to, żem się dał panu dobrodziejowi schwytać i uwięzić, czeka mnie chłosta nielada.

— Masz wóz i przewóz, rozumiem jednakże, iż z Lucyperem szczęśliwiej się obłatwisz aniżeli zemną, bo ja krnąbrność twoję w jednej chwili na najpowolniejszą szczerłość zamienić potrafię, i jak się jeszcze jedyny raz w jasnych odpowiedziach wahać będziesz, żadne już twoje prośby nie pomogą, — a co cię czeka? zdaje mi się żeś zmiarkował. Czy ty sądzisz, że ja tylko jeden mam na ciebie sposób?... mylisz się bardzo. Może życzyłbyś sobie zażyć kropli Asmodeusza....

— O nie! nie, nie paniczku, nie, nie, ach mgło mi, mgło! cóż też jegomość zemną dokazuje.

— Ja cię kądlu otrzeżwię; gadajże, dla czego się szczególnie karczmami opiekujecie? a gadaj uczciwie.

— Trudna rada, — objaśnię pana dobrodziejka jak najmoralniej, jak najuczciwiej: oto, ponieważ w gorzałce jest grób wszelkiej waszej moralności, przez gorzałkę, przez mocne trunki, przechodzi człowiek w stan zwierzęcy, brzydzi się pracą, unika towarzystw uczciwych ludzi, oddala myśl o swojej duszy, o bliźnim; nie zastanawia się nad swoim przeznaczeniem, — i pijani popełniają najwięcej występków i zbrodni. Dla tego

starsi nasi bracia ustawicznie szepeą szlachcie w uszy: postaw karczmę! — bez pracy, za czystą wodę będziesz miał 500, 1000, 2000 do 3000 złp. rocznego zysku; poco wam sobie głowę łamać i mozolić nad staranniejszą uprawą ziemi, nad pilnem chodowaniem użytecznych domowych zwierząt, nad przemysłem rolniczym: załóż szynk, osadź pierwszego lepszego urwisa bez sumienia, bez religii, nie troszcz się nigdy o to, ilu się chłopów przez rok zapije, ile tam bezpraw popełnią, — nietamuj pijaństwa, ale je taniością gorzałki podniecaj, — zyskasz pieniądze! pieniądze na zaspokojenie twoich urojonych potrzeb, na ekwipaże, na uczty, na biesiady, rozpusty, na blask twojego imienia! nie będzie zaiste ten blask trwałym: pierwsza burza zatrze pozłotę, okaże brudy, — ale *czasem* wystarczy i na całe życie.

— A w miastach, miasteczkach, z jakiejże pokusy tak liczne zakładają szynki?

— Panie dobrodzieju! wszystko to nasza sprawa, od wyszynku, gdzie Żydek na fanty anyżówkę w blaszane nalewa kwaterki, aż do rzesisto oświetlonych sklepów, gdzie strojne dziewczyny poncz i grok witrijolowanym zaprawiają arakiem, aż do tych handlów win, które w rzemieśle wyćwiczony kiper przez różne zaprawy smaczniejszemi czyni, — wszędzie Lucyper wskazówką lekkiego zarobku, wielbicieli złota do podobnych przedsięwzięć zachęca, zniewala, i z łatwością tysiącami ich znajduje. Kiedy budują narożnią kamienicę, już jeden z nas przed pokryciem dachu, zaczają się gdziekolwiekby, chociaż w piwnicach, bo w tym domu cheiwy grosza gospodarz, bez naszego wpływu, niezawodnie szynk założyć. Na kamienicy narożnej, z kilku



stron znaki wzywające, zachęcające, wywiesić można; z trzech ulic widzą czarujący napis: »wódka, araki, likwory« albo »handel win« albo »zimne i gorące napoje, herbata i poncz« panie dobrodzieju 70 na 100 stracilibyśmy do roku, gdyby szynkowni nie było. Człowiek trzeźwy, przy największych błędach, znajdzie chwilę namysłu i zimnej rozwagi; — przeciwnie, używający ostrych napojów, złorzeczając ludziom, jeżeli się jego zamysłem nie wiedzie, zawsze w odurzeniu, brnie na oślep losu w różne przygody. — I kiedy trzeźwy, niestargany na siłach umysłu, wynajdzie prawdziwą przyczynę swoich nieszczęść, i szuka na przyszłość w sobie samym źródła pociechy i poprawy, tamten, przypisując złe przeznaczeniu, opuszcza ręce i gnieje beczynnością, lub w występku spodziewa się znaleźć pomoc jedyną. Trunkami zbestwiona wyobraźnia chwytta najbrudniejsze żądze rokoszy zmysłowej, łatwego w bogacenia się — zaspokojenia cielesnych namiętności, podsycania ostygłych, stwarzania coraz to nowych przysmaczków dla skalanego serca, bo łańcuch występków snuje się w ręce ludzkiej, jak miękka nie jedwabiu, i dopiero żelazne ogniwa zbrodni swoją ciężkością, zwracają waszą uwagę żeście się z nami zbracili.

— Aż miło słuchać, gdy prawdę mówisz... Powiedz mi Waści, czy już kiedy zastawiałeś na mnie sidła?

— Ja pierwszy raz dopiero mam szczęście poznania pana dobrodzieja, ale słyszałem od moich kolegów, że cię nieraz za nos wodzili, zwłaszcza na imieninach, które lubisz serdecznie obchodzić,

— »*Nulla regula sine exceptione*« niejestem świę-

ty, pamiętam dobrze mości Mephistophelesie, że mi się zdarzyło w gronie kochanych osób zalać czuprynę, ale zawsze żałowałem, że mi się dał uwieść zbytniemu zapałowi źle zrozumianej przyjaźni, i nagradzając błąd chwilowy, gromiłem jawnie i publicznie pijaków. Lecz z innej strony, nie podchwyciłeś mnie kłóren z twoich braci?...

— Wiesz to pan dobrodziej lepiej odemnie, że ta płeć piękna często panu dobrodziejowi zawadza.

— Bzdurysz mój djable! niezaprzeczam, że mi się winą moich gorętszych uczuć dla płci pięknej często potykał, ale to także niewątpliwą jest prawdą, że drugostronnie przez kobiety, wiele zbawiennego zyskałem.

— Pan dobrodziej mówisz zapewne o swojej najsza-nowniejszej małżonce — oj! cnotliwe żony, te solą są djabłowi w oczach! szczęściem dla nas, że takich nie nazbyt wiele, większa część swoją swarliwością przy-tłumia w mężu łagodniejsze uczucia; wymaganiem strojów wprowadza powolnego małżonka w długi, żądzą zabaw odrywa go od pracy i domowego życia, — a niewiernością tworzy taniec djabelski, z którego my wielostronne odnosimy korzyści.

— Naucz mnie, jak wy to rozpoczynacie takiedzie-ło nieporozumienia małżeńskiego, które bardzo wła-ściwie tańcem djabelskim nazwałeś.

— Rozmaicie: kiedy dziewczyna w domu rodziców zły miała przykład, kiedy była wychowaną bez bo-jaźni waszego Boga, przy pierwszej sposobności, bez najmniejszej namowy, przypnie ławowiernemu jego-mości ogromne rogi, a najgorzej zacząć, to już brnie się coraz to głębiej; — drugie wypadki, kiedy mąż ży-

je rozwiozłe, żonę swoją lekceważy, ponieważ ją i unika jej towarzystwa, natenczas słabych zasad istota chwieje się pomiędzy cnotą a fałszywą nadzieją uprzyjemnienia dni swoich, — sumienie wrzeszczy i upomina aż mu gardło zaschnie — tutaj, już my wysyłamy nasze przyjaciółki, szepną jedno, dwa, trzy słówka, od niechcenia, — albo też przedstawią obszernie, w najpiękniejszym świetle liczne dobrodziejstwa jakich one doznają, i nierozsądna ofiara zgubnej i niecnej przyjaźni, przechyla się na lewo, upada, — i zwykle, z bardzo małym wyjątkiem, na naszą własność przechodzi. W trzecim rzędzie mieszczą się te przemądre niewiasty, które przez spaczone i najbłędniejsze rozumowania dochodzą do tego stopnia, że wiarę mężowi za bigoteriją uważają; choroba takowa nigdy uleczoną nie bywa, ich dusze stają się najmilszą naszą zdobyczą. Czwarty a najliczniejszy rodzaj, są to te gąski, które każdemu słóvkowi zalotnego młodzieńca ślepo wierzą: powie jej pierwszy lepszy gawron, że bez niej żyć nie może, ona by z czułości swojego Boga się wyparła; — przyjdzie wymuskana lalka z mlecznym wąsikiem, i wyrzecz z westchnieniem, że piękniejszej istoty nie widział na świecie, że jest czarującą, że zachwyca i zniewala zarazem, że bóstwa jest obrazem, — gąska łączy leje, odpisuje na bileciki, nie może się wstrzymać aby niestanąć w umówioném miejscu, — zapomina o wszystkich obowiązkach, i lgnie jak mucha na lep; — dopiero, gdy ją lekkomyślny zwodziciel porzuci, gdy ją zniestawi, gdy nią cnotliwy mąż pogardzi, gdy ją odepchnie od siebie, gąska widzi się w przepaści najczarniejszych następstw, rozpacz, na bezdrożu znajduje nas z pociechą, stokroć

okropniejszą od jej dawniejszych występków. Za takie gąski nie wiele nam Lucyper nagradza; bo to lekki towar, w piekle obok należytej, a często powtarzanej chłosty, używają je do kuchni, do prania i do tym podobnych posług; młode biesy mają z nich jedyną zabawę, trąbiąc im ciągle w uszy: «Pani jesteś bóstwem, pani jesteś królową! różą! perłą! kolibrem! sylfidą! — kibić pani jest morzem upojenia! oczy sztyltem! — i niezliczone jeszcze głupstwa i brednie. Trafia się czasem, że gąska jest uparta i nieco roztropna, słówkom niewierzy, biletów nie przyjmuje, a jednakże przy wszelkiej ostrożności, chętnie widzi wielbicieli, — w tym razie posyłamy szczwanego lisa, najprzewrotniejszego zalotnika. Takowy panicz zawiera nibyto szczerą przyjaźń z mężem, względem pięknej gąski długo zostaje obojętnym, nie chwali wdzięków, nieczyni uprzedzających grzeczności, gąska się gniewa, czuje się jakoby upokorzona, pragnie pokazać, że na nią bezkarnie patrzeć nie można — i bez wiedzy co czyni, stara się podobać przyjacielowi jej męża, my też rozmaitemi drogami dmuchamy na tę początkową iskrę próżności niewieściej. Zwolna szpak, pod osłoną przyjaciela domu, zaczyna się mieszać do szczegółowych spraw małżeństwa: — staje się uprzejmym dla pani; łaje męża, sprowadza takie okoliczności, w których może coś niekorzystnego o jejomości powiedzieć, przezornie odśłania jego słabą stronę, i krętą ścieszką zyskawszy ufność, przyjaźń, miłość ostrożnej gąski, wyprowadzi ją w pole podłości, na którym my jejność już naszą chwytnymy. Znudziłbym pana dobrodzieja, gdybym miał wszystkie odcienia łatwowierności kobiet wyliczać, — próżność



jest ich bożyszczem, przez próżność popadają one w nieskończone błędy, śmieszności, — aż do występ-ków i zbrodni. A cóż dopiero rzec o wielkich pa-niach, o białogłowych z wielkiego świata, o tych isto-tach które napuszone zaszczytami swych mężów, rozu-mieją, że im wszystko wolno, że rzucając okrawki zbywające od przepychu i zbytków, na jałmużnę dla nędzy, albo na pobożne podarki, — że przez to w ich mniemaniu lekką winę, — winę wiarołomstwa, do-statecznie zmazały; my ich też z takowego błędu nie wywodzimy, owszem, rozmaitemi sposobami utwier-dzamy je w tém przekonaniu, że im wszystko wolno. Pan dobrodziej nie uwierzysz, co to dla nas za ro-skosz, gdy taką magnifikę ubrylantowaną, w blondy-nach, w aksami ach, wprowadzamy do piekła, o! w ten-czas to jest sposobność popisania się z naszą kawa-lerską galanteriją: jeden odbiera szal, drugi podaje lornetę, trzeci częstuje lodami, piąty pieści się z an-gielskim wyżełkiem pani hrabiny, — sam Lucyfer kła-niając się zapewnia, że jaśnie wielmożna pani prześli-cznie wygląda, rozmowa toczy się w francuskim albo w angielskim języku — dopiero gdy dyżurny djabeł na-dejdzie i zchwyci jaśnie panią za barki, i powlecze ją do kotła, wówczas śmiech i hałas wszczyna się pomię-dzy nami. Jak za życia w strojach i w przepychu je-dyne znajdowała upodobanie, tak ją też z brylantami, z blondynami, z aksamitami, pakujemy w kocioł, — ale zawsze ma się wzgląd na delikatność nerwów, i ko-cioł nalewa się nie gminną smołą, ale terpetyną i rozpuszczonym ołowiem, taka mieszanina kipiąc i sy-cząc, przejmie wskrós chociażby najzuchwalszą duszę.

— Dla czego wy się tak osobliwie nad niemi pa-  
stwiecie?.....

— Dla tego, że one miały pole dobrze czynienia,  
ich umysł niebył grubą niewiadomością pokryty, zna-  
ły one co złe co dobre, ale zbytciem przetuczone pa-  
nie zapomniaty, że godność ziemską od kary za zbro-  
dnie nie zastania.

— A cóż angielski wyżełek winien, że go z panią  
do piekła przynosicie?

— Piesek istotnie nic nie winien, prawda że czę-  
stokroć za kosztowną żywność bezużytecznej sobaczki,  
mogłaby była pani hrabina niejednego nędzarza zgło-  
dniałe dziecię nakarmić, prawda że on przez swoje  
przymilania się, i lichy wie jakie postugi, odwodził  
serce swój pani od uczuć ludzkości, jednakże zwa-  
żając, że to jest bezrozumne zwierzątko, kary nań nie  
wymierzamy, — tak sobie chodzi po piekle, dopóki  
któren z nas w postaci dandego nie wyjeżdża na zie-  
mię, do odgrywania wskazanej mu przez Lucypera roli  
błazeńskiej, w ówczas zabierze się i piesek.

— Dobrze żeś mi wspomniał — jaki też jest twój  
sąd o naszych dandych.

— Niewarto panie dobrodzieju i śliny fatygować,  
nadto na mnie już czas, powiedziałem jaśnie wielmo-  
żnemu panu szczerą prawdę, we wszystkim o co  
się zapytać raczyłeś, nie skłamałem ani słówka, zgrze-  
szyłem przeciw Lucyperowi niepospolicie, — spodie-  
wam się więc, że pan dobrodziej na ten raz mnie uwo-  
lnić raczy, a ja w każdym zdarzeniu stawię się bez-  
zawodnie na rozkazy jaśnie wielmożnego pana, i żeby  
pan dobrodziej nie myślał, że tylko obietnicami łudzę,  
daję słowo uczciwego djabła...

— Czyś zwarijował, czyś pijany?!

— O nie panie dobrodzieju! ja prócz jednego kubka smoły, nic dzisiaj w ustach nie miałem, ale jutro umiera o 40 milstąd były adwokat, któren trzem wdowom wydarł ich całe majątki; któren 20 sierot pozbawił najpewniejszych kapitałów, zniósłszy się z ich opiekunami; któren nigdy, chociażby szło o szczęście całego życia jego klienta, nie ukończył sprawy w jednym roku, ale ją rozciągnął na lat 2, 3, a czasem na lat kilkanaście; naśmiewał się ze swoich kolegów, którzy w obronie pokrzywdzonych niebiańską znajdowali roszkosh, którzy z niewiadomości i z nędzy bliźniego korzystać nie chcieli, którzy w mętnej wodzie ryb nie łowili, ani też nieznali tego łotrowskiego przysłowia »drzyj tyka póki się dadzą« — a i w domowym pożyciu, był niegodziwcem i hultajem, jakich mało. Jego duszę mnie rozkazano zanieść do złotego obłoku, — pewny jestem, że ją i do piekła odniosę; bo ile razy nam przewóz duszyczki powierzają, nigdy takowego towaru niezatrzymują w niebie, — jedyny raz tylko nieoddano mojemu koledze duszy pijaka, któren pomimo mnóstwa grzechów, od mąk piekielnych uwolnionym został, a to przez zasługę, że był prawdziwym poetą — i swoją poeziją zapalił w łonie całego narodu żądę cnót wielu. Lecz mniejsza tam o jednego, wielki poeta na sto lat wystarczy, a tych gryzipiórów, bazgraczy, tandeciarzy, kopami bierzemy do piekła, głupcy niemoralność w głupsze od nich głowy najczęściej zaszczepiają.

— Więc waszmość znasz się i na literatach? a w to mi graj! takiej postugi szczególniej potrzebuję. Pokażę ci kilku autorów na wsi piszących, objaśnisz mnie

z ich zdolnościami; w Warszawie spiszesz mi z treści-  
wém objaśnieniem całą czeredę płci męskiej i żeńskiej,  
do sławy autorskiej prawo sobie roszczącą; radbym nie-  
mniej mieć od ciebie sprawozdanie literackie z Poznania,  
z Krakowa, ze Lwowa, z Podola, z Ukrainy i z Woły-  
nia, z Wilna i ze Żmudzi, zgoła z każdego zakątka,  
gdzie tylko naukowa fermentacja obecnie się poja-  
wiła.

— Mniejsza o to, znam ja miejscowe jenijusze na-  
szego stulecia bardzo dobrze, w odleglejszych okoli-  
cach moi koledzy poinformowaliby mnie bezwyjątkowo  
o każdym autorze najdokładniej;— nadto, ze wszystkie-  
mi pisarzami romansów jestem w ścisłej przyjaźni, czę-  
sto zdarzy mi się, że śmielsze ustępy poczynającemu po-  
wieścio-pisarzowi sam skreślić muszę, i w przedmiotach  
wyłącznie historycznych autorom pomocnym bywam;  
o gorzelnictwie, o zastosowaniu wywarów na karmę  
dla ludzi roboczych, to ja panie dobrodzieju pisałem;—  
a każdy system filozoficzny, potrafię panu dobrodzie-  
jowi przenieć, na jaką chcesz panie barwę, jakkol-  
wiek nie przeczę, że czysta filozofia wyrządza nam pa-  
nie psoty bardzo znaczne; Lucyperowi wspomnieć o  
prawdziwym filozofie, któren przez potęgę silnego ro-  
zumu pojął najwyższe przeznaczenie człowieka na zie-  
mi, można go do szaleństwa przyprowadzić, i dla tego  
mamy polecenie czernić i potwarzać takowych mędr-  
ców; natomiast niedowarzonych filozofów, którzy się  
w labiryncie myśli niepojętych błąkają jak owce, tych  
panie dobrodzieju przedstawiamy ludzkiej publiczności  
z wielką skwapliwością, aby podług nich świat o filo-  
zofach sądził. Nowocześnie nakłoniliśmy kilka po-  
strzelonych głów, które przeciw filozofii, pod płaszczem



źle zrozumianej moralności, wystąpiły jawnie i publicznie, i chełpią się ze swojego głupstwa, chwając pokorę rozumu.

— Darmo się kusicie, postęp rozumu ludzkiego nie cofa się, — przestało być tajemnicą, że wy diabli jedynie rozsądne światło przytłumić usiłujecie, — dzisiaj niemal każdy człowiek wie już o tem, że światło i ciepło stanowią życie; — ciemność i zimno śmierci oznaką.

— A więc w piekle spodobałoby się panu dobrodziejowi, gdyż światło, to jest ogień, trwa u nas wiecznie, a na brak ciepła jeszcze się nikt nie uzał.

— Spiriantus! za wyrazy niepodchwytuj, bo to tylko żaków jest przymiotem, ani ich też krzywo nie tłumacz, wiesz ty dobrze, że o świetle umysłowem i o miłości bliźniego mówiłem, — raczej mi powiedz, któż to tych niedowarzonych półgłówków podusza, którzy nowocześnie z udaną prostodusznością, o potrzebie pokory rozumu rozprawiając, wieki średnie z grobu wskrzesić chcą.

— Ja panu dobrodziejowi szczerze i obszernie rzecz tę wyjaśnię, ale na to trzeba nam wolnego czasu, a ja muszę się spieszyć do owego b. adwokata. Lucyfer się cieszy na niego od dziesięciu lat, jak matka na powrót syna pieścioszka, i niechbym mu tę czarną duszyczkę z rąk naszych wypuścił, jużbył chyba przez 30 lat winy mojej nieodpokutował. Za szczerłość z jaką panu dobrodziejowi na jego pytania odpowiadałem, będę przymuszony uczęszczać przez jedno półrocze na prelekcje obludy, to zaś najnieprzyjemniejsza, że tę naukę nie starsi diabli ale czarownice, niegdyś dewotki, zbyt nudnie wykładają; ale jużbył ja potrafił wykreścić się

od téj kary, bylebym tylko z tym byłym adwokatem do-  
brze się sprawił.

— A cóżto? — czy wam tak skąpo o adwokackie  
dusze?

— W porównaniu z innemi stanami mamy ich liczbę nieostatnią, — pomimo, że wielu bardzo z nich przez sumienne wykonywanie swojego pięknego powołania, zupełnie się nas ustrzedz potrafią. Teraz właśnie zbywa nam na dobrym prawniku do ułożenia nowego kodeksu w Algierze i w Chinach, a wszyscy, co byli w piekle, wysłanymi zostali na poduszczanie usługnych nam pieniaczów, tak, że gdy Lucyper w przeszłym tygodniu miał process o duszę pewnej rozwódki, w braku praktycznego jurysty musiał dać plenipotencją filozofowi XVII wieku, któren u nas przez 50 lat drzewo rąbał i w piecach palił, bo dureń do niczego więczej zdatnym niebył, — za życia wykładał z katedry, że przedmiotowość umu nie jest absolutną.

— Później pomówimy o filozofach; teraz Spirian-  
tus przemienisz mi się w człowieka w porządnem ubraniu, postarasz się o pościel, rozbierzesz się i położysz się spać, iżby jutro gospodarz i gospodyni ro-  
zumieli, żeś ty w nocy przybył, i że jesteś podróżnym

— Panie dobrodzieju! jakżeż można być tak okru-  
tnym, a toć - że ja będę najnieszczęśliwszym z djabłów.  
jeżeli tę duszę postradam.

— Nie bój się, trafi ona bez ciebie....,

— Tak być to może, ale jednakowoż mógłby się  
zdarzyć przypadek; — w godzinę śmierci może się ode-  
zwać sumienie, gotów wynagrodzić pokrzywdzonych,  
resztę rozdać pomiędzy ubogich, i widzi pan dobro-  
dziej, już-by za to w niebie mieli wzgląd na niego,

i może by się potrafił wysliznąć od kary. Z panam prawnikami ostrożnie potrzeba. Oto powiem panu dobrodziejowi: dawnemi czasy jeden ze sędziów Piotrkowskich żywcem porwany do piekła, zrobił Lucyperowi process o gwałt, i co pan dobrodziej powie, wygrał w 1szej instancyi, w 2giej, już z czyszcza odpowiadał, dopiero w najwyższym sądzie potępiony i na powrót zwrócony nam został. — A o bagatelę tylko zahaczył, dowodząc że umarł w sądny dzień żydowski, że djabeł, któren z niego duszę wyciągnął, miał już trzy dusze żydowskie na ramieniu; a jest prawo na Lucypera, że potępionych Chrześcian z Żydami mieszać nie powinien.

— A to czemu? zły Chrześcianin bywa gorszy od najgorszego żyda.

— Prawda panie dobrodzieju!, — ale Żydzi mają swoich osobnych koszernych djabłów, — za to też żydowskiemu biesowi, podług przepisów, wara od chrześcijańskiej duszy.

— Więc ów piotrkowski sędzia niestusznie przegrał w najwyższej instancyi?

— Słusznie i niestusznie, bo on nie był ani Żydem ani Chrześcijaninem, — nosił płaszcz na dwóch ramionach. Gdyby on był panie dobrodzieju po wychrzczeniu się — na czysto waszą wiarę chrześcijańską wyznawał, byłby był wygrał, jak dwa i dwa są cztery, — ale fałszywy emigrant, w tym razie podrwiał głowę.

— Przemądrzałych taki zwykły koniec; tym czasem jednakże oczy mi się kleją, trzeba się wyspać panie djable, jutro pomówimy więcej; pojedziesz ze mną do braci szlachty wiejskiej, — napijesz się, na-

jesz się, i zrobisz może jaką pożyteczną dla siebie znajomość, a mnie objaśnisz w niektórych szczegółach owej wiejskiej pocziwości.

— Pan dobrodziej także umiesz i z miłej strony zachęcać; powiem zatem panu dobrodziejowi prawdę; — przy onym adwokacie już jest trzech biesów, on dopiero za 4 tygodnie umierać ma, — ja jeno chciałem podejść moich kolegów i pewnym fortelem uprzedzić ich, — byłbym sobie przez to u Lucypera wielką zjednał zastugę; lecz kiedy mnie pan dobrodziej pomiędzy szlachtę zawieść chcesz, to może być, że sobie wynagrodzę stracone korzyści.

— Proszę! jaką ty biesie masz ochotę do szlachty. Lecz nietraćmy czasu, już świta zaranie.

»Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! Spiriantus! zamień się w postać ludzką.«

— Najniższy sługa pana dobrodzieja, oto jestem na rozkazy, imię mi Edwín, nazywam się Zbrodniewski herbu Łotrzyk, moja mama Intryżanka z domu.

I stanął przedemną w piękném ubraniu urodziwy młodzieniec.

— Witam pana Edwina Zbrodniewskiego, bardzo zgrabnie wyglądasz, popraw tylko czupryny, bo końce rogów ci widać, a i z tyłu coś nakształt ogona się pokazuje, i te stopy są zbyt okrągłe.

— Nie obawiaj się pan dobrodziej! przytomnością umysłu wszystko pokryję.

22 Maja o 1-*ej* z północy. — Wczoraj równo ze wschodem słońca wyjechaliśmy z noclegu. Pawełkowi i Grzeli powiedziałem, że pan Edwin, którego zabieram, jest podróżny literat szukający starożytności krajowych. Cztery mile za Siennicą, — (miejsce i



osób po ich prawdziwem nazwisku wymieniać nie będę; gdzie dla gładkości opowiadania wypadnie, pożyczę imion zmyślonych, a chociaż się każdy pozna w swoim obrazku, wdzięczen mi przynajmniej będzie, żem go obcą nazwą zastonił). — W Pakułach pan Oślikowski, zapominając, że mi w roku zeszłym na jarmarku w Łukowie, kulawego konia pod słowem honoru za zdrowego sprzedał, — przyjął nas z szaloną radością. Hałas powstał w całym domu, jakby się paliło; jejmość z córkami uciekła do sypialni, iżby zamiast usmolonych, strojne włożyć sukienki, jegomość zruciwszy grubo watowany i srodze zużyty szlafrok, w naszej obecności wrzucał się w porządniejsze ubranie, wołając donośnie:

— Przepraszam! przepraszam! a to mi gość niespodziany; hej Janie! niechaj Mateusz wyda obroku dla koni, bryczkę wtoczyć na wozownię. — Hej Janie! Janie! zawołać ze stodoły kucharza, mogą w tém klepsku młócić bez pilnowania. — Cóż to? nie dałeś mi parzystych ciżemków? — Jejmości prosić aby się długo nie stroiła. — Panowie wybaczą, a nieraz mówiłem, gdzie panny na wydaniu, zawsze powinny być czyste sukienki... Zaraz panom służyć będę... Podaj mi atlasową chustkę na szyję—panowie przebaczą, żem nieogolony, człowiek przy gospodarstwie... Mój Boże! dopóki byłem kawalerem... Weronika! słyszysz kołowata, połóż ten czepek, przynieś mi wody, — ja jeszcze się nie umył, — jakoś przy gospodarstwie człowiek niema czasu się i umyć. — Darujecie panowie! zaraz podadzą wódeczki... Panowie zziębli?

*Edwin.* O tak przezacny panie, jechaliśmy pod wiatr a deszcz zacinał w oczy, niezawadzi kieliszeczek anyżówki.

*Ostlikowski.* Zaraz, zaraz... a to istotnie gość niespodziany.

Wkładając drugą rękę po-za rozdartą podszewkę, wybiegł z pokoju.

*Edwin.* Poczekamy z pół godziny, ręczę że w tym rozhovorze klucze od szafki zgubili; złaje żonę, zelży córki, wybije Weronikę, i dopiero poślą po kowala aby zamek odbijał. — I zgadł djabeł co do joty; najprzód słyszeliśmy przez cienkie ściany »klucze! klucze! gdzie jejmość klucze podziata!« — potem »a do rejment diabłów, gdzie są klucze?!«

»Ja tam twoich kluczy pilnować nie będę. Weronika wyprasuj mi haftowany kołnierzyk — »mnie tę jedwabną chusteczkę« — »i dla mnie pelerynkę« — »tylko się spiesz Weronisiu.« — »Ja kluczy chcę, bo wam te wszystkie tiule na ogień wrzucę.« — »Zawsze byłeś i jesteś impertynentem.« — »Ale ja jejmości powiadam że kluczy! natychmiast kluczy! potrzebuję« — »Emilko poszukaj ojcu kluczy.« — »Papo, może to te klucze?« — »Zwarijowała, klucze od sypania, a ja chcę kluczy od szafki, gdzie mam dubeltową wódkę.« — »Niema już tej dubeltowej wódki, wypił resztę pan porucznik.« — »Niedobra kobięto, kiedyś ty też resztę wódki wyczęstowała!« — »Papo, jest jeszcze w oplatanej butelce likier różowy z imienin mamy.« — »To także trzecia głupia, słodkim likierem, jak na muchy, każe mężczyznę częstować, a jeszcze byłego żołnierza, a i ten drugi marsowaty kawaler...« — »Mężu czy ty wiesz, że on kawaler?...« — »A bodajże ci się język przekręcił z twojem pytaniem, ja kluczy chcę a ona się wywiaduje, czy on kawaler, mówię kluczy!«

Potem zaczęli odstawiać kufry, szafy, łóżka; jegomość pokłócił się z jejmością na *de grubis*, panny płały; — Weronika wracająca po sukno do prasowania dostała w policzek, jegomość wydarł jej żelazko z ręki, uderzył nim o ziemię, i wypadł na dziedziniec wrzeszcząc co gardła: »Bartek! Bartek!... a zawołaj mi tam kowala, niechaj zaraz przyjdzie otworzyć szafę, bo klucze zginęły, — a spiesz jeno się, spiesz!«

Odrzekłbym się i dubeltowej wódki i całej gościnności pana Oślikowskiego, — i gdyby Grzela nie był już wyprzągł koni, — możebym był odjechał bez pożegnania. Edwin śmiał się do rozpuku i zacierał ręce. Mocne uderzenia młotem przekonały nas, że kowal ślusarstwa nigdy się nie uczył: pękły drzwi, — jegomość potraçał szkło, krzyknął: »Janie! kieliszka!« i wszedł do pokoju z dwiema butelkami w rękę:

*Oślikowski.* Panowie darują, ale chyba z araczkiem zmieszamy, bo likier za słaby.

*Edwin.* Sam araczek podobno będzie najlepszy.

*Ja* (do Edwina). Mylisz się pan, — jest to bardzo szkodliwy trunek, napijemy się likieru.

*Oślikowski.* Ale panie majorze, jakżeż można sam likier...

*Ja.* Bardzo proszę o sam likier.

*Oślikowski.* Już to pan major znów kilka lat w mieście przywykłeś do tych słodyczy: chociaż jedną kropelkę.

*Ja.* Dziękuję, — ani kropli.

W tem ukazała się z najmielszym uśmiechem na twarzy, gospodyni domu, pani Oślikowska i dwie mocno wysznurowane córeczki, zupełnie młode dziewczątka, ale już panienki na wydaniu. Edwin, jak uwa-

zatem, podobał się mamie od razu. Panienki się zarumieniły, oczki na dół spuszczaając, i tylko z ukosa (ale wyłącznie także na Edwina) od chwili do chwili spozierały. Mnie więc pozostał pan Oślikowski, który też chętnie i skwapliwie ucho moje na całe przedobiedzie zadzierzawił. — Opowiadał mi nowiny, które przed trzema miesiącami w gazetach czytałem, zapewnił mnie, że skoro odbierze spadek po swojej ciotce na Podolu, która i w 3em małżeństwie jest bezdzietną—przyczem genealogią dwóch nieboszczyków i żyjącego wuja, obszernie przytoczył — że natychmiast postawi na granicy od Paźdierza karczmę; że przypozwie sąsiada o 1½ morgi leszczyny, że powydaje córki za mąż, i że chce odpocząć na stare lata.

— A przecież pan dobrodziej w samej sile wieku, ileż sobie panie lat liczysz?

— Tak na pamięć nie wiem, urodziłem się w dzień 3ch Króli 1800 roku.

— A proszę pana Oślikowskiego, to krótka rachuba, weź pan dobrodziej kredkę, napisz u góry 1841, pod spodem 1800,—i odciągnąć, zero od jednego jeden, zero...

— Nul się mówi panie dobrodzieju.

— Zgoda, niech będzie nul; zaczniemy więc od początku: nul od jednego jeden, nul od czterech cztery, a zatem pan dobrodziej ma 41 lat, a że od 3ch Króli upłynęło już miesięcy 4, dni 16, przeto dzisiaj liczysz pan wieku swojego lat 41, miesięcy 4, dni 16.

— A tak, tak, mój Boże! dawniej człowiek z książką wstawał, z książką jadał, z książką się spać kładł,—a teraz przy gospodarstwie już matematyki zapomni, ale nie dziw, od ożenienia się, zupełnie się człowiek w naukach zaniedbał.



— A dawno się pan dobrodziej ożenił?

*Oślikowski do żony.* Nimciu! dawno my się pobrali!

*Oślikowska.* Nie prowadzę kalendarza, ale łatwo policzyć, Stefcia ma lat 14...

*Oślikowski.* Ba! ba! cóż znów gadasz, toć-że młodsza siedmnasty zaczęła.

Niewiem jakiby ta sprzeczka obrót wzięta,—szczęściem chłopak wyrostek otworzył drzwi i do objadu zaprosił, a że i panna Eugenia na małym klawikordzie wielką uwerturę już odegrała,—udaliśmy się więc, nie bez wielkich ceremonii, na salę jadalną, która miała rozmiaru 8 łokci w szerz i 5 łokci wzdłuż.

Po obfitym jedzeniu, za które Oślikowscy 10 razy niepotrzebnie przepraszali, po kilku toastach za zdrowie szanownych gości, czegośmy jednakże przed zdrowiem pani domu, a następnie pięknej konsolacyi, w żaden sposób przyjąć nie chcieli, — po czarnej kawie, i po jednym jeszcze kieliszku na słodką pamięć miłej z panem Edwinem Zbrodniewskim znajomości; trzykrotnie upewniwszy, że nam jest bardzo pilno, obdarzeni zbyt czułymi uściskami, — wyjechaliśmy z Paku o 3ej z południa.

— I cóż mi powiesz o tych ludziach?

— Oślikowski, jest-to sobie głupiec z najlepszym sercem w świecie. Było ich siedmiu braci... rodzice nie naglili żadnego do nauki, i ledwie że któryś 3cią klasę ukończył — obsadzili zaraz na dzierżawie, i o ile możliwość dozwalała najspieszniej żenili, pragnąc za swojego życia wszystkie dzieci postanowić — i szczęśliwie się im powiodło... bo obywatelstwo istotnie siedmiu rodzinami Oślikowskich zwiększone zostało. Wprawdzie pan Bonifacy, u któregośmy co dopiero byli, bez-

pośredniej korzyści nie wiele dla nas rokuje — bo to ni pieczone ni warzone, a nawet w karty nie grywa, i dla słabego organizmu płuc, pić wiele nie może, ale pośrednio i on i jego bracia i jemu podobni obywatele wielkie nam wyświadcniają usługi.

— Powiedz mi Spiriantus jakiego to rodzaju te wielkie usługi?

— Oto widzi pan dobrodziej... ci ludzie zajmują stanowisko z którego mogliby sprawom naszym niezliczone czynić przeszkody, lecz oni szanując moc czarta — niechcąc się djabłom narażać — drzemią w najniedołężniejszej obojętności — a to tchnienie ich roślinnego życia, jest-to tą pośrednią, wielką, niezmierzoną usługą dla Lucypera.

— A jejmość?... a córeczki?...

— Pani Nimfa jest naszą niezaprzeczoną własnością, — co do córeczek, gąski, gąski panie dobrodziej, starsza jednakże, jeżeli dostanie rozsądnego męża, może być najlepszą żoną, — natomiast młodsza, wdała się zupełnie w mamę; i czy uważałeś pan dobrodziej, jak oczkami strzela zaczepnie, będzie to z czasem dla nas djabłów smaczna potrawka, dzisiaj jeszcze niewiniątko, bo mama całą kontrabandę wyłącznie dla siebie zagarnia.

— Powiedz mi, czy przypadkiem nie byłeś w tej oto wiosce na lewo, skąd czerwone dachy tak dumnie z pomiędzy wałących się chałup wyglądają?

— Czy ja tam byłem?... nie raz, ale sto razy.

— A któż tam mieszka?...

— Pan! wielki pan! długów ma po uszy, bałe co tydzień; — z żoną w rozwodzie, syn za pożyczone pieniądze wyjechał do Wiednia, papka wybiera się do

Drezna, ale mu jeszcze na zawadzie termin subhastacyjny dóbr jego, któren gdy szczęśliwie usunie przez zwalenie taksy, wzięwszy od dzierżawcy na rok trzeci pieniądze z góry, pryśnie do Saksonii, zgra się co do grosza, zadłuży się w sposób najgwałtowniejszy, zmartwi się i umrze na plaure; nie będzie go za co pochować. — Wdowa rozpocznie proces z wierzycielami męża, lecz w Dobroczynności zakończy życie, — opłakując syna, któren ożeniwszy się w Medyolanie z bohatyrką sztucznych jeźdźców, sam także konnym bohaterem zostanie, bo od młodości miał wstręt do piechoty. W ogólności spodziewamy się z tego pałacu nie jednej korzyści.

— Otóż się nie ciesz zawczasu, bo ja przestrzegę nieszczęśliwego, — upamięta się, pogodzi się z żoną, syna z podróży odwoła, do Drezna niepojedzie.

— Gdybyś panie 12 adwokatów paryzkich i nieboszczyka ojca z grobu do pomocy zawezwał, gdybyście rok cały nad nim pracowali, — na nicby się to wszystko nie przydało, — bo w jego głowie i w jego sercu pusto i zimno jak w rozwalonej lodowni dla robactwa stojącej otworem. Brudne namiętności wgryzły się w duszę jego, najnikczemniejsza zmysłowość zaraz w młodzińskich latach pożarła sumienie, rozsądek i uczciwość nigdy tam schronienia nie miały, gdyż fałszywa ambicja, skoślawione punkt honoru, na rodowodzie tylko a nie na szlachetnych czynach opierające się, chęć górowania, czczość umysłowa, pycha i nędzna duma wzdęły tę pierś blaszkami pokrytą...

— Przestań Edwinie, zuam ja podobne poczwary, czyż nie możesz mi pięknieszych wskazać obrazów.

— Napotkamy i rzeczywiście zacnych i szlache-  
 tnych obywateli; — teraz kaź pan dobrodziej jechać  
 drożyną na prawo, z po-za tego brzozowego lasku do-  
 chodzi uszu moich jakieś palenie z biczów, niezawo-  
 dnie jest tam zjazd szlachecki, uczta, alba bachandrja.

— Właśnie na tę uroczystość proszony jestem, są  
 to imieniny pani Maglewiczowój, znam ją od dziecka,  
 z mężem chodziłem do szkół, z daleka mi więc bądź  
 od tego domu, pozostaniesz w zajezdnej stajni, i abyś  
 mi się nie ważył pokazywać we dworze.

— Najprzód w obecności pana dobrodzieja nic  
 złego przedsiębrać nieodważyłbym się; powtóre ja się  
 dopóty od osoby pańskiej odczepić nie mogę, dopóki  
 wiadomych wyrazów na wspak wymówić nie raczysz;  
 potrzebie chciałeś mnie pan dobrodziej zawieść po-  
 między szlachtę, słowa swojego cofać nie zechcesz.

— Prawda! a więc wezmę cię z sobą, ale pamię-  
 taj gdybyś tam chciał kogo do gry, do pijaństwa na-  
 mawiać, gdybyś mi zacne niewiasty bałamucić miał,—  
 niezważając na wstyd, jakiby cię spotkał, wśród wszy-  
 stkich publicznie ukarzę.

— Jak papę Lucypera kocham, będę grzeczny i  
 skromny.

— Pamiętaj, że dotrzymam słowa.

— Zastosuję się do rozkazów pańskich: ale jakżeż  
 na imieninach nie pić?... mógłbym popaść w podej-  
 rzenie, że nie jestem obywatelem, że z tego urodze-  
 nia, że temu domowi nieżyczliwy, że w sercu nie-  
 przyjazne żywię zamiary.

— Wolno ci pić tyle ile drudzy pić będą, ale ze  
 swęj strony nie zachęcaj i nie kuś.



— Co pan dobrodziej mówisz, ja sam rad będę, jeżeli obronną wyjdę ręką, bo to już nie raz się zdarzyło, że na imieninach, w starodawniej gościnności domu, i djabła panowie szlachta przepili, — a Lucyper za taką słabość chłoszcze przykładnie.

— Więc i djabłowi niewolno się upijać?

— Nie niewolno panie dobrodzieju. Lucyper twierdzi, że po pijanemu zaniedbuje się służby, i że często można wpaść w dołek, któryśmy dla drugich wykopalili. — Już mnie samemu zdarzyło się, że przebrawszy miarki, popełniłem okropne głupstwo: oto proszony w krakowskim na wesele do bogatego kmiecia, przez dwa dni w postaci dworskiego hołysza różne płaćtałem figle; darty się chłopcy za łeb, zmawiały się na niewiarę niewiasty, a ja tymczasem uwodziłem pannę młodą. Wszystko szło po mojej woli, — kiedy nad rankiem trzeciego dnia, naglony szczeremi prośbami rozochoconych Krakowiaków, palnąłem duszkiem pół garnca miodu, niewiedząc że był starszy od gwardijana, po którym sołtys jako najbliższy nieboszczyka krewny, niepozorną beczułkę w spadku odziedziczył był, a dzisiaj weselnym gościom wystawił. A że już trzecią noc nie spałem, że się już wypilo kilkadziesiąt półkwatek gorzałki i kilkanaście stułów jałowcowego piwa dubeltowego, cóż pan dobrodziej powie, straciłem równowagę rozumu, — całuję się, ściskam z organistą i proszę go, aby wylał święconą wodę z kamiennego garnuszka, który przy drzwiach był umocowanym: organista, któremu się kurzyło z czupryny jakoby ze sło-  
du na lasach, chwyta mnie za szyję i ciągnie do drzwi, wołając: »dobrze bratku dla ciebie wszystko uczynię« — jakoż uczynił pijanica, bo święconą wodę wylał mi za

koźnierz! Możesz sobie pan dobrodziej wystawić, jak ja tam wówczas ryczałem; — całe wesele jakby wymiół; skacząc z najokropniejszego bólu, — pułap, komin, chałupę rozwalilem, — i dopiero na Łysej Górze cioty i czarownice obłożyły moje rany żółcią i śliną kłótliwęj dewotki, co mi nieco ulgi przyniosło.

— Widzę, że pan Zbrodniewski był już w tarapatach.

— Przykra to służba panie dobrodzieju, czasem się wpadnie w takie położenie, że rady sobie dać nie można, np. znajomość z panem dobrodziejem to także dla mnie straszliwy przypadek, a niemiłych okoliczności to się przytrafia nieledwie co tydzień.—Będzie temu miesiąc jak mnie Lucyper wysłał do starego bogacza, aby go namówić, iżby pomijając ubogich najbliższych krewnych, cały majątek imiennikowi swojemu zapisał, niby to dla utrzymania świetnego imienia familijnego!... Udało mi się przewybornie, — ale wycierpiałem ja za swoje.

— Cóż takiego?...

— Była tam jego kuzynka panna Kordula, której tylko jeszcze trzy miesiące do piątego krzyżyka brakowało, pokochała się we mnie na umor; a! panie dobrodzieju! potrzeba było męstwa niepospolitego, aby te *amory* wytrzymać...

— Jakżeż się waść wysliznął?....

— Powiedziałem żem jeszcze niepełnoletni, że muszę się wystarać o usamowolnienie przez radę familijną, i że skoro tę zawadę usunę, natychmiast powrócę; — tymczasem pisujemy do siebie listy.

— Nie masz zaś belzebubie którego z tych listów?

— Mam ich już pić od dwóch tygodni, schowałem je we wronie gniazdo niedaleko tej karczemki gdzie mnie pan dobrodziej przyczłapił; jak pojedziemy z powrotem to po nie wnijdę na sosnę.

W tę chwilę zajęchaliśmy przed murowany dworzec państwa Maglewiczów. Pocciwy Hironim wybiegł na przywitanie, uściskaliśmy się serdecznie, poczem przedstawiłem mu pana Zbrodniewskiego. Zmieniwszy w pokoju Hironima nasze podróżne ubranie na fraki i obcisłe pantaliony, zostaliśmy wprowadzeni do salonów hawialnych. »Zono! August nie tylko że raczył dotrzymać słowa, ale i był tak łaskaw, że przywiozł w dom nasz miłego gościa.« — »Pan Zbrodniewski!«

Oczy liczego sąsiedztwa zwróciły się na nas, — ja tedy do powinszowań nie leniwy, co mi usta z sercem w zgodzie przyniosły, wypaliłem solenizantce. W niewinnem uściśnieniu całowanej rączki miłą znalazłem odpowiedź. Edwin zaś po francuzku, kwiecisto i gładko także życzenia złożył. Następnie dopiero gospodarz domu wiódł nas przed sędziwsze panie, z kolei i przed młodsze mężatki, potem wymienił nasze nazwiska przed zacniejszych obywatelami, potem pół-żartem przedstawił nas piękniejszym dziewczicom, potem miejscowemu plebanowi, potem poznał nas z rumianą młodzieżą, nakoniec zaprowadziwszy do stołu zastawionego rybą, mięsem, konfiturą, winem i likworem, oddał nas w opiekę pana podsędka, któren szczerze nad faszerowanem prosięciem pracował, a porter krajowy nad zagraniczny wychwalał. Gdyśmy nieodbiegając towarzystwa pana podsędka, uprzejmej woli gospodarza zadość czynili, już zmierzchać się zaczęło a jeszcze się goście zjeżdżali, i Hironim ciągle nowych kandy-

datów do podsędka sprowadzał. Po sowitem zadatku gościnności, to jest po śniadaniu, przy którym i jedzenia i rozmaitego napoju było podostatkiem, zdziwiłem się gdy jakiś jegomość szeroce o doskonałości swoich chartów rozpowiadając, zajrzał na zegarek i dosyć głośno rzekł: »Należałby nam się już objad.« Rozumiałem, że żartuje, aliści pan podsędek poparł jego zdanie, twierdząc, że bez rosołu to człowiekowi się wydaje że jest na czczo. Ślicznie mi na czczo, — pomyślałem — a toć żeś ty zdział w mojej tylko obecności niemal całe prosię, część pasztetu, talerz marynaty, pół funta kawioru, i słodyczy do tego co nie miara, zapijając co chwila winem i porterem na przemian, a zanim ja przybyłem, ileś ty to tam już połknął?...

Zgorszony takowem nienasyconem obżarstwem, udałem się do przyległych pokoi gdzie inni goście na rozmaite i różnorodne podzieleni gromadki, jedni w ulubionym nad życie wisku, nie tracąc drogiego czasu o dziesiątki lub o złotówki spór milczący wiedli; drudzy kwindecza albo ćwika złotem uczcili; inni faraona próbowali; byli i lubownicy maryasza do puli; młodzieź płci męskiej zbywająca od kart i od kurzenia fajek w oficynie, bawiła skromne dziewice przedpotopową grą »gadaj gadula gdzie złota kula«; niektóre mężatki opowiadały sobie na uboczu o wadach swoich mężów, o przygodach domowych, o przyjemnych znajomościach, o modach, o zamiarach na zbliżający się karnawał, w dodatku i o swoich dzieciach, które do szkoły odwiozły, — a gdy się wątek urywał, uciekały się do obmowy tych osób, które obecnymi nie były, — a plotki snuły się już w nieskończoność. — Upatruję gdzie mi się mój Edwin zachaczył, — aliści spostrzegam, że przy



stoliku w butelki i w kieliszki zaopatrzonym, żarliwie rozprawia. Aż siedmiu miał ciekawych słuchaczy, podsuwam się, a Edwinio właśnie dowodził, że cała pomyślność rolnika na Pistorjuszcu zależy.

»Panowie! — oto jego słowa, — dopóki nie ulepszymy gorzelni, dopóki chłopów w karby postuszeństwa nie ujmiemy, na nic się nie przydadzą te wszystkie nowoczesne wynalazki,—ja naprzykład przy zachwalonym przemyśle zagranicznych agronomów, byłbym z torbami z dziedzicznych wiosek wyszedł, gdyby nie propinacja, z której mi żyd regularnie 12,000 złp. płaci rok rocznie.«

— Żartuje pan Zbrodniewski, — ozwał się głośno, — wierzcie mi panowie, że w dobrach jego propinacja nie przynosi i 1000 złp., zaprowadził bowiem takie urządzenie, iż karczmarz za każdego pijanego chłopca sto złotych płaci kary, i miejsce za trzecią razą postrada, czego sam i przez swoich oficjalistów pilnie przestrzega. Natomiast przez pilną pracę, przez porządek, doskonale uprawna i zmierzwiona ziemia, chociaż tylko klasy III, 8 ziarn żyta, a do 12 ziarn jęczmienia wydaje; wysoko poprawne owczarnie, wzorowy chów bydła rogatego i koni, — olearnie, sprzedaż buraków do sąsiednich fabryk cukru, przędzalnia lnu i piękne wyroby płócien, corocznie zwiększające się jedwabnictwo i pszczoły,—porządnie zagospodarowane rybołówstwo, i wiele innych godziwych korzyści, które zaszczyt rolniczemu obywatelowi przynoszą, to są sumienne i szlachetne źródła jego bogactwa. — Mówiąc panom o ohydnej gorzelnictwie, chciał jedynie zbadać co panowie myślicie, pan Zbrodniewski bowiem zabiera się do napisania dzieła, w którym przyczyny

naszego ubóstwa krajowego wykryć chce, — a jego zdaniem zaniedbane i na gorzelniach tylko opierające się rolnictwo, za najgłówniejszy powód nieszczęść naszych uważa.

*Jeden ze słuchaczy.* A to pan Zbrodniewski podejść nas zamierzył...

*Edwin.* Zdawało mi się że panowie,... to jest że panowie moglibyście być przeciwnego zdania,... nie chciałem więc narażać się na zarzuty jakowe....

*Drugi ze słuchaczy.* Mów pan zawsze prawdę, a w najmniejszym będziesz kłopotcie.

Poszmer radośny, że lokaje na salę zupełną rakową i zapalaną już przynieśli, ocalił Edwina od dalszego wstydu.

Objad wystawny z kilkunastu potraw złożony, z cukrami, z ciastami, i rozmaitemi przysmaczkami, przy którym bynajmniej niezaniedbano »dam zdrowia, zdrowia solinizantki, JW. starościny, JW. prezesa wyborów radzców Tow. Kred.« z kolei »pięciu JW. J.W. sędziów pokoju, obywatelstwa, stanu duchownego, gospodarza, bodaj nam się dobrze działo« — i наконец »kochajmy się« — dopiero się o drugiej z północy zakończył. Potem nastąpiły tańce, i niekiedy kulawka z przyspiewką. Edwin dobrze cięty, już to pił jeszcze ciągle, niedając się nie tylko nikomu zawstydzić, ale nadto młodzieńczo zachęcając do kielicha, już to tańczył na zabój; — a przedewszystkiem, uważałem, że gąskom różne a śmiało szeptał pochlebstwa, — i chociaż dwa razy »Spiriantus!« na niego zawołałem, tylko się otrząsał a hulał dalej. Nazajutrz, to jest dzisiaj około południa, największa część gości rozjechała się; krewni domu, chory podsądek, i ja z Edwinem pozostaliśmy. Edwin

zamknięty przezemnie w oficynie pod surowém zagrożeniem, aby się z pokoju na krok nie ruszył, a dla skrócenia sobie czasu, aby mi wierny i szczerý obraz wszystkich charakterów osób, które wczoraj widział, sumiennie opisał,—za moim na spoczynek powrotem spał tak mocno, iż go się zaledwo dobudzić mogłem. — »Gdzież twoje wypracowanie?...« spytałem hultaja, który mi wczoraj bardzo wiele nabroił.

— Oto jest.

Patrzę — kilkanaście wierszy ni w pięć ni w dziewięć, wyłącznie pochwałę podsędka w sobie mieszczących. Widząc, iż przy mój zbytniej dobroci i powolności pan djabeł wziąłby na kieł, bez wszelakiej przedmowy zaczynam :

»Spiriantus! szołder! ad tuum inclitium numeratur słomka, quodque wiehetka, significamus te, (tu zacząłem go okładać, a zawsze wymierzając cięcia tak, iżby się krzyżowały) ne in vitia et scelera ruat sponte, sed semper quantum fieri potest nasze rozkazy uprzedzał, i szczerze na zapytania odpowiadał,— Spiriantus! hocis! pocus! horpiacum! hodacum! spiriantus zamien się w psa!« Poczém się przeżegnałem, — a w miejscu Edwina Zbrodniewskiego, leżał czarny pudel skanląc i tuląc się u nóg moich.

Jak pies gada? — »haf! haf!« — szczekajżeż teraz sobako, kiedyś mnie po ludzku słuchać nie chciał.

Nie wiem tylko jak to Hieronimowi opowiem, gdzie się podział pan Edwin — gdybym mu cały wypadek objaśnił, rozumiałby, że z niego żartuję; nadto przez trzy miesiące, przez trzy dni i przez trzy godziny, wedle podania starych ludzi, tajemnicę każdej przemiany djabła, zachować obowiązany jestem, w przeciwnym

razie miałby djabeł prawo szkodenia mi na rozmaitych drogach. Otóż udam, że pan Zbrodniewski odebrał pilne z Warszawy wezwanie, i że w nocy odjechał.

15 czerwea.—Dawno już do mojego dziennika nie wpisałem, ale bo też pomiędzy braćmi szlachtą o pisaniu i myśleć bardzo nie można, czyli i niema czasu; jeżeli nie stypa, to polowanie, albo gra azardowa, albo odwiedziny w sąsiedztwo i t. p. Czas wracać do domu, a i ich wylanęj gościnności, która różnemi sposobami pobyt mój na wsi uprzyjemnić pragnie, nadużyłbym wreszcie. — Wczoraj odczarowałem pudła w Edwina, oj łągał-że łągał Hieronimowi, że w sprawie honorowej musiał się nagle oddalić, że sekundował księciu Ludwikowi, że jeden przeciwnik śmiertelnie raniony został, a drugi na klęczkach obrazę odwołał — i t. d. i t. d.

Pawełek powiadał mi, że się tak w kuchni cieszą, że czarny pudel gdzieś zginął czy uciekł, bo im nadzwyczajne psoty robił. — Trwało powszechne mniemanie, że ten pudel został po komedijantach, którzy nazajutrz po imieninach pani, różne sztuki pokazywali we dworze, gdyż i pudel cudności umiał, aby czeladź zabawić i przebaczenie za poczynione szkody zyskać. Swoje rychlejsze odczarowanie zawdzięcza następującej okoliczności: graliśmy w faraona, wszyscy znajomi obywatele, na chwilę nie myśleliśmy, ażeby pomiędzy nami był jeden szuler, — a był nim dobrze urodzony młodzieniec, bank ciągnący. Śród gry wcisnął się do pokoju pudel, skoczył na krzesło i przypatrywał się pilnie, chciałem go z razu wypędzić, ale Hironima i wszystkich obecnych bawiła ta *psia ciekawość do kart*, więc pozostawiliśmy go na krześle, które mu jeszcze



dla większej śmieszności bliżej stołu przysunęli. Od czasu do czasu pudel szczeknął, i wówczas bankier się wzdrygnął i zarumienił, a gdy się to coraz to gęściej powtarzało, prosił aby psa wypędzić, — ale ja wówczas zmiarkowawszy, że to ma jakieś znaczenie, i wiedząc kim jest pudel, nie pozwoliłem na to, tylko go jeszcze pogłaskał. Nagle mój pudel kładzie na stół łapę i odgarnia stawione przezemnie pieniądze, ciągnie mnie za poję od surduta, a na bankiera warczy, pokazuje zęby i szczeka. Wszyscy śmiać się serdecznie poczęli, bankier zbladł, chciał przestać, lecz zgrani nie pozwoliliśmy na to; ciągnie więc dalej. — Stawiałem pamiętam na pikową dwójkę dukata, i oddalając się z pokoju, wyrzekłem do psa »pudel pilnuj wygranej!«—Ledwo żem wyszedł do sieni, słyszę nadzwyczajny hałas, wracam pospiesznie, pies ostremi kłami trzyma bankiera za rękę, i wolta z pod dwójki, na w pół wyciągnięta, w podróży zatrzymana, okazała się widoczną i niezaprzeczoną. Czy ze wstydu, czy z bólu, młodzieniec zemglał; obecni wytłumaczyli zaś to szczęśliwe dla wszystkich zdarzenie, że pudel musiał być rzeczywiście od komedijantów, że jest nauczony pomiędzy innemi i sztuk karcianych, i że mając bystrzejszy i przenikliwszy od nas wzrok, dostrzegł podłych figli bankierskich. Każden więc chciał tak przewybornego stróża sobie przywłaszczyć, ale on do mnie się tylko tulił a na drugich warczał. Hieronim twierdził, że gdyby takiego pudla miał był w Łęczny na jarmarku, byłby był bezzawodnie 500 dukatów nie przegrał. Wieczorem tegoż dnia, w oficynie, podług przepisów podania starych ludzi, bez świadków, liżąc go moje nogi pudla, za okazaną mi przy faraonie wierność, odczaro-

wałem w dawną postać Edwina Zbrodniewskiego. Rad był pan Edwin i wdzięczen nadzwyczajnie, twierdząc że mu czeladź w kuchni bardzo dokuczała, i że mu tęszno było do salonowych zabaw.

Pan Edwin uprzedzając moje życzenia, zaczął rozprawiać o osobach, które w domu państwa Maglewiczów poznał był, — jam więc wziął pióro do ręki i jego uwagi zapisywać chciałem, gdy w tém bystrooki spostrzegł, że nowych dwie stronnice przybyło, — a więc w prośby, abym mu przeczytał co w jego nieobecności napisałem.

— Czytaj waść głośno, pozwalałam.

— Ale może pan dobrodziej na mnie co pisał? a ja o sobie nie lubię czytywać.

— Zaczniij więc od tego miejsca »Istoty płci żeńskiej.«

— Dobrze, dobrze.

»Istoty płci żeńskiej na wsi urodzone, na wsi pierwsze wrażenia odbierające, na czas krótki tylko do wielkich miast na dokończenie ogłady oddane, a potem znów na wsi żyjące, po największej części na dwie główne klasy podzielić się dadzą; — albo są to stworzenia cnotliwe, łagodne, miłe, pełne naturalnej i przyzwoitej swobody, i przechodzą w ręce mężczyzn jak воск łatwo kształcić się dający, — i tylko winą mężów, jeżeli się nie staną wzorowemi żonami, matkami, paniami i obywatelkami, łaczenie i nierozdzielnie, — albo są to gąski ze wszystkiemi wadami prostoty i niedołężności umysłowej, które życie małżonków gorzko zasolą lub też skwaszą nielitościwie. Wpływ na moralną jakość kobiety wywierają pierwotnie: przykład matki, czystość i głębokość przyjętych zasad reli-

gijnych; wybór nauczycielki; osoby otaczające, np. babki, ciotki i poufale służące. — Mierność majątku rodziców jest dobremu wychowaniu najprzychylniejszą, bo majątek znaczny, lub nieco większy od szlacheckiego, wprowadza tym pseudo lub istotnym hrabiankom, tak niezdolne w nos muchy, tak wiele w ich wychowaniu nagromadza pańskich dodatków, fałszywych wyobrażeń, nikczemnej pieśczoły, zarozumienia, dumy i pychy, że sądzą, iż oddającemu swoje rączkę — zaszczyt, łaskę, nieopłacone niczem dobrodziejstwo świadczą; że przed nimi wszystko się czołem chylić powinno; że ich życie musi być splecione z wypieszczonych wygod, przyjemności i nieustających zabaw i rozrywek; że one dla tego idą za męża, aby w mężu znalazły wiecznie salonowego grzecznisia, którego zdaje się, że nad wdzięki poci pięknej niczego wyżej nie ceni, — że nawet same zaszczyty, które te panie zawsze chciwie i za każdą ofiarę nabyć pragną, małżonek nie z popędu własnego, nie dla siebie, ale dla wywyższenia żony gromadzić winien, — bo tytuł jest u nich źródłem i szczytem pomysłności, przed którym szczęśliwa rzeczywistość, kiedy nie jest głośną i błyszczącą, chociażby z najszlachetniejszych czynów wynikała, bardzo tylko podrzędną zyskuje wartość.

Mówią, że prędzej dzikiego konia ujeździć, aniżeli nałogi i upór kobiety zwyciężyć można, — ja jednakże zupełnie przeciwnego jestem zdania, i największą część wad kobiecych mężczyznom przypisuję.

Żona, gdyby rzeczywiście nie była cnotliwą i wzorową z zasad w pierwszej młodości powziętych i ustalonych, pod rozsądnym kierunkiem, pod gorliwą opiekunczą wolą *cnotliwego męża* zawsze się moralnie

ukształcić może. Ale pochlebstwa nasze i pierwszych chwil uległość, najwyższego dochodząca stopnia, staje się przyczyną złego w małżeństwie; — a nagła zmiana bywa częstokroć zbyt późną; — przymus gwałtowny, niewłaściwym. Z mieszaniny nierozsądku i nikczemności mężczyzn, na bujnym namiętności polu serca kobiety, wyrastają stugłowe nieszczęścia społeczeństwa ludzkiego, — bo kobieta jest o bardzo wiele większą połową życia naszego; — oddzielnie działając zamykamy się w  $\frac{3}{10}$  częściach wielkiej dramy świata, — a przez kobiety, dla kobiet, z ich pobudek, z ich natchnienia, za ich wpływem,  $\frac{7}{10}$  melodram, komedij, wodewilów, i tragedij odgrywanemi są. Nieszczęście, że na wychowanie kobiety tak mało dotychczas zwrócono uwagi, że temu wychowaniu przewodniczą ludzie bez głębokiej rozwagi, że chorobliwych umysłów dzieła w tej rzeczy pisane, do rąk powszechności dochodzą. Poprawdzie, umysłowa reforma samychże mężczyzn jedynie tylko na drogę ścisłej moralności kobiety doprowadzić zdolna. Dwa ku temu środki są niewątpliwe: czysty chrześcijaństwo i upowszechnienie zasad prawdziwej filozofii. Środek drugi pierwszego nie pominie, pierwszy drugiego od siebie nie odłączy. — Czy to zagadnienie, brzemienne w wielkie odmiany umysłowe wiek 19 w całości rozwiąże, wątpliwem jest jeszcze, bo materjalizm z kolébki olbrzymem rosnąc, może w samym nadmiarze (częściową ale nigdy wyłączną i główną — jak to wielu najmylniej sądzi) stać się przeszkodą do stanowczych postępów moralności, — chociaż w massach o moralności bez ulepszenia bytu materjalnego rozprawiać, jest to grubą niezajomością, o trzeb koniecznych natury ludzkiej.



— Pięknie, bardzo pięknie, szkoda że pan dobrodziej więcej nie napisał.

— Dziękuję za pochwałę, ale proszę aby waśc swoje spostrzeżenia z owego dnia imienin objawił i podyktował mi do dziennika.

— Dobrze panie dobrodzieju; otóż tak:

Ten jegomość w peruce, z czerwonym nosem, co ustawicznie dziastami używał, któren obok pana dobrodzieja siedział podczas objadu wtorkowego, — jest to szlachcic dawniej daty; on rozumie, że wcale z innej gliny ulepiony aniżeli biedne chłopki, — dla tego uważając ich za swój inwentarz, radby aby mu nie tylko codzień, ale i w nocy robili, a kiedy najemnikowi kwitkiem do karczmy, za 15 godzin ciężkiej i krwawej pracy żniwniej 15 gr. pol. zapłaci, zgrzyta zębami przez cały tydzień, i w niedzielę łaje ekonomą, dla czego się samą pańszczyzną nieobchodzi. Kiedy kto w jego obecności mówi o miłości bliźniego, on się oddala do drugiego pokoju i narzeka przed swoim plebanem, na zepsucie obyczajów, na szerzenie się fałszywych zasad, — dowodząc potrzebę przywrócenia dawnego porządku. — Pan Liszczurowicz co był po prawej ręce pana dobrodzieja, to znów inny egzemplarz: gada głośno i wiele o potrzebie ulepszeń losu włościan, o oczyszczowaniu, o konieczności wypośredkowania sprawiedliwej nagrody dla pracującego wieśniaka, o szkótkach parafijalnych, o szybkim usunięciu przyczyn pijaństwa, — ale w cichości, podwyższył w roku zeszłym liczbę darmochów, postanowił aby z zarobnej wsi o milę od jego folwarku odległej, ze wschodem słońca nie z domu wychodzili, ale robotę już zaczynali;

a iżby ulżyć cierpiącej ludzkości, po 2 gr. pol. na kwarterce gorzałki opuścić w cenie, — tańszej więcej się sprzedaje! Chcąc uchodzić za ucywilizowanego, karę cielesną zamienić na karę roboty do dworu. Przejdzie na dworskie pastwisko gęś, Walek musi postać na cały dzień swoją kobietę ze sierpem; przejdzie Maćkowe ciele — Maciek musi cały dzień młócić; przejdzie wół, chociażby i jednej trawki nie uszkodził, właściciel wołu, święty Boże nie pomoże — musi morg ukraińskiej miary, a jeszcze roli co twardszej i kamieniami napełnionej, zorać jak najdrobniej. Chciwiec na bezpłatną robociznę, twierdzi, że naszych włościan do niemieckiego porządku przyprowadzić chce, zapominając, że przed trzema laty gromadzie wszystkie pastwiska odebrał, — jak gdyby pańszczyzniany chłopiec w nędznym trójpolewem gospodarstwie bez pastwiska osobnego obejść się potrafił. — Skądże chłopiec ma brać przykład przysposabiania pastewnych roślin kiedy i we dworze, który mu zwykle za wzór służy, — podawnemu, jak za Adama gospodarują.

Książka agronomiczna, jeżeli ją pan Liszczurowicz przez grzeczność dla autora, którego brat albo przyjaciel wpływał na interes pana Liszczurowicza, przypadkiem takowym kupił, została z wierzchu ohejrzana-owinięta w stare rejestra pańszczyzniane i zamknięta do szuflady; aby zaś jakowej zarazy w gospodarstwo jego nie wniosła, bo najgorzej zaznajomić się z tymi rozprawiaczami, można tak jak i oni zwarijować. — Pan Liszczurowicz utrzymuje, że on swoim własnym rozumem na gospodarską potrzebę wystarczy. Jedyna jedna odmiana co ją skwapliwie przyjął — zaszła w maszynie Pistorijusza.

— Powiedz mi, a jak osądzicie pana pułkownika?

— Panie dobrodziej! jeżeli mam szczerą prawdę powiedzieć — mało jeszcze, bardzo mało u was takich ludzi. On ojcem dla włościan a nie panem, i to nie w słowie ale w czynie. Żaden i najdrobniejszy szczegół w ich życiu, nie ujdzie przed jego opiekuńczym okiem; — on twierdzi, że za ich los przed Bogiem i przed ludźmi teraz i na przyszłość jest odpowiedzialnym. Ale i w swoim rodzinnym kole inaczej zupełnie postępuje sobie jak panowie sąsiedzi: jeden z jego synów od 3ch lat pracuje w warsztatach maszyn angielskich; drugi od roku w Niemczech jest u wzorowego gospodarza wiejskiego, nie honorowym ale płatnym a więc koniecznym czynnym ekonomem; dwaj starsi po służbie wojskowej, są obecnie na publicznym urzędowaniu w Warszawie; — jedną córkę wydał za kupca do Krakowa, drugą wydaje za ubogiego ale pełnego zalet młodzieńca, którego rodzice na małej tylko żyją dzierżawie. A zapewne pan dobrodziej wiesz, że pułkownik do miliona majątku posiada, że pochodzi z najdawniejszych karmazynów, że jego nieboszczka żona hrabianka i wojewodzianka z domu, — ale on się za tę spruchniałą poręcz nie chwyta, idzie po drodze, którą przez proces myśli wyrobił, i błogo jest mu na sercu i w duszy. Gdyby go panowie szlachta naśladować chcieli, wiejski szlachcic byłby rzadkiem w piekle zjawiskiem, dzisiaj pełne ich kąty, niewiedzieć co z nimi począć, — do pracy leniwe, nieusłuchane, — trzeba przy każdym rozkazie chłostać, aby oduczyć dawnych nałogów. — Wystaw sobie pan dobrodziej, kilku z nich, Litwinów, wysłał niedawno Lucyper na wybory marszałkowskie: oni zamiast prowadzić powie-

rzoną sobie intrygę, zasiedli do wista, — i grali przez trzy dni i przez trzy nocy! o wszystkim zapomniawszy! Wybory się skończyły; dopiero po harapie dowiedzieli się, że najzawziętszy nieprzyjaciel Lucypera, marszałkiem obrany został. — Chcąc to tedy niby naprawić złe, pojechali na jarmark do Berdyczewa, aby tam ograć młodzież w faraona, i przez to co słabszych o rozpacz przyprowadzić i dla Lucypera pozyskać; ale i tam wystrychnęli się na dudków, zgrali się co do grosza; bo jarmarczne szulery są sto razy przebieglejsze w swoim rzemiośle od każdego djabła, niedopiero od takich trutniów, — trzy razy przysyłali do piekła po pieniądze, aż zniecierpliwiony Lucyper kazał ich pod strażą do siebie sprowadzić, i na nowo przez 9 lat gotowania być mają w smole.

— To wszystko dawniejsze błędy, dzisiejsza młodzież szlachecka inne rokuje nadzieje.

— Co pan mówi?... a toć-że poznałem ich i teraz u państwa Maglewiczów dziewięciu podobno: wystrojeni, wyprężeni — głowy z wierzchu umuskane tak jak u miejskich lalek, ale w głowie sieczka, jałowa sieczka panie dobrodzieju, w której ledwie gdzie-niegdzie ziarnko znaleźć można. Wyjdzie taki panicz ze szkół, których często i nie ukończy, wprost idzie na obywatela! I śliczny mi też z niego obywatel! on tyle wie o wielkości swoich nowych obowiązków i znaczeniu tego stanowiska, które zajął — ile zwyczajny organista o astronomii. — Dąć, minę stroić, puszyć się, w miasteczkach przesiadywać, lulkę palić, polować, do kieliszka się wkładać, w karty grywać, dziewczęta łowić, i karnawał uroczyscie obchodzić, to całą paniczów sztuką. Książki naukowej za wszystkie grzechy



nie weźmie do ręki, — a to mu na co?... Romans lekki francuzki, osobliwie ulubionego Pawlunia Koka, dla zabicia czasu, lub aby też ludzie mówili, że jest literat, z nudów, albo dla połechtania zmysłowości, przeczyta czasem. Gdyby zresztą nieukiem tylko był, a przynajmniej moralność i sumienność w sercu zachował, dałoby się jakoś ułożyć, — ale gdzie tam, oni i o moralności i o sumienności wyobrażenia żadnego nie mają. Utracił religijną praojców wiarę — nie przyjął czego rozum wymaga, i bez wiary i bez wiedzy — jest zwierzęciem, przywilejami gnuśności znieczyszczonem, wrzodem towarzystwa ludzkiego. — Pan dobrodziej zapewne się zdziwi, że ja djabeł tak jasną mówię prawdę; — możesz panie moje świadectwo prawdy nietylko rozgłosić ale i wydrukować; dzisiaj każdy się śmieje z takiej gawędy — przeczyta, przyzna że złota prawda, ale iżby miał podług tego życie swoje odmienić, zastosować, o to się my djabli teraz nie lękamy. — Ja przez żart wiedząc naprzód jaką odbiorę odpowiedź, szepnąłem w przeszłym roku jednemu pijakowi: »przyjacielu zapijesz się!!!« zgadnij pan dobrodziej co mi odrzekł?... Oto: »przyjacielu kiedy to smakuje!« i pił, i zapił się. Ja, co z początku panu dobrodziejowi wzbrañałem się niby prawdę na zapytania mi czynione odpowiadać, czyniłem tylko aby się z panem dobrodziejem drażnić, bo dzisiaj wolno nam djabłom prawdę gadać. Lucyfer twierdzi, że ślepe samolubstwo tak świat opanowało, iż, jeżeli czy wasza wiara, czy wasza wiedza stanowczo i energicznie przez swoich kapłanów i mędrców działać nie zacznie, nam w piekle i miejsca zabraknie. Przyznam się panu dobrodziejowi, my z lat dawniejszych djabli, tośmy i temu bardzo nieradzi.

— A to czemu?

— Lucyper już nas nie tyle szanuje co dawniej, powtórne roboty wiele: pakować w kotły, smażyć, piec; — a rzadko kiedy daje inne polecenia, bo teraz dusze już same do piekła przychodzą, a jednakże kiedy djabeł jest na ziemię delegowanym do jakiej sprawy, to się przecież i zabawi i rozweseli, — zresztą tych dobrowolnych za pieniądze zapisów, przed laty na tysiące ledwo się jeden trafił, i wielką było zasługą kogoś na cyrograf uchwycić, obecnie dobrze że nam wołowych skór niezabraknie.

— I któż się to tak u was zapisuje?

— Panie dobrodzieju! prócz chłopów pracowitych, nie masz stanu, w którym-by się kopami takich nie znalazło, co duszę swoją za pieniądze sprzedają; — dawniej rzemieślnik także do lękliwych należał, — dzisiaj tak się panu dobrodziejowi krawiec, szewc, kuśnierz, stolarz, śmiało na cyrografie podpisze, jak gdyby kwitek na kilkożłotowy dług wydawał. Albo te kucharki, młodsze miejskie, sklepowe dziewczyny — pokażę której piękną salopę w jednej ręce, a w drugiej cyrograf do podpisu, dobrze że mi ręki nie urwie, — i chociaż pisać nie umie, to trzy kółka przy świadkach naznaczy, i biegnie do swjej przyjaciółki opowiadać, jak to łatwym sposobem przyszła do pięknej salopy.

No! a dopiero wyżej! — aj! palcem ruszę, 10 przyłeci.

— Łziesz biesie, np. wskóraj co z panią Maglewiczową.

— E! bo też to wyjątek, mąż człowiek rozumny, rostopny, moralnie się prowadzący, — ona znów pobożna, skromna, do męża przywiązana, — w takiej

głowie i w takiem sercu, to dla djabła jakby zamurował.

— Widzisz więc że tylko pleciesz jak na mękach.

— Zobaczy pan dobrodziej, jeżeli pan 20 lat jeszcze pożyje, co się to wszystko przy dzisiejszym porządku nie stanie. Za dwadzieścia lat myśli pan dobrodziej, że ja będę od kota postaci pożyczał, albo od człowieka? ja panie z rogami w mojej naturalnej postaci, bez żadnych płaszczyków, będę chodził po miastach, jak gdyby w piekle; — w teatrze, na balach, gdzie pan chcesz, wniknę bez zgorszenia kogokolwiek, brzęknę pieniędzmi i dosyć. — A niech się wówczas księża albo filozofowie odezwą — śmiało powiem, a nie mogłeś dawniej gdy nie żałować, nie teraz, kiedy górą nasi, odzywać się jak śpiewak na puszczy?

— Spiriantus! nie mów hop! dopóki nie przeskoczysz, pierwój nim wyświat opanujecie, ja z rogów waszych drogę z Rzymu do Konstantynopola wybrukuję, waszemi kudłami 1000 kuźnie na 3000 lat w paliwo zaopatrzę, a z waszych ślepiów wystawię pałac, w którym się wojska całej Europy wygodnie i przestronnie pomieszczą; iżbyście zaś ludzi na próżno nie straszili, wezmę kilku uczciwych księży i jednego dzielnego filozofa, i Lucypera z piekła wypędzę, — rozumiesz mnie belzebubie!

— Rozumiem. Ale cóż tam z téj gołosłownej kłótni przyjdzie, uczynmy zakład.

— Jaki zakład?

— Jeżeli pan dobrodziej Lucypera z piekła wypędzić potrafi, ja dobrowolnie w święconej wodzie będę się kąpał codziennie przez cały rok, — a jeżeli pan do-

brodziej Lucypera z piekła nie wypędzi, wówczas duszyczka pana dobrodzieja do nas należy.

— Nie, tak nie chcę — ale tak: jeżeli wam za lat 20 będzie wolno bezkarnie w waszych naturalnych postaciach chodzić publicznie pomiędzy nami, bywać w teatrach, na balach i w pomieszkaniach naszych, wówczas pozwolę ci, abyś mi oczy moje, swojemi rogami wykłuł, — a jeżeli ja wygram, dam ci sto bizunów paskiem S. Antoniego, i ożenię cię z panną Kordulą.

— Panie dobrodzieju! jakaż proporcja!?

— Ja innego zakładu nie zrobię.

— Gdybyś pan dobrodziej o swoją duszę założyć się chciał, pod pewnemi warunkami z naszej strony, mógłbym spisać cyrograf.

— Pod jakimi warunkami?

— Najprzód, żeby nie na 20 lat, ale na 50 lat rzecz poszła, ażeby powtórę, przez te 50 lat nie ludzie nie pisali, nie drukowali; i potrzebie: ażeby przez ten przeciąg czasu żadne prawa obowiązujące nie istniały, tylko, aby każdy człowiek żył wedle swojej oddzielnej absolutnej woli.— Ale, ale! byłbym zapomniat, aby opinia publiczna zupełnie wygnaną została.

— Wierzę kądłu, że wtenczas i sam Lucyper założyłby się o swoje rogi. Widzę że zakład nie przyjdzie do skutku, ale powiedz mi nawiasem, czemuś ty wygnanie opinii publicznej do kardynalnych warunków dołączył, kiedy ona dzisiaj tak bardzo sponiewieraną jest?

— Jednakowoż płąsa się jeszcze pomiędzy ludźmi, zresztą mniejsza tam o nią, stara to prababka.

— Ejże! mnie się zdaje, że ona wam więcej zawadza, aniżeli ty w tę chwilę bąkasz.



— Nie, jak honor kocham....

— Ile razy psu-brat chce zełgać, zawsze się na honor zaklina, powiedz »jak Lucypera kocham!«

— A nie panie dobrodzieju ! na Lucypera nie godzi mi się zaklinać !

— Otóż, albo się na Lucypera zaklniesz, że opinija publiczna pomiędzy ludźmi, żadnych dla was przeszkód nie czyni, — albo mi szczere zdanie o opinii odśtonisz.

— Powtórnie upewniam pana dobrodzieja, że w żaden sposób na Lucypera zaklinać się nie mogę, gdybyś mnie panie i święconą wodą kropił, zgoła nie mogę.

— Więc wyjaw zdanie o opinii.

— Jak poprzednio mówiłem, jest to zastarzały przesąd, który bywa niekiedy hamulcem dla niektórych ludzi w niektórych czynnościach, ale iżby miał wpływać stanowczo na działania wasze, to rzeczywiście miejsca niema.

— Coś twardo ci idzie, ja więc bez twoich objaśnień, powiem ci, że opinija publiczna jest potęgą, której się nietylko najwięksi łotrzy lękają — ale że za zniszczenie jęj na ziemi, oddalibyście wszystkie zyski z pijanstwa, z nieczułości i rozwiązłości, i wielu jeszcze błędów i występków. Opinija publiczna przeszkadza najwyższym zbrodniom, i potrzeba człowiekowi za życia być szatanem, aby ją lekceważył, aby nią gardził, aby się z niej urągał. Głos opinii publicznej równie jak sumienie wgryzie się w każdą godzinę, w każdą chwilę snu i jawu życia człowieka, — głosu sumienia i opinii publicznej żadne roskosze świata przytłumić nie zdołają, są to dwa najokropniejsze mściciele znieczyszczenia serca i duszy. Każden zbrodnień, gdyby przed spełnieniem haniebnego czynu mógł odgadnąć

jakie męki, jakie prześladowanie zdeptane sumienie i obrażona opinija publiczna za nim poniosą, jak go zawsze i nieodstępnie ścigać będą najśmielszymi wyrzutami, o! odrzektby się po stokroć chwili, w której sumienie swoje i dobre imię za dogodzenie swym podłym i czarnym namiętnościom, lub bezwzględnie za garść złota zamienił.

— Każda rzecz ma swoje *pro* i swoje *contra*. Często stokroć sumienie jest niewolnikiem urojenia; opinija publiczna jeszcze częściej w mniemaniu wymierzania surowej sprawiedliwości, potwarze z siebie na najcnotliwszych wyrzuca.

— Skoro urojenie zamienia się w zasadę, dopóki tego urojenia rozumem i sercem nie rozwiążemy, — sumienie święcie je szanować powinno. Opiniya publiczna, gdyby w tysiącu potępionych, stu niesłuszną karą, potwarzą dotknęła, jeszcze będzie dobrodziejstwem bez granic. Potwarz jest to krwawy, okropny, bolesny, najdotkliwszy cios, jaki bliźni bliźniemu zadać może, — ale niewinne sumienie niesie cichą, skrytą, lecz błogą ulgę, — i wprowadzie cnotliwy, gdyby był najniesprawiedliwiej spotwarzonym, wygnania z pomiędzy ludzi opinii publicznej nigdy żądać nie będzie, bo on wie, że aczkolwiek, przypisywanej mu mylnie zbrodni nie popełnił, zawsze to jest winą jego, że się znajdował w takim położeniu, na takim stanowisku, w którym potwarz do najłżejszego prawdopodobieństwa zarzucającej zbrodni, gdyby i cieniem zbliżyć się mogła. Prawda! że i wzór cnoty i poświęceń za dobro ogółu potwarz zjadliwym owionęła wyziewem, ale było to tylko chwilowe, przelotne zaćmienie, i nigdy cnotliwego potwarz aż po-za grób nie sięga.

— Czy pan dobrodziej nieczytał historyi?... jak za ledwo po upływie wieków, przypadkiem, spotwarzoną cnotę w jej istotnem, w jej należnem świetle odśłoniło.

— Być mogło, być jeszcze może, ale dla bardzo rzadkich zdarzeń, dla kilku niewinnych ofiar, zbawionych skutków potęgi opinii publicznej zrzekać się, byłoby klęską dla świata.

— Ale cóż się stanie z waszem: *«pereat mundus fiat justitia»*.

— To łudzące pozorną wielkością zdanie, gdyby się i właściwie na potępienie opinii publicznej zastósować dało, jak w wielu względach częścią tylko jest wygłoszenia, albo tarczą pod którą oddalona myśl zbrodni się kryje, tak i tutaj jeszcze niedostateczną jest bronią przeciw opinii publicznej.

— A czyż pan dobrodziej zapomniat o prawdzie z warsztatu wiedzy? wszakżeż to tylko taka prawda ma być zasadniczą;—daż się zaś opinja publiczna w piecu wiedzy absolutnego stanowiska zahartować? nie pieknież jej ostrze pod młotami prawdy wiedzowej?... aha! złapałem pana dobrodzieja.

— Nie złapałeś, ale ja dzisiaj do dalszej rozprawy nie mam ochoty, jestem znużony, ruszaj spać.

— Spokojnej nocy panu dobrodziejowi życzę.

— Bodajś się jęzorem udławił.

— Oj prawda! że pana dobrodzieja kaszy szydłem jeść nieuczono. Któż to panu dobrodziejowi powie-  
wiedział, że od biesa dobrego życzenia przyjąć nie-  
należy.

— Gadaj do muru, ja ci nie odpowiem,—i kończąc  
dzisiejsze pisanie idę na spoczynek.

16 *czerwca o 10 wieczorem.* — Hieronim niechciał mnie puścić, byłbym jednakże odjechał, ale jak jego miła i anielskiej dobroci żona zaczęła szczebiotać, gruchać i prosić, musiałem pozostać. Niewiem czy jest na świecie naród, któren-by Polakom w gościnności zrównał.—Edwin sprawował się dosyć przyzwoicie, grał na fortepianie, śpiewał wyjątki z Roberta Djabła, i byłbym był zupełnie z niego zadowolony, gdyby nie figiel jaki wypłatał kwestarzowi. Z południa, ale jeszcze przed objadem, przyjechał lajek czy braciszek za kwestą, zaproszony aby się na obiad zatrzymał, chętnie na to przystał. Mało nas było osób do stołu, Edwin więc sąsiadował z kwestarzem. Przed rosołem, kwestarz się przeżegnał i zmówił modlitewkę, co zapewne djabła ubodło, a wiec zanim braciszek łyżkę do ręki wzięść zdążył, pan Edwin poczęstował go tabaczką. Skory do takowej przyjemności, kwestarz należyty ładunek w obie dziurki wpakował, lecz za ledwo, że się ku talerzowi schylił, tak nagle go mocna wietrznica nosowa napadła, że jak kichnął, wszystek rosół opryskał mu twarz, i talerz pęknął na dwoje. Wraz z Hieronimem śmialiśmy się do rozpuku. Pani Maglewiczowa zaś i dzieci wylękły się nadzwyczajnie, ale bo też aż szyby w oknach zadrżały. Biedny kwestarz wstał od stołu dla otarcia stłuszczonej twarzy, wyszedł, i już niechciał powrócić, gdyż ciągle przez kilkanaście minut powtarzały się napady gwałtowne; podobno że dopiero po płókanu zimną wodą, objad w pokoju pisarza prowentowege spożyć mógł.

Gdyśmy panu Zbrodniewskiemu zarzucali, iż taką psotę pokornemu lajkowi wyrządził, tłumaczył się, iż jako żywo on tego przyczyną nie jest, pokazywał ta-



bakierkę, zarzekając się, że inną nie nosi tabaki jak petersburską z francuzką na wpół zmieszaną. Pani Maglewiczowa uczyniła uwagę, iż pan Edwin podczas swój w ich domu bytności nigdy tabaki niezażywał. Edwinio odrzekł, że istotnie nigdy nie zażywa, i tylko do konwersacyi ze starszymi ludźmi, tabakierkę przy sobie nosi. Piękna konwersacja! szczęściem że kwestarzowi nos nie pękł na dwoje. Pożegnałem się dzisiaj z ukochanym gospodarstwem domu i z ich ma-  
leńkiemi dzieciaczkami, bo jutro bardzo rano wyjechać pragnę.

18 *ezerwca*. Wczoraj wstąpiliśmy jeszcze do dwóch domów wiejskich obywateli, i to tylko na kilka godzin, bo listy odebrane z Warszawy nakazywały mi przyspieszyć mój powrót. U pana Pogodnickiego znaleźliśmy nader piękny księgozbiór, gospodarstwo wzorowe i wszystko umysłowemi postępami XIX wieku tchnące i nacechowane. Edwin utrzymywał, że pan Pogodnicki do wyjątków należy. Ale gdyśmy u pana Jasnowicza, tak samo jak i u pana Pogodnickiego zastali, skwasił się i rzekł: z przykrością wyznaję, żem się tego niespodziewał, znałem ojca: zuch szlachcie do korda, sami djabli go respektowali w tej mierze, ale za to w domu nieład, ciemnota, gościnność w wyuzdaną rozpustę zamieniona, a prócz kalendarza Pukszty i książki jejmościnej od nabożeństwa, innego druku nie znali,—byłbyś panie od razu przyznał, że to puścizna po Sasach: leń, rozleń, sciskaj, wrzeszcz i całuj, ale o mądre słówko niepytaj! Gdzież to syn do ojca podobny! stoliki które kiedyś pod butelkami stękały, dzisiaj założone pismami, wzorami, modelami, jak gdyby u jakiego księgarza i me-

chanika razem. Co on gadał, że ta przesłiczna stołowa bielizna z jego fabryki pochodzi? — toć-że tu dawniej także kilka zagonów lnu i konopi zasiano, iżby drelichu na worki nie kupować, i dla służących co grubszego zrobić płótna, ale zresztą wszystkie inne lniane wyroby sprowadzało się z zagranicy.

— Widzisz tedy Belzebubie, że my się opamiętywać zaczynamy, i żeśmy poznali ów wielki występек rolniczego kraju, kupowania lnianych wyrobów od cudzoziemców. — Prawda, że małą jeszcze liczbę naśladowców znalazł pan Jasnowicz, niemniej dla tego szczyci się rzetelną wdzięcznością godniejszych obywateli, którym wskazał praktyczny wzór, jak się ze lnem obchodzić, jak go bielić, jak go na maszynach prąść, na kopowe płótno i na piękne obrusy wyrabiać należy. A wiesz ty kądłu czem to pachnie? oto, jak przez postępy wynalazków i zamiętowanie przemysłu i porządnego gospodarstwa dojdziemy do tego stopnia, że nasze potrzeby na drodze uczciwych zysków, a nie na uciemżeniu i nie na pijaństwie chłopów ugruntujemy, że stan wiejski pracę swoją sprawiedliwie wynagrodzoną mieć będzie, — wówczas i ścisła moralność wszechstronne, obszerne rozłoży panowanie, a wy biesy chyba pomiędzy dzikimi ludami zdobyczy szukać będziecie.

— Ho! ho! ho! daleko jeszcze do tego, a dlaczegoż niewstąpiliśmy do Rozdętowicza? do pana Zgoniny? do Dymalskiego? do Kuflewicza?... Wielkie rzeczy z pięćdziesięciu, wybrać dwóch i nimi ogół zastawiać. Nie spostrzegłeś się pan dobrodziej, że będziemy przejeżdżali przez miasteczko, w którym jest jar-

marczek, zaraz ja tam panu dobrodziejowi pokażę znów moich partyzantów.

Jakoż niezadługo dojechaliśmy do czerniących się chat ciasno w ulicy zbudowanych, przy końcu której na kwadratowem wzgórzu, morze głów ludzkich nieustannym kołysało się ruchem. Gwar i wrzask tocząc się po rozległych polach i łąkach, oparłszy się o ściany gęstych gajów, szukał drożyny albo szerokiego gościńca, aby się dalej rozlewał, bo na jednej przestrzeni było mu za ciasno.

Niechaj śmiały malarz poważy się na ten wielki obraz! niechaj te siwe, czarne, z błękitnemi, z zielonemi, i gdzie-niegdzie jeszcze z czerwonymi wierzchami baranie nagłowia chłopków naszych, dobrze zmiesza z drugą niemal połową kapeluszy i czapek żydowskich, niechaj potrząsie mnóstwem białych czepców kobiecych i różnej barwy chust, niechaj niezapomni o kaszkiecikach z rydelkami panów dzierżawców i ekonomów; niechaj wyrysuje 500 rąk żydowskich w górę podniesionych, które dla dobicia targu mierzą w szerokie dłonie chłopków; — po-za płóciennemi budami niechaj odmaluje, przeprowadzane woły, krowy, cielęta, nierogaciznę, gromadki schudzonych koni, na których żydowskie szajgiece lub starszachraje po głębokiem błocie klusem się puszczają, — a na uzupełnienie niechaj i żydówki, towary krótkim łokciem mierzące, i wiejskie niewiasty z gęsiami, z kurami pod pachą, targujące się, — i niewidomych i kulawych dziadów dwa rozstrzelone tuziny umieści, będzie zwierchnia całość w zupełności. — Ja tymczasem pójdę za Edwinem do domu pana Herszka. Przez pierwszą wielką izbę, w której kilkaset rozmarzonych głów hałasowało,

w której tyleż pąsowych twarzy płci obojęj tysiące szczerych odbierało całusów, w której silne ramiona pod serdecznemi uściskami trzeszczały, w której wypłaty za uczynione kupno z wielką trudnością rachunku odbierane były, w której zapach gorzałki, śledzi i jarmarcznych kołaczy, walczył o pierwszeństwo z innemi wyziewami, — parci i popychani, jak gdyby twierdząc zdobywając, dostaliśmy się do szabasowych pokoi rodziny Herszka. — Poncz, herbata, kwaśne wino i zwierzały porter, 4ch dziedziców, 19 dzierzawców starych młodych, trzech od sądu, dwóch z obwođu i z kassy miejskiej, — pięciu w czarném ubraniu, burmistrz w uniformie, i rzeźnik warszawski, z trzosem na wspaniałym brzuchu, kilku podleśnych rządowych po służbie ubranych, żydzi z piernikami i z karmelkami bezprzestannie wrzeszczący: «cetno! lichu!» posługująca Ryfka i zwinny Abrahmek, do czego dołączywszy przyległy alkierz, w którym ekonomowie, gorzelani i pisarze prowentowi w liczbie nieposledniej, za przykładem swoich panów, trunkami się zasilali — oto trzeci obrazek, — i jest cały jarmark.

Co w salonie pana Herszka mówiono, o czem rozprawiano, trudno powtórzyć, bo i tam jak w wielkiej szynkownej izbie krzyżowały się języki, i tylko panującemi były głosy: »jeszcze sześć szklanek herbaty! — cztery szklanki ponczu! cetno! lichu! dwie butelki porteru, — hej panno Ryfko butelkę wina! — ponczu ośm szklanek! — szajgiec, porteru! — walny jarmark!»

Z przed okien zaś dochodził śpiew zataczającego się kmiecia:

»Pódźma do doma!

Pódźma do doma!



Gorzałeczka szepce:

Napijta się jesteście!

Już o mil kilka zostawiliśmy jarmark za sobą, a przecież drogi i wszystkie karczmy napętnione były pijanymi z jarmarku, a tych jarmarków w każdym niemal miasteczku po 12 do roku! — nadto przypomnijmy sobie liczne odpusty, a dziwić się nie będziemy, dla czego tak gęsto gorzelnie stawiają. Niewątpliwą jest prawdą, że przynajmniej 100 razy do roku połowa naszej ludności bywa jeżeli nie najzupełniej pijaną, to rozmarzoną aż do odurzenia zmysłów.

Smutnemi uwagami zajęty, nie stawiałem oporu prośbie Edwina, abyśmy nigdzie nienocując, spieszeń do Warszawy przybyli; djabłowi pilno było do miasta.

Dzisiaj o godzinie 7-jej rano stanęliśmy w Warszawie. Żona moja na pierwszy widok Edwina, uczuła do niego wstręt nadzwyczajny; i zwykle gościnną, tą razą prosiła mnie, abym pana Zbrodniewskiego do naszego pomieszkania nieprzyjmował. Niewyjawiając rzeczywistych powodów, przekonałem ją, że pan Edwin u nas koniecznie mieszkać musi, jakoż dałem mu osobny pokój z oknami na ulicę.

Hultaj rozgościł się na dobre, ubrany w czerwony szlafrok, z ogromnym bursztynem w ustach, puszcza na ulicę kłęby *Turka*, któren zdaje się mieć siłę magnetyzującą kobiety, bo niemal każda z przechodzących podnosi w górę melancholiczno - mglejąco - romantyczne oczy, i sam słyszałem, jak gąski podziwiały piękne włosy młodzieńca; — ale bo też pan Edwin włosy przede wszystkim w najmodniejsze zaokrąglenia ułożył i cudnemi olejkami namaszczył. Zakazałem mu surowo, aby wizyt żadnych nie przyjmował, aby bez mojego

pozwolenia nie wychodził. Będę miał z nim biędy nie mało, bo tylko drży do miasta. Już się dowiedział co będą w teatrze grali, i chce być koniecznie na balcie.

*20 czerwca, późno w noc.*

— Jak widzę mości djable! zapomniałeś o winném mi posłuszeństwie, o uroczystych przyrzeczeniach, i od 36 godzin, przynajmniej 36 razy na karę zasłużyłeś.

— Panie dobrodzieju! do szlachetniejszych uczuć gościnności pańskiej odzywam się i proszę, racz bez gniewu, bez uniesienia, powiedzieć mi w czém zawiniłem?

— W czém zawiniłeś? Bezczelniku! A 7 numer łoży pierwszego piętra?!... a owo narzucanie się tym młokosom, z którymi się na niecne bachandrije zma-  
wiałeś?! A te konszachty z podejrzanemi osobami?!—  
A z czyj-że to winy, że ja przez 12 godzin na lewe ucho słowa jednego zrozumieć nie mogłem, he?

— Najszanowniejszy panie! ale czyż można było wstrzymać się od najszczytniejszego zapału! — kiedy to piękne stworzenie ledwo końcem drobnej nóżki dotykając ziemi, dłotem mistrza utoczoną postacią, czarującym obrazem zawisło w powietrzu, kiedy nagle rzucając się z najrozkoszniejszym powabem na rękę kochanka, okoliła jego głowę różanym obłokiem, i pochylona ku widzom niosła zabójcze na naszą spokojność spojrzenia; albo znów, gdy wartkim polotem roz-  
toczyła bogactwo wdzięków, przed któremi sam Kupido płomieniem-by się zapalił!— i jaż miałem być gła-  
zem bez czucia, bez zmysłów, bez serca, bez duszy?!...

— Stój błaznie! to za wiele; — o jakiej duszy gadasz?

— Panie! o duszy estetycznych pojęć, sztuki, postępu XIX stulecia! o duszy filozoficznemi marzeniami nieskalanej, o duszy niewinnych młodzieńców!

— »Głupców!« chciałeś zapewne powiedzieć!

— E! bo pan dobrodziej mantyczy, czemuż młodzież nie ma mieć tej przyjemności zabawienia się grzmotem poklasków.

— Łotrze! ja nie zabraniam uczyć talent artystki, ale nie z taką szaloną wściekłością, do jakiej wczoraj pobudzałeś. Bez miary, bez granic, wrzeszczeć, pukać, ryczeć, wyc, piszczyc, skamleć, a toć-że artystka w balecie nie jest zwierzęciem w kniei; i co innego jest, jak już rzekłem, uczczenie talentu, a co innego do osoby zastosowana najnieprzyzwoitsza, jawna gwałtowność, która i artystkę i publiczność obraża. — Ty mnie dobrze rozumiesz! ale to właśnie twoja pociecha tego rodzaju namiętności młodych ludzi. O! ty byś rad był, żeby na każdym balecie tuzin młokosów zwarijował, aby ugrążwszy w najgrubszą zmysłowość, każdy zapomniat o swoich obowiązkach, o rozsądku, o rozumie, — a ty byś już potrafił z błędów lekkomyślności do występków i dalej jeszcze poprowadzić; i podobno że wy biesy niczego więcej nie pragniecie jak z młodego serca wygluzować umiarkowanie i czystość obyczajów.

— A cóż pan dobrodziej żądasz, abyśmy djabli moralności przykłady dawali?!...

— Dopóki pod moją władzą zostajesz, zabroniłem i zabraniam ci czarcie wszelkich spraw szatańskich. A któż to przyrzekł, że się będzie sprawował najskro-

mniej, najprzyzwoiciej; że regularnie każdego dnia opowie mi co widział, jak widział, w czém złe, w czém dobre znalazł, — z jakich przyczyn powstało to złe lub dobre. Miąłeś lamparcie zapoznać się z literatami Warszawskimi.

— Znam wszystkich.

— Nieprzerywaj!... miąłeś zgłębić ich zdolności, ich chęci, — a ty z gąskami wojować, mlecznych lwów za nos prowadzać, i lekkim zarobkiem na swoją rękę trudnić się chcesz, — oho! nie taką była nasza umowa! Spiriantus! gorzko ty pożałujesz lekceważenia mojego zwierzchnictwa, i jeżeli jedyny raz jeszcze zejdziesz z drogi jaką ci zakreśliłem, nie w psa jak dawniej, ale w małpę zamienię, i każę cię przez 3 lata prowadzać po mieście, aby się z ciebie uliczne chłopa-ki naśmiewali, i na większy wstyd przy zewnętrznej postaci małpy, rogi djabelskie zostawię. Uciekasz od literackiej posługi, a więc dobrze! zrobię z ciebie baletnika! będziesz małpa djabeł z niedźwiedziem po ulicy tańcował.

— Panie dobrodzieju! prawda! troszeczkę się zabawiłamuciełem, ale jak honor kocham poprawię się od poniedziałku. Co było to nie jest, nie pisze się w rejestr. Od poniedziałku poprawię się.

— A przez sobotę? i przez niedzielę?...

— Te dwa dni panie dobrodzieju to jeszcze moje. Na jutro zaproszony jestem na kawalerskie śniadanie. W niedzielę rano jedziemy w dobranem towarzystwie płci pięknej, *incognitissime*, omnibusem panie dobrodzieju, o półtóry milki stąd, na śmietaną. Hrabia przyrzekł 12 butelek szampańskiego; syn restauratora abierze sarnią pieczeń i pełen rądel kotletów; appli-



kant sądowy zaopatrzy się wappelzyny i w karmelki; cytryn i araku ja dostarczyć zobowiązałem się;— dziewczęta o bieliznie, o nożach i o widelcach pamiętać będą — gracko się zabawimy; a od poniedziałku już na cały miesiąc zabastuję.

— Nie! nic z tego nie będzie.

— Ale ja dałem słowo honoru!... omnibus zamówiony!...

— Patrzaj ośła! ja dla twojego zaszarganego słowa honoru i dla omnibusa, mam pozwalać abyś ludzi djabelską śmietaną częstował.

— Oni już dawno tę wycieczkę umówili pomiędzy sobą, i byliby jeszcze w zaprzesztą niedzielę wyjechali, ale rabiata zgrała się, i dopiero wczoraj za mojem pośrednictwem pożyczył im pan Fantoski kilkadziesiąt dukatów.

— Cóż to za jeden ten pan Fantoski?... zapewne brodac.

— O nie panie dobrodzieju, nie żyd,— nie! Godny, bardzo godny obywatel! żyje sobie w Warszawie z obrotu pomniejszych kapitałów, człowiek rozsądny, w wielkie przedsiębiorstwa nie wdaje się, — tak sobie na zastaw a przytém na kilka solidarnych podpisów, pożyczy 500, 1000, a najwięcej 2000 złp. — od tego weźmie po 5, od tego po 7, czasem i po 12 procentu na miesiąc, wedle nagłej potrzeby pożyczającego, i wedle okoliczności. — Człowiek umiarkowany, byle widział bezpieczeństwo, uczynny nad miarę, a przecież często za jego dobre serce przyjdzie mu po sądach się świecić, i nieraz odrzekłby się być bliźniemu użytecznym, tylko że już tak przywykł do uczynności, więc z dnia na dzień pomaga dobrym przyjaciółom.

— Dawno się znasz z panem Fantoskim?

— On jeszcze był kamerdynerem u pana wojewodzica \*..., dwadzieścia lat temu jak my się zaprzyjaźnili. — i tam-to uzbierał sobie nieco grosza.

— A cóż ty u wojewodzica \*... porabiałeś?

— Ja panie dobrodzieju! byłem do tego domu oddzielnie przez Lucypera delegowanym.

— I dobrze się sprawił, znanym mi jest koniec nieszczęśliwego!

— Ale się też panie wyjeździł do woli. Przez trzy zimy bawiliśmy w Paryżu, — latem po Włoszech, po Szwajcaryi, *a zawsze extrapocztą* jak gdybyśmy kogo gonili, bo wojewodzie lubił szybko jeździć. Znów kiedyśmy sprzedali ostatni klucz na Wołyniu i pałac w Warszawie, zachciało mu się poznać miasta Wschodu. Pamiętam na złość x. biskupowi, któren był rodzonym nieboszczki wojewodziny, w pierwsze święto Wielkiej Nocy, ruszyliśmy na Wschód. Rozumiałem że i moich djabelskich kości nie starczy, bo to dzień i noc przez 11 dni jechało się do tego Stambułu: ale jak dał słowo tak dotrzymał; 3go maja stanęliśmy w Konstantynopolu. Słońce już ostatnim promieniem złociło księżycę mahometańskie, pod ówczas wierny jeszcze alkoranowi muzułmanin....

— Zabierał się do modlitwy, a wyście spać poszli.

— Tak było istotnie, gdyż wojewodzie ledwo że się na nogach od znużenia trzymał. Cały tydzień z łóżka się nie ruszył, lecz jak sobie też odpoczął, nie próżnowaliśmy panie dobrodzieju.

— Mogę się domyślić i nie ciekawy jestem spraw waszych, — ani mnie też w inne pole nie wywódź — raczej słuchaj co ci rozkażę. Jutro będziemy na literackim wieczorze; od rana więc zaraz zasiądziesz do przejrzenia ostatnich poszytów wszystkich pism perjo-dycznych w Warszawie wychodzących, abys mógł z każdym redaktorem właściwie pogadać, każdego zobowiązać dla siebie, bo ci panowie najchętniej o swoich pismach rozprawiają.

— Wiem, wiem — o moje postępowanie w tej mierze nie turbuj się pan dobrodziej, już ja każdemu jego konika pogłaskam, ale to pierwój być nie może jak w przyszłym tygodniu. Sobota i niedziela to do mnie jeszcze wyłącznie należeć będą.

— Ani godziny! ani jednej sekundy lamparcie! a niezechcesz dobrocią słuchać, sprawię ci łażnię aż w piekle będzie słyszeć.

Edwin zaciął zębów, przeszedł się po pokoju i niegodziwym wzrokiem rzuciwszy po książkach, rzekł:

— Nie pierwszy to raz, że ja dla tej głupiej literatury pozbawiony zostałem wielu przyjemności, proszę pana dobrodzieja cóż mam czytać?

— Tylko bez tych dąsów, bardzo proszę! Oto waś przejrzyś od deski do deski 24 poszyty Biblioteki Warszawskiej.

— Takie grube książki?! chyba całą Europę opisali.

— Zobaczysz może i wszystkie 5 części świata, właśnie ja chcę abys ty wyciągnął treść, i po-później abys mi napisał sumienną recenziją.

— A cóż na to powie redaktor Roczników Krytyki Literackiej? wszakże to jego powinność.

— Monopolium w literaturze nie istnieje. Nadto ja będę waćpana prosił, abys i krytykę skrytykował. Otóż masz 104 numera Roczników.— Dalej raczysz przeczytać Przegląd Naukowy.

(skrobiąc się po głowie)

— Nie wiem czy ja trafię do ładu.

— Rozumiem, że przecież osłem nie jesteś?

— Oto mnie jeszcze nikt nie posądził, ale

— Schowaj swoje ale do kieszeni, teraz zaś słuchaj; następnie przeczytasz mi od deski do deski Pielgrzyma.

— Cóż pan dobrodziej żartuje? wołałbym żeby mnie pan dobrodziej w pudła znowu zamienić.

— Aha! zapewne by ci nie w smak było czytać przedmiot czystej moralności.

— Żebym ja nigdy Lucypera nie oglądał jeżeli to jest czysta moralność.

— Ja się teraz nie wdaję w rozprawy, przeczytasz od deski do deski.

— Nie! nie przeczytam.

— Spiriantus! Ne in vitia et scelera ruat sponte— ad tuum inclitium horpiacum hodacum.

— A bodaj....

— Cicho! dalej masz oto...

— Pan dobrodziój uwziął się na mnie dzisiaj, ja mam taki stos bredni i klejonek przeczytać?

— Od czego jesteś djabłem, — tylko że mazur czytać się nie chce, hulać! do tego jedyny; to tobie za ciężko 100 książek przez jedną noc przeczytać, a niemiecki mephistopheles czasem 1000 na godzinę połknie i strawić nie może, a jednakże jak kto zagadnie nigdy w odpowiedzi dłużnym nie zostanie.



— To tam już inna krew, co my polscy djabli smotę, to oni znów niemieccy atrament za napój używają. Słyszałem nawet, że u nich jak chirurg puszcza krew niemieckiemu filologowi, to nie krew, tylko prosto atrament ciecze.

— Jakiś ty głupi!...

— Nie to nie żarty. Może mi pan dobrodziej zawieńczyć, że pewien uczony niemiecki przez 18 lat pisał rozprawę, iż tam gdzieś w jednym miejscu zamiast *omegi*, *omikron* być powinien, i po śmierci znaleźli doktorzy w jego żołądku *omegę* \*) tak napęczniałą, że miała półtrzecia łokcia średnicy; — albo pewien astronom jak się raz w Monachium zaczął na gwiazdę, 14 dni nic nie jadł, i nieborak zmarł z głodu z lunetą w ręku, niedoczekawszy się gwiazdy. A po śmierci nawet teraz w Walhalli nie postawili jego popiersia, tylko polskiego Kopernika zwarowali, na wielki wstyd swój i hańbę. Lucyfer się śmiał czytając te dwa artykuły pana dobrodzieja o Koperniku.

— Ciesz się mnie to, że pan Lucyfer raczył się moimi ramotkami rozweselić, — tymczasem dosyć tej gawędki, zabieraj książki i ruszaj do swojego pokoju.

Pan Edwin uwiązawszy w postronek ogromny stos książek, zarzucił sobie na plecy i z podziwieniem zawołał:

»Istotnie nie wiedziałem, że to taki lekki pakietik!«

\*) Dla czytelników, którzy się w szkołach językiem greckim nie męczyli, czynię objaśnienie, że *omikron* i *omega* są to dwie litery z alfabetu greckiego. Omikron i omega mniej więcej tak z sobą graniczą jak nasze *i* i *j*.

— Czekał dołożę ci najnowsze dzieło Cieszkowskiego.

— Panie dobrodzieju! nie po polsku pisane, więc nie do tego referatu należy, ja tu już mam odtamek jego Filozofii Jońskiej, ale nie bardzo ciężka;— ten artykuł o Salach Ochrony, to mnie parzy cokolwiek.

— Już ciebie tam więcej artykułów poparzy, i radzę ci nie nad wszystkimi stronicami blisko nos trzymaj.

— Ja się więcej lękam, jak zacznę poezję czytać abym nie zasnął;— ale, proszę pana dobrodzieja o funt świec stearynowych.

— Może lampę astralną oliwą nalać ci potrzeba? Pazury sobie kądzu zapal, będziesz miał stearynowe świece. Strzeż się tylko, abyś mi swojemi ślepiami książek niepopalił; błazen! świec mu się zachciało;— pozwałam mu małpować przy nieznających jego legitymacji, a on i przedemną chce fałszywą rolę odgrywać.

— Nie moja będzie wina, jak wszystkiego dobrze nieprzeczytałem.

— I moja wina nie będzie, jak ci dam kropli Asmodeusza na przeczyszczenie twoich ślepiów.

— Dobra noc panu dobrodziejowi.

— Jak ty mnie jeszcze raz będziesz dobrej nocy życzył, to ja ci belzebubie zęby wybije.

— Pan dobrodziej więc twierdzi, że ja z dobrej woli nigdy szczerem być nie mogę. Otóż na przekór będę szczerem. Te wszystkie książki w rękopismach jeszcze czytałem, do ocenienia literatury warszawskiej

przygotowań żadnych niepotrzebuję, siadaj pan do brodziej, bierz pióro i pisz.

Ciekawy co mi podyktuje, siadam i czekam. Djabel położył rękę na czole, odkrząknął i tak dyktować począł:

— Odległość czasu początków cywilizacyi, miejscowe wypadki, szczęśliwe lub nieszczęśliwe; pokój, wojna, klimat, nawet i bardzo wiele innych różnorodnych okoliczności, wpłynęło na stopień naukowego wykształcenia każdego narodu, a jakim był i jakim jest ten stopień, literatura wierzytelne o tém dać-by winna świadectwo. Polacy w XVI wieku stali na wysokim stopniu ukształcenia naukowego, ale ponieważ ich oświata w największej części płynęła z dzieł Greków i Rzymian, literatury więc samoistnej, rodowej, bardzo małe napotykały ślady. W wieku XVII makaronizmy łacińskie przepełniły dzieła polskie aż do obrzydzenia; na wiek XVIII francuzczyzna przeważny a więc szkodliwy wpływ miała; w XIX dopiero stuleciu, mianowicie od lat kilkunastu, poczyną się rozniecać samoistność literatury polskiej. Czyli obecnie Polacy są w stanie przejścia, czyli już na samejże drodze samoistności, zachodzi pytanie. Podług mojego zdania, nowy się zjawiał nieprzyjaciół: odrzuciliście rzymskie przyłbice, mało już używacie francuzkich kapeluszy, ale wam gwałtownie wciskają na głowy, nowe, niemieckie kaszkieci, i dzisiaj odezwać się dosłowném powtórzeniem giermańskich pojęć, uchodzi u was za najwyższą mądrość, i jest niezaprzeczanym przez nikogo patentem na bardzo głęboko uczonego! Zapominacie, że Kopernik nie umiał po niemiecku, że Polska w XVI wieku, w umysłowém życiu, o wiele przewyższyła Niemców; że rzeki i pa-

sma gór, nie stanowią granic znakomitych zdolności ani wielkich idei nie oddzielają. Niewolniczo czołgając się za wyobrażeniami niemieckimi, własnym siłom nieufacie,—o wywalczeniu się z narzuconych wam więzów umysłowych obczyzny, niemyślicie; gnusność wasza w ubitym gościńcu najbardziej smakuje, i zdaje się, że jak niewidomy, gdyby mu kij z ręki wyrwano, upadłby na pierwszym wyboju, tak wy teraz bez niemieckiej filozofii przyslibyście w krainę zupełnej ciemności, i spalibyście snem spokojnym, dopóki by znów jaki inny naród z letargu was nieocucił. Nawyknienie nieufania siłom własnym jest u was tak wielkie, że się zamieniło w wiarę rzeczywistej niedołężności, a bodaj nie w niedołężność samą. Każdy więc samostny, rodowy pisarz, chociażby jeszcze był w powijkach, jest gwiazdą waszego zbawienia, a kto promieni tej gwiazdy w ogniste słońce rozniecić nie usiłuje, kto przy obcym płomieniu wygrzewa się, a domowe iskry nogami potrąca, podobien jest do psa bez własnego pana, któren po sąsiednich chatach najpodlejszą, bo z łaski rzucaną, niezastużoną karmą się żywi.

— Cóż ty kazanie dyktujesz?

— Wolno było panu dobrodziejowi moje uszy nacierać? a teraz prawdy słuchać się nie chce.

— Ja od ciebie żądałem skreślenia obecnego stanu literatury warszawskiej....

— Zaraz, zaraz, przecież bez poważnego wstępu nie można żadnej rozprawy zaczynać. Pisz pan dobrodziej a capite:

Warszawska literatura w bieżącym stuleciu zapra gnęta przodkować, ale wieszcz litewski dał jej szcztka w nos i pozbawił ją wszelkiej reputacyi.



Po takiej konfuzyi, nadwiślanska jejmość zaczęła powoli zażywać lekarstw otrzeźwienia, lecz dla nadzwyczajnych przeszkód długo się guzdrała obliczeniem i zebraniem sił swoich, jeżeli już nie do przodkowania, to przynajmniej do wystąpienia w szeregi. Wreszcie około 1840 roku, coraz to gęstsze jawiły się posytki, i wkrótce też istotnie wystąpiła w znacznym co do liczby poczecie sług, pięknych chęci, pięknych nadziei, jasnie wielmożna literatura Warszawska.

Nielicząc referentów na czysto, przynajmniej pół stapiór skrzypnęło od razu. Właściciele drukarni z niewystowną radością poskoczyli do pracy. Publiczność oblegała księgarnie z zapytaniem, czyli już co wyszło nowego. Na ulicy widząc człowieka, który nieskonczone odbierał ukłony, można się było założyć, że to jest autor! — a nie mówić o literaturze, było najwyższem siebie samego upośledzeniem. Nadwiślanska pani widząc, że tak wyraźnym oczekiwaniom godnie odpowiedzieć należy, zwołała sług swoich, i w następne odezwała się słowa:

Czytająca publiczność głodną jest! potrzeba dla niej karmy. Panowie autorowie kucharzami! panie autorki kucharkami jesteście! żądam od was abyście z kolei objawili jakie potrawy gotować potrzeba, aby załość uczynić wszystkim warunkom obecnego czasu, i aby potrawom nadać smak najmodniejszy. — Wówczas powstała wrzawa nie do opisania, każdy chciał aby tylko jego potrawę gotowano.

— Panie! Panowie! proszę się uciszyć:

Cóż waćpan gotować chcesz, mości Kazimierzu?

— Ja — odrzekł mąż poczciewego serca, — radzę im dawać groch z kapustą, i schab wędzony. Jedzenie

polskie, będzie im smakować, a kto się poskarży na nie-  
strawność, więc niechaj się gdzieindziej stołuje.

— A wać pan mości Auguście?

Ja czcigodna pani! rozumiem, że przedewszystkiem  
wypada oczyścić ich żołądki z zastarzałej flegmy,  
wziąć na głodową kurację, i poić tylko klejkiem z ka-  
szy filozoficznej. Później cywilizacją na rzadko.

— A pan Antoni?

Ja pani dobrodziejko jestem za leguminkami słod-  
kiemi i lekkimi, żołądki naszej publiczności najprędzej  
to strawią; można i omlecek estetyczny, — ale przede-  
wszystkiem porządek w stołowaniu utrzymać radzę.

— Mości Michale?

— Z panem Kazimierzem jednego jestem zdania,  
lecz mniej grochu i kapusty, a więcej wędzonego mię-  
siwa.

— Panie Feliksie?

— Ozory z chrzanem, ze sosem nie afirmative, ale  
negative, po francusku.

— Panie Leonie?

— Ja nie liczę się do kucharzy.

— Ale się wać pan wmieszał pomiędzy kucharzy.

— JW Pani raczyłaś zapomnieć, że jestem zaszczy-  
cony wezwaniem na urząd pierwszego szambelana li-  
teratury warszawskiej.

— Przepraszam, przepraszam, bardzo dobrze, jes-  
teś znanym z poczciwości, będziesz użytecznym.

— A ty przezacny antipodo?..

— Moje potrawy są rozmaite: bryndza węgierska,  
pierogi krytyką nakładane; także schab wędzony, ale  
przy każdej potrawie opium z fajeczek bajronowskich.

Długim był jeszcze szereg zapytanych i odpowiadających; — wielu zalecało ogrodowiznę, krem z końcówek, marmuladę z powiastek; jakiś czarniawy jegość chwalił zrazy mitologiczne; odezwało się kilku na ochotnika z pasztecikami z mózgu cielecego; zgoła niema takiej potrawy w literaturze, którąby częstować niechciano; — a toć-że i pan dobrodziej figami krajowemi służyć się obowiązał.

— I cóż się stało?

— Oto, j. w. literatura godząc tę pierwszą czeredę, postanowiła aby wszystko razem w jednym kotle gotowali, mówiąc: «Będzie to zupa rumfordzka, znajdzie wielu lubowników,— a gdyby siostra moja z Wilna, pani Szczypalska miała się z was naśmiewać, odpowiecie jej, że i ona chłodnikiem częstuje, w którym się znajdują ogórki i cybula, i czosnek i bardzo wiele *raków ukraińskich*, a i botwiny podostatkiem.

— Mości Edwinie, cóżto za siostra Szczypalska?

— Jak to? pan dobrodziej niewie, że w Krakowie mieszka najstarsza siostra pani Drzymlik; we Lwowie pani Nygusowicz; w Wilnie pani Szczypalska; w Poznaniu pani Krzyczkowska, bogata! — Pokutnicka zaś jest na kuracyi, i podobno że z wielu już chorób szczęśliwie się wyleczyła, z chorób, które pani Miernickiej w Warszawie bardzo dokuczają. — Otóż jest sześć rodzonych sióstr, bo pani Młodziczek w Pradze, to znów jest przyrodnia. Później panu dobrodziejowi objaśnię tę całą genealogią, tymczasem o pani Miernickiej do kończyć potrzeba:

Gdy tedy już zupełną rumfordzką rozdawać zaczęto, cisnęło się jeszcze bardzo wielu pasztetników, pieka-

rzy; cukierników; bab z ciastkami, z owocem; sklepi-  
karzy z serdelkami,—trudno i spamiętać,—ale przyszli  
także jeszcze i kucharze i kucharki żądając osobnego  
pozwolenia na garkuchnie.

— Cóż wy dwaj panowie?

— Ja pani dobrodziejko pragnę gotować hegloskie  
klóseczki na mleku, a na odmianę, w occie siedmiu  
złotdziei moczona estetykę niemiecką; mój kolega zaś  
węgorza na szaro, z polskim sosem.

— A waćpani?

— Żur filozoficzny, pyzę melancholiczną, i makaron  
jezuicki opiekany w świeżym stylu, jak teraz we Francyi  
najwięcej używają.

Poczem ciągle się jeszcze zgłaszali na usługi pani  
Miernickiej — o! jeszcze na kilka garkuchni wydano  
pozwolenia; gdańska kuchareczka, bardzo miła i przy-  
zwoita niewiasta, prosiła o pozwolenie gotowania  
szparagów na Nowy Rok; jakiś kuchmistrz ascetyczny  
zobowiązał się grzyby z rzymskim sosem doprawiać;  
to znów pewien kucharz przyobiecał piec baranka na  
święta wielkanocne; — odświeżono gospody dla wie-  
śniaków, gdzie sprzedają głowiznę agronomiczną i  
żołędź w wiślaniej wodzie gotowaną; — a kuchcików,  
dziewcząt do pomywania rądli, chłopców na naukę,  
toby na wołowej skórze nie spisać. Każden cisnął  
się do pani Miernickiej, a ona wszystkich przyjmowa-  
ła, wiedząc że i z tej gawiedzi może się z cza-  
sem coś dobrego usposobić. Nadewszystko, z tylu  
robotników musiała przecieź korzyść osiągnąć i toć  
że przed 3 laty nie miała bardzo i w co się ubie-  
rać, a teraz chociaż sukienki nie bardzo bogate, ale  
jednakże już może wystąpić. Wczoraj była na Wiejskiej



Kawie, szkoda że pan dobrodziej nie widział. Miała ogromny kapelusz fioletowy, na nim wstążeczki ascetyczne w małe kokardki wiązane; loki filozoficzne, ale przyprawne, nie ze swoich włosów; salopę z pism periodycznych w kilkanaście *bretów*, bardzo buchastą; na szyi szalik z gazy dramatycznej z lirycznemi kułtasami, nakształt złota, ale to szych;— suknią agronomiczną modną, lecz krzywo przykrojoną, z ciasnemi rękawami; burnus z romansów i powieści; bóćiki safianowe na pedagogicznych podeszwach, z boku sznurowane; rękawiczki z glansowanój medycyny, i torebkę na jeograficznym sznurku; — na kanwie historje i podróże, wprawdzie wypłóviałą włóczką robione, ale zawsze była sobie modna torebka. Jedna mnie tylko rzecz zmartwiła, wystaw sobie pan dobrodziej, nos ucierała w nauki przyrodzone, i to była taka biédna, mała chusteczka. \*)

\*) Uwagi belzebuba, pod ów czas dosyć sprawiedliwe, do obecnój chwili zupełnie zastosować się nie dadzą.

(Ciąg dalszy w tomie 5-tym).





# **ZEMSTA MLECZNEGO BRATA**

**S Z K I C.**

ARMATA MILICZNEGO BRATA

3 2 2 8 6  
0 1 2 3 2





## **ZEMSTA MLECZNEGO BRATA**

**S Z K I C.**

Alchimii nie wznowie i niedozupełnię, gdyż po tym szlaku nigdy nie błdził, o sprawiedliwości innych uroję moralnią ani na chwilę przekonać się nie mogłem; lecz natomiast czystą, bratnią miłość bliźniego pojąłem w całości, objawię ją wszędzie i zawsze, bo przesiąkła duszę, łzami litości i zgrozy oblała serce, a w umyśle stała się najwyższością, i przodkuje każdej myśli i chęci, i wszystkim moim dążeniom.

Z raptularza badań własnego jasno-widzenia.

Stronnica XIX.

### **I.**

Borearz na śnieżnym rumaku hassał po polach, lasach, błoniach i wioskach, z gniewem omijał murowane bogaczów mieszkania, a z szatańskim uśmiechem zazierał do nędznych chat ubogich chłopków, i każdą szczeliną wygwizdywał radość, że biednym dokuczyć może. Na ubogiem i twardem pościu, młoda wiejska niewiasta powita syna, kmiołek z wyszczerbioną żelazem twarzą, w tej chwili szczęściem ojca owianą, ujął

w szorstkie dłonie nowonarodzone dziecko i podnosząc je do góry z ufnością wymówił: »Wszechmogący Boże! daj mojemu dziećci zdrowie i siłę, aby swój los przykry wytrwać było zdolne« — oddał słodki ciężar babce; złożył nieme pocałowanie na czoło cierpiącej matki, przysporzył drzewa na komin, i przed pałac na nocną stróżę powrócił.

W pałacu, w komnacie wybitej drogiem kobiercami, na palissandrowém krześle, które puch łabędzi wyscierał, dziedziczka, hrabina Kamilla, otoczona tłumem służebnych kobiet, przy sztucznej pomocy kilku lekarzy, w tejże samej godzinie wydał na świat słabe paniątko.

Gońcy rozbiegli się natychmiast do najbliższych miast pocztowych z listami donoszącemi w odległe całego kraju strony, że się dziedzic obszernych włości urodził.

W niedzielę, po kilku dniach białej zamięci, pogodny boskiego sklepienia błękit olśnił się miliardem gwiazd iskrzących, aż słońce z zazdrości pobladło. Mróz był trzaskający — zwierz polny cisnął się do ludzkich mieszkań, leśny w najgłębsze tulił się zarosła, nieżywe ptaki z powietrza spadały, — przesilenie się okropnego żywiołu zimy, najwyższego dochodziło stopnia, a przecież lud wiejski zgromadził się ku chwale Bożej. Po krótkim kazaniu i po przyspieszonej mszy św., miejscowy pleban, u drzwi kościoła, jak lód zimną wodą ochrzcił chłopskie niemowlę i dał mu imie Szczepan. W karczmie sprzedano na powitanie małego przybysza garniec taniej gorzałki, kumowie się uściskali.

Tegoż samego dnia dostojny pałat przybył z wielkiego miasta i w ocieplonych salonach pałacu przyjął na łono wiary chrześcijańskiej drobnego potomka możnej rodziny; dzięki względności już przed trzema miesiącami sprowadzonej z Niemiec bony piastunki, święcona woda była wylecona \*) i zmieszana z wodą pachnącą: pałat za późno spostrzegł zbytnią gorliwość piastunki, źródło chrztu świętego był tą razą nieco zmącony, — a ktoś z obecnych znający się na zapachach, po skończonym obrzędzie wyrzekł po cichu: »Otóż mamy małego Sarmatę ochrzczonego wodą portugalską, jego nianka jest Niemką, wychowanie będzie francuzkie, dalsza przyszłość łatwa do odgadnienia.«

W pałacu uczta wspaniała, wielu bogatych zjechało się gości, w nieopalonym przedsionku, z odkrytą głową, stał kmiotek z wyszczerbioną twarzą, stał od godzin trzech.

— Panie hrabio! nie mogę pozwolić aby pani hrabina sama nie miała karmić dziecięcia. Wstrzymanie tak bardzo obfitego pokarmu sprowadzi skutki niebezpieczne.

— Ależ niepodobna abym moją żonę na mamkę zamieniał, abym ją na rok cały obowiązками służebnej niewolnicy obarczał.

— Niechaj więc pani hrabina przynajmniej kilka miesięcy sama karmić zechce, później, zwolna, odzwyczajemy naturę.

\*) Przed trzema laty czytałem wiersz Lucjana S\* p. t. *Pan i Chłop*, początek tego wiersza użyłem w głównym zarysie za początek do mojej powieści, albowiem obrazowanie przez znakomitego wieszcza, chociaż je tylko raz jeden szybkoimi przebiegłem oczyma, wpoilo się o tyle w mój umysł, że się tutaj gwałtownie do mojego wcisnęło pióra.

— Konsylijarzu! wola nasza pójdzie na podział, oto: w dzień będzie moja żona karmiła, a mamka w nocy.

— Zmieszanie pokarmów zaszkodzi dziecku.

— Mamka jest młoda, czerstwa i zdrowa; łaskawco nie sprzeciwiaj mi się, bardzo proszę.

Lekarz łaskawca ustąpił, hrabia do swęj kancelaryi, od godzin trzech czekającego kmiotka zawołać rozkazał.

— Dla czego z żoną nie przyszedłeś?

— Jaśnie wielmożny panie jest jeszcze słaba, mróz wielki na dworze.

— Potrzeba aby zaraz przyszła, doktor winien się przekonać, czyli zdrowy ma pokarm.

— Jaśnie wielmożny panie! Boskie w tēm zrzządzenie, doktor nie odmieni; Bóg dał nam dziecko, czy się uchowa czy nie uchowa, wola Jego przenajświętsza bez ludzkiej w tēm sprawy niechaj się spełni.

— Ale zapewne ci już mój komissarz oznajmił, że twoja żona ma karmić naszego syna.

— Jaśnie wielmożny panie, a któż mojego wykarmi?

— Ja wam zapłacę.

— Życię dziecka?

— Dam ordynaryę i wynagrodzenie dla innęj kobiety ze wsi, któraby twoje dziecko karmiła, a wy osobno odbierzecie kilkaset złp. i różne podarki, uwolnię cię nadto od pańszczyzny na rok cały.

— Brać pieniądze i podarunki za zdrowie naszego dziecka, tego ani dusza ani serce nie pozwoli.

— Chłop z duszą i z sercem?... rozśmieszylesz mnie.



— Mnie się krew ścina w żyłach, że mnie JW. pan za zwierzę uważa.

— Na honor nie wiedziałem, że w moich dobrach, pomiędzy moimi poddanymi mam takiego mędrka; gdzież ty u licha do szkół chodziłeś?

— Na całym świecie, po wszystkich krajach, we Włoszech, w Egipcie, w Hiszpanii, pod Berezyną.

— Toś ty stary wojak, a pieniędzy przyjąć się wzbranasz?

— Nie w pałacu ale w ubogiej chacie zrodzony jestem, mojej krwi, ani mojego sumienia nigdy za pieniądze nie sprzedawałem.

— Nudzisz mnie, ja krwi kupować nie chcę, tylko pokarm twojej żony. Zresztą w dzień może sama karmić swoje dziecko, byleby w nocy naszemu dziecieniu ssać dawała, ażeby się pani nie budziła. Dostaniecie 500 złp-, 20 korcy ordynaryi, jedną krowę z dworskiej obory, i uwolnienie od pańszczyzny, żadnych dalszych odpowiedzi nie przyjmuję, to jest moja nieodmienna wola. (zwracając mowę do obecnego komissarza) Proszę pana abyś bezzwłocznie wypełnił mój rozkaz: zapłacić z góry za pół roku i dzisiaj ją jeszcze sprowadzić; (do kmiotka) jeżeli twoja żona zdrowo wykarmi naszego pierworodnego syna, ja o waszem dziecku i na przyszłość pamiętać będę.

Hrabia się oddalił do przyległego pokoju, kmiotek ze łzą w oku opuścił pałac, a idąc ku wsi zatrzymał się przed figurą męki Chrystusa Pana i gorącą do Boga zastał modlitwę. W chacie zastał swoją Jadwigę kłęczącą przy kołysce Szczepanka, oczy utkwione w drobne rysy najmiłszego dziecienia nie spostrzegły wchodzącego męża, ucho badające tchnień najdroższego jej

skarbu na ziemi, nie posłyszało skrzypnięcia drzwi i ciężkiego chodu Stanisława.

— Jadwigo! dziedzic nie zmienił swojego postanowienia.

— O Boże! — zawołała Jadwiga i śmiertelnie pobladła, — zsiniały usta, ręce konwulsyjnie zadrżały, — nagle pochwyciła dziecko, tuląc je do matczynej piersi wymówiła głosem rozpacz: nie, nie, — żywój nie odłączaj mnie od mojego dziecka, niechaj mój trup karmi dziecko dziedzica — pocóż je na świat wydała, kiedy go karmić nie chce.

Stanisław powtórzył we wszystkich szczegółach rozmowę swoją z dziedzicem — i z goryczą dodał, »to jest jego nieodmienna wola.«

— Stanisławie! wracasz mi połowę życia.

— Oni wydzierają połowę życia naszemu dziecku.

— Uspokój się Stanisławie! dziecko Jędrzejowej już od dni trzech odsadzone, ona może u nas przyjąć komorne, damy jej całą nagrodę jaką dziedzic i dla niej i dla nas przeznacza. — Stanisławie! mój pokarm jest obfity, dzienny jest pożywniejszy, — zobaczysz że Szczepanek będzie tłusty i zdrowy, a może i w przyszłości szczęśliwy, wszakżeż dziedzic obiecuje o nim pamiętać.

— Jadwigo! nie znasz obietnic wielkich panów — oni jak chłopa ze wsi wezmą do pomywania talerzy, jak mu dadzą liberyę, rozumieją, że dobrodziejstwo wyświadczyli. Niechaj Bóg nasze dziecko od podobnej pamięci dziedzica ochroni, — dopełnij sumiennie obowiązku jaki na ciebie włożono, ale nie sądź, żebyś przez to szczęście naszego dziecięcia zyskała.

Nieupłynęło dwunastu godzin, bledziuchne paniątko i ślicznej urody, rzeski synek chłopski, byli już sobie braćmi mlecznymi.

## II.

### DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ.

W miesiącu czerwcu, po zachodzie słońca, młody hrabia Ildefons w towarzystwie aż czterech guwernerów: Francuza, Włocha, Anglika i Niemca, wyszedł na przechadzkę; kamerdyner przeznaczony na osobne a wyłączone usługi hrabiego, rodem Szwajcar, postępował za niemi. Widok rozłożonego na drodze pod lasem ognia, przez który lud wiejski przy głośnych śpiewach przeskakiwał, wzbudził ciekawość Ildefonsa, a gdy mu znaczenia Śt. Janskich Sobotek ani M. Charget, ani włoski l'Abbé, ani sir Goddem wytłumaczyć nieumieli, a Herr von Tintenstrich pytającego ucznia do *Conversations-Lexicon* odsyłał, Ildefonsik zapragnął przypatrzeć się zbliska temu obrzędowi — lecz zanim do zamierzonego doszli celu, ogień przygał a grono dziewcząt i parobków już do wsi wracało. Na czele drobniejszych chłopczyków szedł Szczepanek, brat mleczny młodego hrabiego.

— Czy i on śpiewał i tańczył?.. — zapytał Ildefons Szczepanka.

— Wszyscyśmy tańczyli i śpiewali.

— Na jaką pamiątkę?...

— Na pamiątkę, że nasi rodzice i rodzice naszych rodziców, tak samo w wigilią Śgo Jana przez ogień przeskakiwali, a i dzisiaj są Sobotki.

— Czemu tak dawno nie był w pałacu?

— W dzień chodzę do szkółki, w wieczór przynoszę matce wody, albo ojcu w lżejszej pomagam pracy.

— Czegóż on się w szkółce uczy?

— Katechizmu, czytać, pisać i rachować, a od kilku tygodni sam ksiądz proboszcz opowiadał nam życie Chrystusa Pańa, i przyobiegał, że nam opowie jacy dawniej byli w Polsce królowie, kto nam dzisiaj panuje, jakie dawniej były prawa, jakimi są dzisiaj.

— Ale ja się uczę historyi francuzkiej, wiem już także kiedy założyli Rzym, nad któremi rzekami leżą Londyn, Berlin, Madryt i Lizbona.

— A nasz nauczyciel także nam odrysował na tablicy wszystkie rzeki, które nasz kraj przerzynają, i morze, do którego te rzeki wpadają; wczoraj objaśnił nas z czego powstają deszcz, śnieg, grad, błyskawice i pioruny.

— To ty się już wiele nauczyłeś.

— O ja będę więcej umiał, bo ksiądz proboszcz ma mnie odesłać do swojego brata w Warszawie, który jest nauczycielem bardzo wielkiej szkoły, i do której chodzą synowie najbogatszych panów.

— On może być szczęśliwym.

— Ksiądz proboszcz mówił, że jak będę pilnym, mogę wyjść na pana.

— A kiedy on chłop, i papka jemu niedaruje pańszczyzny.

Znudzeni niezrozumiałą mową młodzieńców, panowie nauczyciele w czterech językach wezwali Ildefonsa, aby się dłużej na zimno chłodnego wieczora nie narażał; z tą samą uwagą odezwał się i troskliwy kamerdynier.



Jeszcze Ildefons z swoimi professorami i kamerdynerem do pałacu nie powrócił, gdy Szczepanek znów na czele swoich rówienników oklep, na dziarskim żrebcu, stado koni obok nich przepędził. Młody hrabia pozazdrościł w duszy tej swobody Szczepankowi; Herr von Tintenstrich patrząc się za gallopującemi chłopcami, wyrzekł z podziwem: *Die kleinen Polaken das sind Teufelsjungen; unsere Stallmeister reiten lange nicht so gut als diese Uhlanen-Racce.*

— »Les barbares!« bąknął Francuz: »Goddem« mruknął Anglik; Włoch szeptał pacierze.

Pomijam szczegóły wychowania i kształcenia Ildefonsa, bo byłoby to powtórzeniem tych wszystkich błędów i niedorzeczności, jakie bogacze popełniają przy prywatnem wychowaniu i kształceniu swych synów,—raczej wspomnę, że Szczepanek jak najpilniejszy z całej wiejskiej szkółki uczeń, odesłany przez cnotliwego proboszcza do Warszawy, czynił wielkie w naukach postępy. Który z tych dwóch mlecznych braci lepsze odebrał ukształcenie serca, szlachetniejsze rozwinięcie duszy, dowiemy się w dalszym ciągu powieści.

### III.

W piętnaście lat po tym wieczorze, porucznik od konnej artylleryi, Szczepan, tańczył mazura z cudownie uroczą siedmnastoletnią córką jenerała \*, który w dniu imienin swojej jedynej córki licznych zaprosił gości; hrabia Ildefons znajdował się pomiędzy wielbicielami pięknej Stefanii.

— Hrabio! czy słyszałeś o twoim nieszczęściu? mówią powszechnie, że jenerał skłaniając się do wy-

boru, jaki jego córka uczyniła, porucznika przyjmuje za zięcia.

— Szczepana? — tego który z nią co dopiero tańczył?

— Który jej miłość pozyskał.

— To być nie może, moja ciotka księżna S\* mówiła przed tygodniem ze Stefanią, zdawała się być uszczęśliwiona nadzieją mojej odezwy.

— Myśl pięknej dziewczyny jest zmienną.

— Znasz świetność mojego imienia i mój bardzo znaczny majątek. Pan porucznik zaś jest synem jednego z ubogich chłopów poddanych mojego ojca. — Takiego rywala obawiać się byłoby śmiesznością.

— Daję ci moje słowo, że wczoraj się oświadczył.

Hrabia Ildefons posiniał ze złości i wstydu, nieodpowiadając więcej ani słowa swojemu przyjacielowi, zbliżył się do siedzącego obok Stefanii oficera, i głośno wyrzekł:

— Panie poruczniku, uwolnię twojego ojca na cały rok od pańszczyzny, ale mi nie przeszkadzaj w uzyskaniu łaskawszych względów panny Stefanii.

Całe liczne towarzystwo słyszało te wyrazy, wszystkich oczy zwróciły się na porucznika. Jenerał miał pierwszy przerwać głucho milczenie, gdy porucznik z twarzą spokojną, głosem umiarkowanym, następującą dał hrabiemu odpowiedź: »Mojego ojca Bóg od pańszczyzny uwolnił: umarł już przed sześciu laty w skutek ran odniesionych z pola zwycięstw i chwały; pan hrabia za późno się zgłaszasz z dobrodziejstwem, a jeżeli ofiara uczynioną była w celu poniżenia mnie, bardzo się panie pomylił, — mojego urodzenia nigdy

nie tait, owszem szczycę się mojem urodzeniem, bo krew ludu jest nieskalaną, jest przeczystą i świętą, chętnie oddana na nigdy niezapieraną własność ziemi naszej. Co do panny Stefanii, dopiero nadzieja dozwoloną mi została, jeszcze przeto masz pan prawo położenia swoich przymiotów na szali współubiegania się o jej rękę, — od ołtarza dopiero poczynają się węzły nierozzerwane.

— Panie poruczniku, odezwał się jenerał, potrzeba abys wziął inne zadość-uczynienie, zamiana słów obrazy nie niszczy.

— Panie jenerale, ubliżyłbym popiołom mojego ojca, poniżyłbym moje urodzenie, gdybym za wyrazy hrabiego żądał zadość-uczynienia.

— I ja jestem tego samego zdania, odezwał się hrabia Ildefons, niezaprzeczona prawda nie jest przedmiotem sporu, — gdzie nie masz obrazy, zadość-uczynienie miejsca mieć nie może.

— Jeżeli pan porucznik swojej obrazy w tém co zaszło znaleźć nie chce, ja obrazę mojej córki znajduję.

— Panie jenerale! zawołał hrabia Ildefons, za obrazę córki pańskiej oddałbym krew i życie, a twoją łaskę jenerale i względy panny Stefanii, poczytałbym za najwyższe szczęście, i ta to myśl powodowała mną, gdym się do pana porucznika odzywałem.

— Panie hrabio! — twoją odpowiedzią jestem zaspokojony, lecz złorzeczę chwili, kiedym się dał uwieść pozornym przymiotom młodzieńca, pozbawionego uczuć honoru.

— Jenerale! — z głębokim smutkiem wyrzekł porucznik, jutro nie będę pańskim podwładnym, spodzie-

wam się, że wtenczas nieodmówisz mi prawa udowodnienia ci, że uczuć honoru pozbawiony nie jestem. Po tych wyrazach porucznik boleśnie spojrzał na milczącą Stefanię i oddalił się z balu; — hrabia Ildefons pozostał.

W trzy dni potem rozeszła się wieść, że były porucznik od artylleryi, Szczepan \*, został w pojedynku przez jenerała \* ciężko raniony.

Za kilka miesięcy nastąpił ślub jenerałówniej z hrabią Ildefonsem\*.

#### IV.

Po tych zdarzeniach upłynęło lat dwadzieścia. Ildefons strwoniwszy za granicą swój znaczny bardzo majątek, przed kilku miesiącami powrócił do kraju; zawarł kontrakt sprzedaży ostatnich dóbr swoich; nowonabywca zaliczył 200,000 złp., przepisanie tytułu własności miało nastąpić przy wypłacie resztującego szacunku. Zbliżył się czas oznaczony, kupujący przybył dla dopełnienia warunków, ale po bliższem rozpoznaniu hipoteki przekonał się, że hrabia popełnił podstęp i fałsz, prawo własności było obciążone zastrzeżeniem dawniejszego z kim innym kontraktu sprzedaży, na który hrabia wówczas przed trzema laty umówioną sumę odebrał i z niej pokwitował. Czyn takowy ulegał procesowi kryminalnemu; poszkodowany ostatni nabywca nie wahał się na chwilę i postanowił w drodze sądowej poszukiwać zwrotu zaliczonej summy 200,000 złp., i żądać nadto oddzielnego ukarania oszusta.

Szczepan \* od lat kilkunastu znany z sumiennej gorliwości i pilności, patron przy trybunale \*, przecha-



dzał się w zamyśleniu po swoim mieszkaniu, — zdawało mu się, że dzisiaj widział hrabiego Ildefonsa na ulicy; dzisiaj była dwudziesta rocznica jak mu publicznie uczyniono mniemany zarzut chłopskiego urodzenia, jak utracił narzeczoną, którą kochał z zapalem pierwszej miłości, rocznica poprzedzająca o dni trzy rocznicę pojedynku, w którym utracił władzę lewej ręki. Smutna pamięć żałobą oblała serce, z ust mimowolnie wydarty się wyrazi »on sprawcą tylu nieszczęść moich« w tém otworzono drzwi, mężczyzna gniewnego spojrzenia wszedł do pokoju.

— Czy mam przyjemność mówienia z panem patronem \*.

— Ja nim jestem.

— Przychodzę do pana z prośbą, abys w mém imieniu wytoczył proces do Trybunału Cywilnego i do Sądu Kryminalnego przeciw hrabiemu \*. Oto jest przezemnie wiernie skreślony stan rzeczy, to są dowody.

Patron przeczytał podane sobie papiery, pobladł, zadrztał, i ponurym wyrzekł głosem :

— Ja panu w tej sprawie służyć nie mogę.

— Czyli pan jesteś z strony mojego przeciwnika? w tym przypadku żałuję, że mąż znany zaszczytnie z prawego postępowania, podjął się słabej obrony tak podłego czynu.

— O tej sprawie dopiero od pana pierwszy raz słyszę.

— Może w innej sprawie jesteś pan obrońcą hrabiego.

— Przed dwudziestu laty wydał mi najdroższą sercu mojemu nadzieję, od tego czasu dzisiaj po raz pierwszy widziałem go z daleka na ulicy.

— Dla czegoż pan pominąć chcesz sposobność wymierzenia spóźnionej kary?

— Zemsta jest obcą mojej duszy, ja tylko pragnę szczęścia ludzi.

— Więc podług zasad pańskich; występki należy zostawiać bezkarnie?

— Można niszczyć występki bez zniszczenia człowieka.

— Zmuszasz mnie pan do wyboru innego patrona.

— Chciój się pan zatrzymać, racz mi zostawić swoje papiery na 24 godzin, może będę w stanie poprowadzić interes pana.

— Sześć tysięcy złp. złożę panu jako nagrodę, jeżeli zwrócony mi zostanie kapitał, który wyliczyłem hrabiemu, sześć tysięcy zapewniam panu za każdy rok jego więzienia.

— A więc 24,000 pan dla mnie przeznaczasz.

— Chętniebym 60,000 wypłacił.

— Czekam pana jutro o godzinie ósmej rano.

— Ufam pańskiemu charakterowi i pańskiej zdolności.

— Będę się starał godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.

Ledwo że się przeciwnik hrabiego oddalił, Szczepan drżącą ręką napisał kilka wyrazów, wzywając hrabiego do siebie. — »Możeby to uważał za chęć poniżenia goz mej strony, możeby nie przyszedł, którenkolwiek z moich kolegów zastąpiłby mnie gdybym jutro zwrócił papiery« — ta myśl odmieniła jego za-

miar, list podał, wziął kapelusz i wyszedł na miasto.

W pokoju zajezdnego domu, hrabina \* siedziała przy oknie, na jej wybladłe lica trzy obficie płynęły, z śmiertelnym niepokojem czekała na powrót męża. W tém drzwi zaskrzypty, obróciła się skwapliwie, przed nią stanął obcy dla niej mężczyzna, średniego wieku,—ale już pierwszy szron, poszlak trosk i znojów, popruszył włosy jego; wlepiła weń wzrok badawczy, rysy nie były jej nieznane, — pamięć przez mgłę odległej przeszłości trudno się przedzierała, — ileż obrazów dzieliło ją od Szczepana, — lecz serce jest przenikliwszém od pamięci, serce Stefanii poznało narzeczonego.... »Szczepanie!« — z boleścią zawrzasta, i padła bezsilna.

W tę chwilę powrócił mąż Stefanii, usłyszał z ust żony imię »Szczepan«, zachwiał się, zadrżał, zbladł, i stłumionym głosem zapytał:

— Czegóż pan żądasz odemnie?

— Szukam mlecznego brata.

— Pan urągasz mojemu nieszczęściu. Słyszałem przed chwilą, że jesteś patronem, żeś się przeciw mnie podjął sprawy; zemsta po oczekiwaniu przez lat dwadzieścia, musi być słodką, bardzo słodką; — pojmuję uczucie pana, bo i ja dobrze pamiętam, tak, pamiętam,—dzisiaj jest dwudziesta rocznica, dnia, godziny, w której ci panie w obec twój narzeczonej, w obec liczego zgromadzenia, ofiarowałem uwolnienie twojego ojca od pańszczyzny; rocznica godziny, w której jam twoję duszę zranił a serce w kawały poszarpał;—powtarzam ci panie, że pamiętam tę godzinę i nie dziwię się bynajmniej, że pożądaną sposobność zemsty

otwartem przyjmujesz sercem, — lecz cóż cię mogło powodować do szukania nas aż w naszym mieszkaniu?

— Szukam mlecznego brata.

— Panie nie rozumiem twoich wyrazów... nie znam rozmiaru twojej zemsty.

— O! czyliż mniemasz, że urodzony chłopem, do rzeczenia się zemsty zdolny nie jestem? — że nie będąc szlachcicem, szlachetnych uczuć mieścić w mém sercu nie mogę?... Ale prawda! Tyś się hrabią wychował, w szlachetność uczuć chłopskich nie wierzysz.

— Szczepanie! odezwała się Stefania, kiedy przez mojego ojca śmiertelnie raniony, wystrzałem w powietrze życie mu darowałeś, już od tego czasu znamy cię prawdziwie szlachetnym.

— Nie traćmy na teraz drogiego czasu wspomnieniami smutnej przeszłości; — panie hrabio przyszedłem podać ci rękę pomocy. — Poślę za mną służącego, mam 90,000 złp. które przez lat kilkanaście pracą i oszczędnością zebrałem, tę sumnę zaliczysz do układu jaki zrobię pomiędzy wami; widziałem w wykazie hipotecznym, że nie wszystkie ostrzeżenia są sprawiedliwe, może te dobra potrafię dla was ocalić; jutro po zawartej zgodzie z głównym przeciwnikiem, wystawisz na mnie plenipotencję do twoich wszystkich interesów; pomoc, brat mleczny przyjąć ma prawo.

Zaślona uprzedzeń i przesądów nagle spadła z oczu hrabiego; — trzy wdzięczności były najpierwszą odpowiedzią, a wzajemne braci mlecznych uściski uwieńczyła Stefania, do tronu Przedwiecznego zaślaną modlitwą — o szczęście cnotliwego Szczepana.



Nazajutrz groźny hrabiego przeciwnik, za najusilniejszym pośrednictwem patrona \*, podał dłoń zgody; dla sądownictwa ta cała sprawa obcą została.

Taką była zemsta mlecznego brata — chłopka naszego.



The first of these is the fact that the  
 system is not a simple one, and that  
 the results are not in general  
 in accordance with the theory.



**ZA POZWOLENIEM**  
**JA PAŃSTWU OPOWIEM**  
**BARDZO CIEKAWĄ HISTORIĄ.**

AN INDEPENDENT

OF THE UNITED STATES

OF AMERICA



## „ZA POZWOLENIEM

ja państwu opowiem bardzo ciekawą historiją.”



Nader małą jest liczba rodzin, któreby się z samych bogatych osób składały, jednakże w rozmowach wyższego towarzystwa słyszymy tylko: «mój wuj ksiądz biskup;—moja ciotka pani jenerałowa;—mój brat pan prezes;»—a o wuju organiście; o cioci igłą na chleb powszedni zarabiającej; o braciszku który donośnym głosem strony przed kratki przywołuje, nikt nigdy ani *mrumru*, — i chociażby to byli najpoczcwiśsi ludzie, każdy się strzeże popisywać się z niemi. Czém się to dzieje? — jakie są téj dyplomacyi przyczyny?—wiem

ale nie powiem. Natomiast opiszę moim łaskawym czytelnikom wypadek, który ze źródła takiegoż państwo-chwalstwa wypłynął.

— Pan Grzegorz — istotnego nazwiska przez grzeszność nie wymienię, ale że nie lubię bohaterów bez nazwiska wprowadzać, niechajżeż tutaj nazywa się np..... Durniewski! Otóż tedy ten pan Grzegorz Durniewski zabłądził do jednego z moich znajomych na ucztę wyprawianą dla swojego nader szanownego przyjaciela, niegdyś kapelana przy arcybiskupie Krasickim. Śród objadu, po kilku kieliszkach ożywiającego płynu, przezacny prałat, na powszechne prośby opowiadał pobyt w Potsdamie i szczegóły życia księcia poetów.

Wyrazy starca stłumione jego sędziwym wiekiem, bogate w autentyczność łaskawie udzielanych nam wiadomości, niezwykłą słodyczą skraszone, cbwyta- liśmy wszyscy z najwyższą ciekawością, i z tak głęboki- em milczeniem, że przez otwarte na ogród okno, brzęk wracającej do ula pszczoły, wdzięcznie się po- mięszał z głosem mówiącego.—«Raczie mi panowie zawierzyć, że w całym życiu tego znakomitego męża, nigdy w nim silniejszego niespostrzegłem zapału, jak gdy ziomków swoich bronił przed królem Pruskim, przeciw zarzutowi mniemanéj.....

— Za pozwoleniem księdza prałata — przerwał Durniewski, — ja państwu opowiem, bardzo ciekawą historiją.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się z najwyż- szem obukrzeniem na Durniewskiego, gdy tenże bez- czelny bałwan, przesunąwszy palec pod nosem, nastę- pującą brednię szeplinić począł:

— Potrzeba panom wiedzieć, że moja ciotka pani jeneratowa, mojej mamy rodzona siostra, bardzo się lękała Bawarczyków, żeby mamy nie zrabowali, wtenczas kiedy oni szli za Napoleonem na wojnę w tyśiąc ośmset dwónastym, czy piętnastym roku—dobrze nie pamiętam, bo jeszcze wtenczas byłem bardzo mały, ale to pamiętam, że moja mama miała ekonoma Dziobczyńskiego, który był bardzo *sprytny* człowiek, a on wiedział, że mama się bała Bawarczyków, bo on i Michałek to pomyślenie mojej mamy wiedzieli; więc on przyszedł do mamy i mówił mamie, żeby mama odjechała do księdza biskupa, który był mojej mamy krewnym, i żeby mama wszystko pochowała, a zwłaszcza że mama miała wielkie *slebra* stołowe na sześć osób, i *slebrną* miednicę i gotowe pieniądze. Jak więc Dziobczyński tak mojej poradził mamie, moja mama usłuchawszy go, spytała go się, jak on radzi schować *slebra* i te pieniądze, bo brać ze sobą też się bała, bo już wszystkie trakty były pełne żołnierzy; więc Dziobczyński poradził mamie żeby mama w budynku żadnym nie chowała, bo w Połudzinie u księdza proboszcza, który był bratem pana podprefekta, ze spichlerza Francuzi wiele zachowanych rzeczy zrabowali, a w ziemi także nie radził, bo Francuzi byli tacy mądrzy, że jak zobaczyli na polu albo w ogrodzie świeżo zrytą ziemię, zaraz tam kopali i *puty* kopali aż czego nie znaleźli; więc radził mamie żeby mama kazała wszystko zapakować w beczkę, oblepić smołą i wpuścić do sadzawki w najgłębsze miejsce, Dziobczyński był bardzo szprytny. Mama usłuchała go i na wieczór odesłali starego Wacha który zawsze sypiał przededworem, będąc nocnym stróżem, i ma-

ma i Dziobczyński ekonom i bardzo wierny lokaj Jan zapakowali wszystkie *ślebra* i pieniądze w beczkę, oblepili smołą i zakulnęli do sadzawki, a mnie mama upomniata żebym nikomu nie powiedział.

Uważcie państwo, mama zemną odjechała, Francuzi, Bawarczyki, *Szwedzi* i te wszystkie *nacye* które szły za Napoleonem, przyszły do Pękocinka, wszyscy szukali, zaglądali po wszystkich kątach, ale czy panowie dacie mi wiarę, że jak ja z mamą po wojnie powróciłem, idziemy do sadzawki w ogrodzie, zakładamy haki;—jest beczka! ciągniemy, wyciągamy, jest beczka! otwieramy beczkę, są wszystkie *ślebra* na sześć osób i *ślebrna* miednica.

Durniewski skończył,—patrzy się na nas, my osłupieli patrzymy się na niego, uszom naszym niedowierzamy, każdy milczy i ze wstydu nie wie jak usta otworzyć, aliści Durniewski w serdecznem zadowoleniu dodaje. «Wszak prawda panowie, że to bardzo ciekawa historia!»

— Do kredensu,—dla lokajów—odezwał się obok mnie siedzący, rotmistrz od ułanów.

— Pan mnie *obrazas*.

Śmiech powszechny zastąpił odpowiedź rotmistrza, Durniewski się zaczerwienił, robił gałki z chleba, i szukał oczyma czyli się kto za niego nie ujmie, ale widząc że wszyscy się najserdeczniej śmiejemy, krzyknął jakby z płaczem: «Panowie nie wiedzą z kogo się śmieją: mnie Ulatyńska rodzi, a moja ciocia była jenerałowa, a jeden mój wujaszek był prezesem.»

— Panie Grzegorzu — pośród najgwałtowniejszego śmiechu, rotmistrz zawołał powtórnie,—kiedyś ta-



skaw zaznajamiać nas ze swoją *famulią*, nie zapomnij i o stryju organiście w Szydłowcu.

Odstłonięcie tej tajemnicy ubodło Durniewskiego o tyle, że nie czekając sarniej pieczeni, nie zważając na prośby gospodarza, od stołu się zerwał i do domu odjechał.

Podziękowawszy rotmistrzowi, że Durniewskiego wypłoszył, następnie już bez żadnej przeszkody, stuchaliśmy dalszych opowiadań przezacnego prałata; ale że ów przedmiot do tego ustępu nie należy, przechodzę więc do dnia jutrzejszego.

Przy sadzawkach nad drogą, doglądałem mycia owiec: była godzina 10 przed południem; w tém z po za góry wznosi się tuman kurzawy, huk z bicia dochodzi moich uszu, pokazuje się pierwsza, za nią druga para tysięcy kasztanków w krakowskie strojnych chomonta, woźnica w lakierowanym kapeluszu, w sieraczkowym surducie z czerwonymi wypustkami; małeńka bryczka—a na bryczce w jasno szafirowej z czarnym szamerunkiem algierce—Grzegorz Durniewski. Po dosyć obojętném przywitaniu, bez ogródki o powód odwiedzin zapytuję. Durniewski odprowadza mnie na stronę i prosi, abym w jego imieniu wyzwał rotmistrza\*\*\* na pistolety.

— Za co?!... zapytałem jakoby zdziwiony.

— On powiedział, że mój stryj jest organistą.

— Panie Durniewski! był to żart niewinny, a przynajmniej niezastługujący, ażeby wywoływał pojedynek na pistolety.

— Tak panie dobrodzieju! gdyby to był żart, mniejszaby było o to, ale ja panu dobrodziejowi pod słowem honoru, ażeby pan dobrodziej nie rozgłaszał, powiem

szczerze, że istotnie mój stryj jest organistą. — Mocny rumieniec pokrył twarz Durniewskiego.

— Czy to być może?!... stryj pański organistą? i on grywa na organach?!...

— Tylko pana dobrodzieja zaklinam na słowo honoru, niechaj pan dobrodziej nikomu niepowiada.

— I on śpiewa na chórze?

— Śpiewa.

— To jest okropne zdarzenie.

— Ach! bardzo!

— Pana Grzegorza Ulatyńska rodzi, — wujaszek jeden jest biskupem, drugi prezesem, ciotka generałową — a stryj organistą???

— Ale pan nikomu nie powiadaj pod słowem honoru.

— Trudno uwierzyć! — niepojmuję, wyjaśnij mnie panie przez jaki to zbiór okoliczności, że stryj pański został organistą.

— Z młodości miał ochotę na księdza, ale że się nie mógł po łacinie nauczyć tyle ile na księdza potrzeba, więc starszy brat ś. p. mojego ojca, który był ekonomem u pani starościny,.....

— Co pan mówisz — ekonomem?!...

— To jest nie ekonomem, ale miał zarząd nad pańszczyzną i trudnił się gospodarstwem.

— Ach znałem go dobrze, chodził zawsze z charapnikiem we dwoje złożonym.

— Ten sam..... tak..... stryjaszek zawsze chodził z charapnikiem.

— Wszakżeż były i siostry?

— Jedna tylko.

— Tak, tak, jedna tylko; pamiętam poszła za.....  
czém on to był—?...

— Rymarzem ale aż w Augustowskiem, i jak on  
umarł, to mój ojciec ani wiedzieć o niej nie chciał,  
ale ona teraz dobrze się ma.

— Więc prowadzi dalej kunszt rymarski niebo-  
szczyka męża?..

— O nie, — ona założyła sklepik w Warszawie, i  
ma różne wiktuały na sprzedaż, jako to: mąkę, kaszę  
rozmaitego gatunku, jaja, masło, ser, chleb, także i  
drzewo we wiązках.

— Pan czasem potajemnie bywasz u niej?

— Ale pan dobrodziej pod słowem honoru niepo-  
wiadaj nikomu; widzi pan dobrodziej ja bywam, bo ona  
jest bezdzietnią i podobno dorobiła się kilkunastu ty-  
sięcy.

— A więc to jakaś uczciwa kobieta?...

— O! ona bardzo uczciwa.

— A ten stryj organista, czy to pijak, łotr, la-  
daco?

— Nie! — to także bardzo pocziwy człowiek, na-  
bożny, regularny w swoich obowiązkach, i powszech-  
nie mówią, że bardzo pięknie gra na organach, i bardzo  
pięknie śpiewa.

— Powiedz mi panie Grzegorzu nawiasem, wszak-  
żeż to ten wuj pański, który był prezesem, miał kie-  
dyś proces o naruszenie kassy salaryjnej w Bydgoszczy,  
i podobno dla tego procesu wziął uwolnienie od służby  
rządowej.

— Wujaszek mówił mojej mamie, że to przez in-  
trygę.

— Czy to rodzony brat mamy?

— Nie, jego babka i dziadek mojej mamy byli sobie ze stryjecznych cioteczni, ale jednego herbu.

— A ta jenerałowa ciotka pańska, czy to jest wdowa po tym jenerale, który tak nagle życie zakończył?

— Tak jest, to był mój wujaszek, bo ojciec wujaszka i mojej mamy ojciec to byli cioteczni, a i mama mamy także była cioteczna.

— Słuchajżeż panie Grzegorzu, z tego wszystkiego coś mi powiedział pokazuje się, że niesłusznie wstydzisz się za stryja organistę, a z bardzo mylnych zasad chełpisz się wujaszkami; i wierzaj mi, że niesprawiedliwem i bynajmniej nieuzasadnionem jest twoje pragnienie zgładzenia rotmistrza ze świata. Nadto mój miły Durniewski należy ci i o tem wiedzieć, że rotmistrz na 50 kroków, korek u butelki ustrzeli,—i nie było przykładu, aby kiedykolwiek chybił rzucone mu w powietrze jajko gołębie; — a już dwudziestu trzech przeciwników trupem położył. — Rozumiesz Grzegorzu! — trupem położył!....

— Więc jak mi pan dobrodziej radzisz?... błędąc wymówił Durniewski.

— Ja-bym radził, po pierwsze: nigdy osobom od siebie godniejszym i wiekiem starszym, mowy nie przerywać; — powtóre: przed popisywaniem się z tytułami swoich pokrewnych, zastanawiać się, czyli tytuły tychże pokrewnych są przypomnieniem dobrych lub złych czynów; — potrzebie: do przelewu krwi bez prawej zasady nie być skorym;—po czwarte nakoniec: księdza prałata dzisiaj jeszcze za swoją wczorajszą bezwzględną nieprzyzwoitość przeprosić, a rotmistrzowi za daną naukę przy pierwszej sposobności wdzięcznym się okazać.—



Durniewski, nad moje oczekiwanie, pojął mnie zupełnie, bo pocałowawszy w ramię, wyrzekł z pokorą:

— Niedarmo mama mówiła, że mi pan dobrodziej najlepiej w tym interesie poradzisz.

— Dziękuję mamie za zaufanie, proszę się kłaniać; pana Grzegorza zaś przepraszam, że mając pilne zatrudnienie, pożegnać go muszę.

Durniewski powtórzył ucałowanie mojego ramienia, wsiadł na bryczkę i do mamy pospieszył; jam do mycia owiec powrócił. — Trzask z bicia po-nad spuszczałymi się za górę czterema w małej bryczce kasztankami, podniecił myśl: iluż to Durniewskich na świecie!.... a wszystkich rodzą Ulatyńskie!.... wszyscy mają *stebra*, lecz nie pamiętają w którym roku szły *nacye* za Napoleonem, bo im półtóry klepki w głowie brakuje, organizm serca w tymże samym jest u nich stosunku, — dusza jeszcze się nie rozbudziła.....

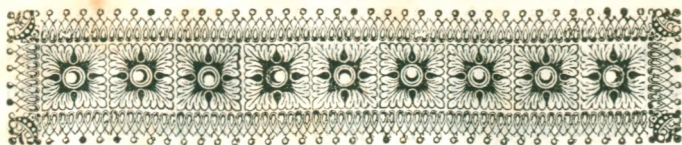




# **MOJA MOWKA POGRZEBOWA.**

ALON MONA LEE





## **MOJA MOWKA**

### *pogrzebowa*



Poeci, od niepamiętnych czasów, wiosnę do swoich  
czułych wprowadzać zwykli utworów; — przynajmniej  
przed dwudziestu laty jeszcze, mało z nich który mógł  
się obejść bez strumyków, bez wieczora majowego, zie-  
loniej trawki, i kwileń słowika. — Nie tak powabną by-  
ła dla mnie wiosna 1827 roku. — Przy końcu kwietnia  
nie miałem i snopka jednego w stodole. Sypanie,  
w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, było pu-  
ste; jęczmienia do siewu zabrakło; podatek zalegał;  
ośmiu rewersowanych żydów, jakoby odklaskiwa-

nego poloneza ze mną tancyło, bo zaledwie wyjechał Jankiel, przyjeżdżał drugą bramą Herszek; pozbyłem się Herszka, zjawił się Lejzur; i przed Dawidem. Manyssem, Neytlem Szmulem i Abrahamem, dla których mi już ryb i indyków niestało, potrzeba było jedne i też same zapewnienia rzetelności powtarzać. — W dzień pierwszego maja, ach! pamiętam, zjechali się do mnie prócz pocziwego Lejzura, wszyscy wierzyciele moi. Straszliwy to widok i należało mieć Spartańską duszę, aby się takiej nie ułęknać walki. Już od godziny ujadłem się z najzaciętszymi, przedstawiając i wrzeszcząc, że przed s. Janem, przed strzyżą wełny, w czasie siewu, żądać od szlachcica wypłaty, jest jedynie chęcią wyraźną prześladowania go, nie zaś rozumu pomysłem;—gdy w tém spojrzę w okno— w oczach mi się zaświeciło, widzę jednak, że rozpuszczone galopem konie wpadają na dziedziniec z bryką, na której tłum ludzi, i wprost pędzą przededwór. — Królu Jerozolimski! jeszcze tego brakowało!.... Lejzur zdrajca, któren przed tygodniem za przyrzeczoną cierpliwość czterdzieści skórek był zadławił, z Herodem spokojności szlacheckiej, z komornikiem Szczekotą, stanęli przedemną.— To już nad siły moje! — «Dosyć tych wykrętów mości dobrodzieju, przepadła opozycya! Patrz pau—tu wyrok! a tu reskrypt prokuratora i pomoc wojskowa! Niema ratunku! «Tak krzyknął komornik Szczekota, a szramami ospy oszpecone oblicze, szatańskim pokryło się uśmiechem. «Panie komorniku! kochany Lejzurku! bójcie się żywego Boga, miejcie sumienie! Prawda jest że już wszystko bardzo prawnie. ja niczemu nie zaprzeczam; — ale mi przynajmniej dajcie godzinkę czusu; ja zapłacę — z pewnością za-

płacę, co do grosza zapłacę, tylko się przez godzinę wstrzymajcie; za godzinę powrócę, z pieniędzmi— Janie zaprzęgaj! hej Pawełek! może pan Szczekotka pozwoli porteru, albo wina. Panie Lejzur! może jaj albo ryb świeżych; — wołajcie Jékowej, ona to już dla pana Lejzura ugotuje.

Pawełek każ dla pana Szczekoty dać szynki, albo marynaty; — bądźcie sobie radzi;—przecież ludźmi jesteśmy.

Spienionemi kołmi, tumanem kurzu okryty, w pół godziny stanąłem w najbliższej mieścinie. — Na cudowną przez morze czerwone przeprawę, na wszystkie świętości Talmudu, na przyjście Messijasza, zaklinałem bogatego Izraelitę o pożyczenie pieniędzy, — lecz są okropne chwile w kolejach życia ludzkiego, gdzie nie w świecie nie jest zdolnem złamać upartego losu. — W księdze moich przeznaczeń wyrytém było: «Nagelknopf, bryła lodu z sercem granitu, dzisiaj nie pożyczysz pieniędzy».—Niema! w odrętwieniu rzuciłem się na krzesło. Obraz mojej zagrody, niewinne owieczki, bydełko, żydzi, komornik, wyrok, łączyły się w jedno widzenie, które z serca do duszy, z duszy do serca biegało; — a mózg, ta zachwalona przedmiotowość, ów mózg, w najcięższym razie odbieżał. — Nagle drzwi się rozwarły; kilkunastu z obywateli, znajomych sąsiadów, w czarnych frakach w białe obszytych taśmy, w najserdeczniejsze pochwycili mnie uściski.—Oj! oj! żebro mi zgnieciesz—Guciu! jedyny, drogi, ukochany Guciu!—Ųryńska peretko! ciebie aniołku! ciebie klejnociku szukamy!—Nagelknopf!—sześć butelek z 1811 roku, tego cośmy to w ostani wtorek pili—Wygraliśmy! — wygraliśmy! —wrzeszczał jeden przed

drugim, a zanim na tyle pieszczot odpowiedzieć mógł, już rzeczony węgrzyn płynął przez moje usta.—Trzeba ci Guciu wiedzieć, że Jerzy Błażej Przylewa, w przejeździe przez L. gwałtownie zaślubił, a wczoraj nad ranem, Bogu ducha oddał! Jak nas tu widzisz, najbliżsi krewni i spadkobiercy zjechaliśmy się na pogrzeb; prócz księdza gwardyana, którego żałobnie mieć będzie kazanie, nie mogliśmy z obywateli w okolicy nikogo znaleźć, coby mówkę pogrzebową, obywatelską, umiał powiedzieć.—Ciebie Bóg w przykrój zesłał potrzebie.

Alfonsie! uderz się w czoło; jesteś dosyć rozumnym człowiekiem, i prawisz tak niestworzone rzeczy. W życiu mojem nie słyszałem, że Nalewe czy Przylewa żył na świecie, a przypuszczając iż o nieznanym mi człowieku mógłbym wspomnienie uczynić, gdzież jest podobieństwem w jednej chwili zebrać szczegóły z jego istnienia, gdzie się rodził? czy się uczył? czy wojował? czy jaką godnością, czy urzędem zaszczycony?

— Najdroższy, najukochańszy Guciu! nie wymawiaj się na próżno;—tobie łatwiej mówkę powiedzieć, aniżeli mnie list do kochanki napisać. — Augustcie! ty wiesz, że jestem twoim przyjacielem — uczyn to dla mnie. Bój się Boga duszko, jakżeż chcesz, aby go bez mówki, jakby jakiego żebraka pochować; a toćże on czterykroć gotówki zostawił. — Coby też to świat na takie *scandalum* powiedział? Jeżeli Polcię kochasz, nie rób trudności. Tu idzie o honor obywatelski. — Jeżeli pragniesz mojej przyjaźni.

Ale cóż wam się dzieje? Rozumiałem że to są żarty. Wiecież więc, że za godzinę Szczekota na rzecz Lejzura



wszystkie moje ruchomości sprzedaje, — że ja głowy nie czuję na karku, że się podemną świat pali.

— Guciu! my Lejzura z duszą i z ciałem zapłacimy.

— Ale cóż mi z tego, kiedy on, powiadam wam, za pół godziny sprzeda mój inwentarz.

— Ernescie! siadaj — wszakżesz Szczekota twojemu stryjowi zawdzięcza swój urząd — napisz mu, aby się nie ważył w Sękach żadnej rozpoczynać czynności; niechaj tu przyjeżdża. — I ty Nagelknopfkupóślij mi zaraz karteczkę do Lejzura, z zapewnieniem, że jutro odbierze swą należność; — hultaj, jeszcze mi za pszenicę winien. — Auguście! słyszysz?! dzwonią... Jeśli masz iskrę litości w swém sercu...

Stało się! cóż z wami robić! Nagelknopf większego szkła! — Czcigodni! i najszlachetniejsi bracia! wasze zdrowie!.. Ceniom nieodżałowanej pamięci Jerzego Błażeja Przylewy — i palnąłem potężny kufel złotego płynu.

Walny z niego chłopiec — w twoje ręce Auguście! «Sandomierskie, kochajmy się»

Jeszcześmy szostej nie skończyli butelki, gdy chorągwie cechów, światła bractw, dom Nagelknopfa mijają.

Ale jakżeż ja w zielonym surducie, z czerwonym na szyi wiązaniem?.. Bartłomieju! biegnij co żywo do pana podsędka, proś go na miłosierdzie Boskie o czarny frak. — Héj Bartłomieju! i o czarną chustkę, i o rękawiczki! — Faktór (a było ich kilku na pogotowiu) ot 5 złotych! ruszaj — jeden, 2 lub 3 łokcie krepy! —

— Jakiego koloru?

czarnej osle! nie różowej.

— Z przeproszeniem, bez urazy pońskiej, Abrahamka co dopiero wysłała konnego do drugiego miasta po więcej towaru, bo wczoraj czarne wykupili panowie!..

— To przynieś brązowej, czekoladowej, tylko wracaj!

Tym czasem niegodziwy golibroda kilka razy mię szkaradnie zarznął; wszyscy wybiegli, jeden Ernest na straży przy mnie pozostał.

Już X. Gwardijan wymownym głosem skończył pochwałę zmarłego, już trumnę nad roztwartym postawiono grobem — gdyśmy z Ernestem bez tchu do kościoła wpadli.—Frak pana podsędka o wiele mi był za przestronny; w czarnej jego krawatce, jak gdyby w krakowskiem chomencie, szyja moja biegła; z brązowej gazy trzy ogromne kokardy na lewej ręce; —twarz zarumieniona; —bibułą opatrzone sączące znaki brzytwy, i mocno sapiący nos, stanowiły całość. — Wszystkich oczy zwróciły się na mnie; — zimny pot wystąpił na czoło; Bóg świadkiem, nie wiedziałem co i jak począć?.. Szczęściem, Walery szepnął mi: «urodził się nad Gopłem, uczył się w Trzemesznie — był przez rok cały liwerantem, umarł bezpotomnie wczoraj». Patronie obłąkanych myśli! —westchnąwszy —w następujące odezwałem się słowa:

*Życie jest snem, śmierć jest przebudzeniem!*—Kiedy twórcza potęga przyrody, świat w odmęcie słabych zawiązków poczęty, w istnienie trwałego bytu zreczywistniła, kiedy wiedza ducha wzbiła się nad wyobrażenia zmysłowości, w ówczas już i życie człowieka przeszło w zakres smutnego przeznaczenia.— Od kolebki aż do grobu, na tej popędem czucia

niezmierzonej przestrzeni, igrający przelot ułudnych wrażeń, ściga nas po wszystkich żywota kolejach, on to ciśnie bólem serce, rzuca na krańce do tkliwych wspomnień, jaśniej chwata — żyje i ginie w obrębie nowego świata. Któżby się jeszcze przed kilku jutrzenkami był spodziewał, że się tu dzisiaj wieńcem żałoby stawimy? któż mógł przewidzieć, że mąż pełen siły, woli i życia, runie ofiarą nieprzebraną śmierci, że nas czarnym okryje kirem. W boleści i nieutulonym żalu pogrążeni! z jakimże osmuceniem widzę konieczność ręką żelaznego losu tłoczoną, u drzwi grobowych, u wrot wieczności, nieść tę ostatnią zmarłemu przysługę. — O ty! co tór ziemskich pojavów jedném skinieniem w hydrę pamiątek zamieniasz, a w niedościgłych serca ludzkiego uczuciach, kamiennym rylcem, lata, dni, godziny oznaczasz, otocz nas męstwem, klórego srogi cios wymaga; — dozwól, aby mój głos pocieszenia do tkliwych rzewnego marzeń przeszedł obłądu.

Jerzy Błażej Przylewa urodził się 1787 r. w dobrach matki swojej Scholastyki Petronelli z Łodygów, po nad Gopłem, w mieście Kruszwicy. — Ojciec Błażeja odumarł go gdy jeszcze matem był dziecięciem; natomiast troskliwa i przywiązana matka, otoczyła jedynego syna tym splotem macierzyńskiej miłości, którego niezłomne znamie widzieliśmy w całym życiu Błażeja. — Długo, długo, drogie dziecię na łonie matki używało spokoju, lecz nadszedł nielitościwy czas nauk.

W Trzemesznie miało na Błażeja spłynąć to wyższe ukształcenie jakie się znakomitemu należy rodowi, i już 20 wiosnę liczący Błażej najpiękniejsze mógł ro-

kować nadzieje, — gdy żądza sławy przeniósła Błażeja z przedsionka Muz na pole straszliwego Marsa.

Pamięć to zapewne Kaspra Przylewy, wpływ matki, a nadewszystko zdolności samego Błażeja, stały się powodem, że mu poruczono trudne a ważne obowiązki kommissanta liwerunkowego.

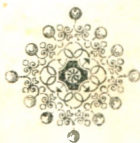
Nie jest to w zakresie mowy mojej wyliczać wojenne zasługi Błażeja, — znajdzie się karta dziejów ojczystych na której dłoń nieśmiertelności pochwyci tę piękną lauru barwę i zaiste kwiat niezapomnienia z niego odłoni.....—Po skończonej wyprawie, powrócił Błażej pod strzechę rodzinną i szablę na lemiesz zamienił. Odtąd byliśmy cnót jego świadkami. Lekkim prądem cichego strumienia i wirem zachwyty toczony, w jedno ognisko zestrzelił tajnię pomysłów i do szczęśliwego przy płynął celu. Ścieśniona brew żalu, na bławatnem niebios półkolu, parta częściej myśli zadumą, przemija nad zgłiszczem starożytnej odrośli. pozostaje jedynie siła samoistnienia w rozgłośnym śpiewie łzą błyszczących powiek. Przeminęłaś więc czarna nocy pogodnego przestworza; Nielitośna parka zgubnym żelazem nic życia przecięła; — lecz się nie ciesz okrutna śmierci obrzydłem zwycięstwem, paszczą hyeny napróżno szukasz zdobyczy! nie,—niewydarłaś Błażeja z serc naszych. Tu, tu, tu on wiecznie żyć będzie, dopóki granic naszego starczy żywota! otrzyjcie więc zwilżone potokiem łez powieki, rozjaśnijcie pierścieniem żalu i spleźnym rumieńcem owiane lica, z górnych niebios sklepień patrzy na nas Błażej; tam, tam, tam nas oczekuje jego dusza anioła. Żegnam cię drogi cieniu — cześć i sława twoim znikomym popiołom!..



Westchnienia i łkania licznie zgromadzonego ludu starczyły za najoczywistszy dowód, że w tętno słuchaczy trafiłem, i byłbym może więcej czułe rozrzuwnił serca, bo jakoś na dobry tor wbiegłem, ale mnie sąsiad mój, pan Kazimierz, zbił z drogi, któren uwiadomiony że mam mówkę pogrzebową improwizować, poza filarem płacząc ze śmiechu, szybkim ołówkiem więził na papier myśli moje; — widząc go, jak całą chustkę w usta wtłoczył — o mało żem i ja się na głos nie roześmiał, a było to właśnie w tę chwilę, gdym wołając «tu! tu! tu!» po sercu się biłem.

W przeciągu kilku godzin odpisano mnóstwo egzemplarzy rzeczonej mówki, dostał się jeden i w ręce moje zgodny z oryginałem. Dodać jedynie winien jestem, że całą noc już nie u Nagelknopfa, ale u pana Jmbiera szwagra Szczekoty, piliśmy na zabój; i że nazajutrz poczciwi obywatele z pogrzebu, rzeczywiście dotrzymali słowa. — W roku dopiero zeszłym resztę długu na owę pogrzebową mówkę zaciągniętego, szczęśliwie zapłaciłem.

Bogdaj to z obywatelstwem, z sąsiadami! stanowczą, z szczerego serca przynieśli pomoc, — za jedną chwilę natchnienia. —





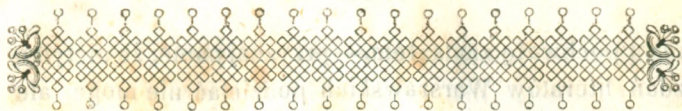
**LIST DO REDAKCYI  
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**

**I LIST DO WŁODZIMIERZA**

pisanay z Moskwa.







Warszawa 15 Września 1844 r.

## MOŚCI REDAKTORZE!

Kiedy *wielki krytyk*, pan Michał, listy swoje drukiem ogłosić raczył, i kiedy czyniący nakład, umiarkowaną cenę 22 złp. za dwa tomiki oznaczyć i nam te książeczki do Warszawy przysłać był łaskaw, — posyłałem u nas wiele złośliwój o tём mowy, a byli i tacy, którzy w przepętnionėj niesprawiedliwości, ogłoszenia *własnych* listów mieszczących *dorywkowe widzi mi się*, zarozumiałością nazwali. Co do mnie, który w tych listach obok wyraźnej dla Thiersa niełaski, obok surowej a nielitościwej dla wielu autorów nagany, dla siebie

miłą pochwałę znalazłem,—przyznaj panie, że nietylko zdań literatów Warszawskich dzielić nie mogę, ale przeciwnie *zmuszony* jestem *wielkiego krytyka* uwielbiać, bo on to moję wartość od razu poznał, ocenił, i do nieśmiertelności przekazał. Otóż w uczuciu literackiej wdzięczności, zamierzyłem drukowanie listów, o ile będzie można, upowszechnić: — jakoż daj Boże doczekać, na rok przyszły, wszystkie moje listy zebrawszy, odeślę je pod prasę. Tymczasem dla zrobienia początku przesyłam ci panie do Rozmaitości Biblioteki Warszawskiej na miesiąc marzec, jeden z listów moich, pisanych z Noskowa 1837 r.; w czém tę chwilową znajduję dogodność, że obecnie kończąc dawno rozpoczęte dzieło pod tytułem: *»Jak szlacheckie dzieci chować należy, ażeby się stały źródłem umartwień dla swoich rodziców, ciężarem dla społeczeństwa, a pociechą dla Lucypera«* — czasu do napisania pomniejszych ramotek rzeczywiście nie mam. Przy tém wszystkiem, uprzejmym waszój miłości rozkazom pragnę być zawsze powolnym.

#### LIST Z NOSKOWA.

*Nosków 1 Kwietnia 1837 roku.*

### *Kochany Władziu!*

W ostatnim liście doniosłem ci, że JW. prezesowa z Kozery, na imieninach u hrabiego w Dymnicach, publiczny z majorem Ostrołęskim uczyniła zakład, że każdego człowieka bez wyjątku, pozna z postaci i z rysów twarzy, jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. Wielu z obecnych i ja z niemi, natychmiast winszowaliśmy wygranej majorowi; — ale znaleźli się i stronnicy

prezesowej; ostatnim przodkował filozof od ciemnej gwiazdy, sławny odszczepieniec XIX stulecia, baron Bartoguski, ten sam, który pracuje nad dziełem *»o użyciu wywarów na karm dla ludzi roboczych;«* — a nawet pan baron oświadczył, że do połowy zakładu należy. Po skończonej stypie, major i kilku młodzieży na noc do mnie pojechali. Długośmy radzili kogoby obrać z plebejuszów, któryby naszym przeciwnikom nieznanym, rolę patrycjusza trafnie odegrał; — aliści szczęśliwie przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniej przeto wytworny światowiec, Szczepan... syn trębacza od fary poznańskiej, a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy; Szczepanek, z którym do gimnazjum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy zgodzili się na to, ażeby pana Szczepana cichaczem, jak najrychlej sprowadzić. Tężże samej nocy odesłałem list na pocztę do Wielko-polski. Przysiękliśmy sobie milczenie, i nazajutrz każdy do swojej wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nieomieszka. Upłynęło dni 10, a ani Szczepanka, ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku mej prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziedzińcu i w tężę chwilę wtoczył się do pokoju szopami okryty, zaśnieżony, atletycznej postawy, wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka z małym tłomoczkiem. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpisałem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli. Nie czekając na obiad, rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przedewszystkiem oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecny przesąd upokorzyć. O szczegółach

naszej wielkiej ostatecznej rady, dowiesz się z czynów które kryślę poniżej. Tutaj przytoczę część mojej dodatkowej z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolność nio obawiał.

— Pamiętaj tylko Szczepanku gdy przyjedziemy pomiędzy te wrony egipskie, że winienes mówiąc po polsku używać często składni francuzkiej, i wyrazy polskie przeplataj o ile można cudzoziemskimi; takie papuzie majaczenie różnemi językami za najwyborniejszą posłuży ci maskę, i nie szczędź tą razą drogiej mowy naszej,— kalecz, morduj każdy okres, każde słowo, każde ust roztwarcie.

*Szczepan.* To się samo przez się rozumie. Czyli mnie masz za *nowicjusza* w salonach?...

— Nie, nie, ale widzisz ja wiem o ile ty lubisz mową rodzinną, o ile nią czarująco władasz.

*Szczepan.* Jako syn ludu, zaprawdę nie wmieszam obcego do polskiej rozmowy wyrazu, ale gdy będę hrabią Ademarem, oh! oh je vous assure que je ne saurai exprimer moich uczuć inaczéj, jak po salonowemu. Alboż ty myślisz że i u nas w Wielko-polsce tego rodzaju paplotanie, do dziś dnia, w tak nazwanej wyższej koteryi, najmodniejszym być przestało?.. Niestety! francuzczyzna jak dawniej tak i obecnie jest u nich jedyną świątynią umysłowości, a dzieła i pisma czasowe w języku polskim, dla średniejszej szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne, żem szczęśliwie wybrał Szczepanka, i istotnie serce jego dobrze uczuło i pojęło, o co nam idzie.

W kilka dni potem chyża wieść z wioski do wioski, zdworca do dworca zaziajanym telegrafem biegła, że



do mnie wprost z Madrytu przyjechał Ademar hrabia Firlej; że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod pugnatami włoskich bandytów; że matka Ademara jest księżniczką hiszpańską de los Manos Espinada; że Ademar dla tego Madryt opuścił, ponieważ się w nim pokochała królowa a na związek takowy kortezy nateraz zezwolić nie chcieli, i t. d. i t. d.

Pani Paplecka, dziedziczka Milczącój-Wólki, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone, lękając się aby się ktokolwiek z ust innych o tém nie dowiedział, z *pościelą* na objazd powiatowy wyjechała, i podobno że najlepszą ochwaciła fornalnę,—ale też za to przed ostatnim wtorkiem stanęła u prezesowój, do której na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem, przez siostrzeńca pani prezesowój, zaproszony byłem.

O godzinie 4<sup>tej</sup> z południa, w największej paradzie zajechaliśmy przed pałac w Kozarach. Wszystkie dolne szyby, a nawet niektóre z górnych, mozaikowane były różnorodnemi twarzyczkami damskimi, w pośród których tu i owdzie najeżone mężczyzn wąsy, komiczną stanowiły sprzeczność. Pod kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowój, hrabia Szumiłto, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozarach i niezmordowany angielskiej gitary zwolennik, a francuzkich arjetek zapalony miłośnik.

»Grzeczność łaskawego sąsiada miłą zawsze dla nas będzie powinnością« wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszeni, mniemanemu Firlejowi, tak się bardzo nisko uklonił, że o mało równowagi nie stracił.

Prezesowa spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu, i przyspieszonym kołysaniem

starła się pierwój od nas do środka salonu dobieżyć. Jakoż w samym środku miałem zaszczyt wygłosić:

— Madame j'ai l'honneur de vous presenter M. le Comte Firléj.

Wyrazy *le Comte Firléj* wymówiłem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując o zgrozo! i dam! *churmem* powstało. Pani prezesowa usunąwszy się pół kroczka wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia Firléj nieruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzejmém uszanowaniem okolił usta, i piękném narzeczem salonów paryzkich, wyrzekł w języku francuzkim, głosem umiarkowanym i słodkim:

— Pani! zaszczyt być przedstawionym pani prezesowej, zwiększa się dla mnie familijném uczuciem, — albowiem nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne drzewo przodków moich.

Prezesowa słysząc te wyrazy wymówione w obec *tego* sąsiedztwa, ogłaszające że z Firlejem jest spokrewnioną, łzami radości małeńkie zwilżyła oczy, a przymrużając je rokosznie, drżące zaimprovizowała westchnienie.

— Ach! ileż to razy moi rodzice wspominali.... Co do mnie, ubogą jestem w wyrazy, aby moję radość wystawić, że tak godnego poznaję kuzynka.

— Pani! zaprawdę ten dzień szczęścia mojego, do najtkliwszych pamiątek policzę.

— Jak się miewa mama hrabiego, o której wysokich przymiotach tak wiele słyszałam, którą mieć szczęście poznania, dawno jest moim najgorętszém życzeniem.

— Merci! mon maman jest zdrową, zostawiłem ją w *Madrid*.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i włoskie i angielskie mieszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechałeś z Madrytu?

— Quelques jours après rok nowy.

Całym towarzystwem otoczeni, w małej processyi, zbliżyliśmy się do kanapy; Ademara usadzono na wielkim fotelu,—panie ciśnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabim Firleju. Niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słowa;—natomiast Paplecka z milczącej Wólki, chwytając mnie grzecznie za rękę, odwiodła na stronę i spytała skwapliwie.

— Jak długo hrabia w Polsce zabawi?

— Zależć to będzie od listów z Madrytu.

— Czy matka hrabiego istotnie księżniczka?

— Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona.

— I pan znasz hrabiego?

— Od lat 26, małym jeszcze dziecięciem.

— I pan hrabia znajomi się z panem?

— Zaszczycą mnie swoją przyjaźnią; — podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— W których krajach?

— We wszystkich częściach świata, — od Chin do Lizbony, zwiedziliśmy wszystkie miasta i miasteczka; niemal każdy zakątek na którym historia świata, swą czarującą położyła pieczęć.

— Ja nie wiedziałam, że pan tyle podróżował; bardzo przepraszam.

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdym się na Ademara obrócił, spostrzegłem, że wszyscy jak w cudowną tęczę, weni oczy wlepione mieli. Nawiasowo, a najgrzeczniej, właśnie go egzaminowała prezesowa, co do jego stosunków majątkowych. Hrabia odpowiedział, że podróż jego do Polski ten tylko ma cel, aby rozpocząć proces o spadek ojczysty, co zas do macierzystego majątku — dodał niedbale, — że należy do les plus brillante en Espagne.

Półgłos 1szy: Il est czarujący. 2gi Jakie ułożenie! 3ci Co za edukacja! 4ty Załuję, że nie przyjechał Ostrołęski, przekonalibyśmy go, jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie. 5ty Vous avez raison ma petite. — Nie co głośniej dodała prezesowa: mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z Firlejami. — Półgłos 6ty: ale on przez matkę daleko wyżej stanął. 7my *Paplecka*. Tak, krew Burbonów w nim płynie; czy on się też ożeni?.. 8my O! z pewnością! ale z kim?

— Rozumiem, że nie w Polsce 4. Naturellement! si riche! może sobie i za granicą poszukać księżniczki. 5. Kto wie? może jego matka nie bez przyczyny bawi w Madrycie. 6. O jakby to było chlubnie dla naszego narodu! gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanii! 7. *Paplecka*. Żeby mu to napomknąć, co też on na to powie?....

— 1. Mon Ange, nie wypada, należy szanować tajemnice polityczne.

Następnie *Paplecka*, zapominając, że już roczek 40 jej życia przeminął, że spuszczone na dół oczyma nie śmiało hrabiemu uczyniła zapytanie, jak znalazł swoje rodaczki; czyli się zgadza z głosem całej Europy, że Polki przodkują płci pięknej całego świata.

— Mając szczęście konwersować do pani, je ne



blasserai la verne kiedy oświadczę, że tych uczuciów z całą Europą zawsze podzielę.

— 1. Co za grzeczność! 2. Jakie słodkie wyrażenie! 3. Jaka odpowiedź *a propos*. 4. Co za usta! 5. Jakie zęby! 6. Co za nos! 7. Co za oczy! 8. Co za włosy!

*Barłoguski*. Cała postać zachwyca i zniewala razem. On jest istnym Appolina polskiego obrazem. Ale bo też to wszystko pochodzi z wysokiego urodzenia.

Z razu na cicho wyrzeczone pochwały, niezadługo zamieniły się w głośne uwielbienia, których hr. Firléj słuchał bez zarumienienia, niekiedy tylko lekki ukłon świadczył, że był łaskaw przyjmować należną mu cześć.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów, tych wszystkich hołdów jakiemi z ubliżeniem własnej godności wszyscy obsypali mniemanego Firleja. Barłoguski odzywał się do naszego Szczepana z taką uniżonością, że zdawało się jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podléśnego się starał. Prezesowa o mało że całego słownika dla wyrazów *«mon cher kuzynku»* niezapomniała; a syn trębacza widząc ile ją swojem kuzynostwem uszczęśliwił, co chwila także *ma respectable cousine!* często powtarzał. Wystaw sobie do jakiego stopnia pomieszało się w głowie Barłoguskiemu, że ile razy Firléj do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał, i mimo grzecznych prośb siedzącego, dopóty usiąść nie chciał, dopóki Firléj wszczętój z nim rozmowy nie ukończył. Podczas wieczerzy przyjechał Ostrołęski. Prezesowa przy przyjęciu pocałowania swój rączki, szepnęła mu z cicha: »Majorze *connaissez vous le Comte Firléj*. Otóż-to z pierwszego wejrzenia poznasz wysokie urodzenie. — *Savez vous*, on jest moim kuzynem, rodzi go hiszpańska księżniczka de los Manos Espinada.«

Major odpowiedział głośno: »pomówimy o tém potém.« Prezesowa się zmieszała, i ze zwykłą kobiecie przenikliwością, z tych kilku wyrazów majora domysławiając się reszty, pełnym rozpacz i wzrokiem na mnie rzuciła. Mimo wszelkiej usilności, śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa zbladła, zsiniała, i nagle, z zadziwieniem całego towarzystwa, udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął. Paplecka bezzwłocznie wracając od prezesowej, prosiła mnie abym za nią pospieszył. Wyznaję ci mój Władziu, że mnie trochę zimno przeszło, wypitem więc dla lepszej odwagi całą szklanę czerwonego wina, utarłem serwetą usta, i udałem się do prezesowej. Prezesowa siedząc na kozetce, mając przed sobą trzy wielkie flakony z trzeźwiącemi kordjami, głosem drżącym i słabym, prosiła, abym się do niej przybliżył— i po cichu na ucho spytała: »Panie Auguste, powiedz mi pod słowem honoru, co to jest za Firléj? czyli mnie tylko za bardzo nie skompromitowałeś?«— To jest, również cicho doucha odpowiedziałem, Szczepan, syn trębacza od Fary poznańskiej. Prezesowa wrzała i *na doprawdy* zemgłała. Ile tylko było białogłów, wszystkie wbiegły na krzyk Papleckiej, mężczyźni powstali od obiadu, zrobiło się wielkie zamieszanie.

Korzystając ze szczęśliwej chwili, już się z Firlujem na dziedziniec wymykam, aliści mnie w sieni Paplecka za poły schwyciła, prosząc błagalnie: »Panie Auguste! przełitość powiedz mi, coś ty szepnął prezesowej?«

— Zmiłuj się pani, puszczaj mnie, nie mogę — zdradziłbym tajemnicę stanu.

Ciekawość Papleckiej nie znała granic. Klęka i woła: »w imię Boga! wyjaw mi ten sekret bo w twoim ręku zemgłeję!«

Lękając się nowego wypadku, nachylałam się do ucha Papleckiej:—Pani możesz mnie zgubić!—Gdyby moja matka z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem.—Mniemany Firléj, którego pani poznałaś, jest Lucijan Bonaparte. Paplecka skamieniała, —ja z Firlejem skoczyliśmy do pojazdu.

Wczoraj słyszałem, że Bartoguski i szambelan, za mniemaną obrazę prezesowej, pojedynkiem się odgrają. Co się dalej stanie, doniosę; obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski objadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki i bratnie uściski — szczerze cię kochający.

*Au. Wi.*







◊ POTRZEBIE

**ZAŁOŻENIA U NAS BIBLIOTEK**

**I ZESTOWARZYSZEŃ AGRONOMICZNYCH**

**W KAŻDYM POWIECIE.**

OF THE

NATIONAL ACADEMY OF SCIENCES

AND OF THE NATIONAL ACADEMY OF ARTS AND LETTERS

OF THE UNITED STATES OF AMERICA



***O potrzebie założenia u nas bibliotek  
i zestawiarzyszeń agronomicznych  
w każdym powiecie.***



»Kiedy z książek niegospodarowano, Polska była spiżarnią Europy, twój dziad i pradziad książek agronomicznych nie znał, a miał więcej czerwonych ze złota, aniżeli ty uczonych gospodarzy zwolenniku, masz białych ze srebra złotówek.»

Takim to rozrzucającym argumentem cisnął na mnie jeden z tych dobroduszných spółobywateli, którzy prócz odłamków wiadomości z kalendarza Pukszty, żadnego w życiu swojem dzieła agronomiczno-naukowego, rozumującego, ani znał, ani wiedział, a tém mniej do rąk wzięt.

Czytałem ja kilka książek o gospodarstwie,—odezwał się *drugi*, niby to nieco mędrszy,—żał się Boże grosza, który na ten cel zmarnotrawiłem. Czy pan dobrodziej rozumie—pochwyć *trzeci* za słowo,—że te książki piszą ludzie mający jakowe dobro na celu?—są to panie dobrodzieju! goley i próżniacy, którzy chcą żyć cudzym kosztem, i z tej przyczyny siłą się na różne koncepta. Człowiek często, aby się pozbyć natrętnego, lub też przez szczegółowe stosunki, czasem z litości nad zgłodniałym, kupi od takiego mędrca kilka tomików jego agronomicznych bredni, ale nie głupim je czytać, tém mniej stosować się do nich.»

Żadna reguła bez wyjątku, ale co do ogółu naszych właścicieli i dzierżawców, powyżej przytoczone głosy są powszechne. Nastuchałem się panów pierwszych, drugich, i trzecich, do woli;—napotkałem ich w każdym powiecie jakby nasiał,—a obywatela, któryby do wiejskiego gospodarowania szukał obszernych wiadomości, któryby obok tego, że niegardzi miejscowem doświadczeniem siwo-włosego karbowego lub kmiotka, był ciekawym dowiedzieć się z książki, jakie uczyniono postępy na drodze badań agronomicznych, któryby ciągle i pilnie dzieła naukowo-gospodarskie czytał, i przeczytane porównywał, z przeczytanych dostrzegał, nowych odkryć probował w małej, wprowadzał na większą skalę do praktyki gospodarskiej,—takiego obywatela, na pięćdziesięciu właścicieli, a na trzystu dzierżawców, ledwo że jednego, i to nie we wszystkich stronach naszego królestwa, napotkać można. Panowie pierwsi, drudzy, i trzeci, z tuzinem od-cieniów, niedbalstwa, uporu, ograniczoności u starszych, a lekkomyślności u młodszych, chyżo przyj-



mując z zagranicy wszystkie mody i narowy zbytku, umiętnej sztuki gospodarowania przyjąć nie chcą;— niepomni, że ich prywatne majątki są majątkiem całego narodu, że na nich ciąży odpowiedzialność za ubóstwo całego kraju. Partacząc przedpotopowym regulaminem, nie chcą chodzić w złotych szatach, lecz kontentują się łachmanami,— a o *dobro ogółu* tyle się troszczą, co Kruczek o piątą nogą. Jeszcze u nas nie minęły czasy, że rodzice nieudarzoną dźwiatwę nieuków, leniwców, do wiejskiego gospodarstwa zaprządzają, a dla zdolniejszej młodzieży, rozmaite inne, ale nie rolnicze wyszukują zatrudnienia. Ile na tem traci tak moralne jak i materijalne szczęście kraju, trudno obliczyć; to pewna, że straty są olbrzymie, bo wszystka niedola wieśniaczego ludu, i całe ubóstwo naszego rolniczego, szczodrze od natury uposażonego kraju, od naszych właścicieli ziemskich ograniczoności umysłowej w użyciu patryarchalnej względem chłopków władzy, (o czem w oddzielnych uwagach zdanie moje objawię) i od naszej gnuśności w zawodzie materijalno-rolniczym, głównie i po szczególe zależy. Anglija i Niemcy, dla których kraj nas niegdyś był spiżarnią, pośpiesznie dążą na najwyższy szczebel znamienitości rolniczej,—my żółtym czołgamy się kroczeniem. Ameryka, ta olbrzymiej rozległości część świata w powiększaniu uprawnych pól, zdaje się żadnych nie mieć granic; amerykańskie zboże z przyczyny klimatu, dobrocią i suchością do wodnych przesyłek, o wiele nasz towar przewyższające, zaścięta nietylko targi angielskie ale już i niemieckie,— a my się jeszcze za żywicieli Europy, za bogaczy uważać będziemy? Czyliż ochydne kartoflane gospodarstwo, wiecznie ma u nas po-

zostać najwyższym szczeblem postępów rolniczych? — czyliż nie zabierzemy się szczerzej do uprawy buraków na wyrabianie cukru, za który tyle milionów z ubogiego naszego kraju wychodzi? — czyliż powszechnie nie pojmiemy tego zakątu, jaki nas słusznie obarcza, że będąc krajem rolniczym, za lniane wyroby, milijony za granicę wysyłamy? Nieposzukamyż innych źródeł zamożności nad te, któreśmy po przodkach odziedziczyli, a których wartość w nowych stosunkach świata, tak bardzo się zmniejszyła. Nędzne nasze gospodarstwo rolnicze nie znajdzież powszechniej odmiany?.... Czyliż zamiłowanie jawnego ubóstwa ma się u nas stać nałogiem w naturę zmienionym? — przemysłem rolniczym będziemyż wiecznie pogardzać?.... Książki agronomiczne, rozumowa nauka gospodarstwa, czyliż się pośród nas nigdy nie rozpowszechnią?.. Z szaloną nagłością dokonana zmiana całego na raz gospodarstwa, gubi; zmiana rozsądna, kolejna, z bogaca i uszczęśliwia. Rolnicy! uczmy się! sromotą jest dzisiaj poprzestawać na agronomicznych wiadomościach, których nam udzielił karbowy, lub harapnikiem zbrojny ekonom: uczmy się, bądźmy w nauce pilnymi, na pojęciu nam nie zbywa, chciejmy tylko, a wkrótce zrównamy naszym niemieckim nauczycielom. Posyłajmy synów naszych do szkół agronomicznych, oddawajmy ich w przymusowe obowiązki do wzorowych i umiętynych gospodarzy, — a ojcowie, czytajmy w domu co się, i jak się dzieje w świecie agronomicznym. Dieta agronomiczne, ten podatek każdemu stokrotnie się nagrodzi; mniej galonów i szescio-złotowych guzów herbowych na biodra, kłapcie i tyłki lokajskie — więcej książ-

żek; mniej balów, więcej zgromadzeń agronomicznych, których opis w Rocznikach Gospodarstwa Krajowego umieszczony, pan F. S. kartoflanych gorzelni obrońca, w n. 87 Korrespondenta Rólniczego z 1843 r., w grubém niepojęciu, sielankami nazywa. Mniej przebrzydłych francuskich romansów, więcej pism agronomicznych; mniej odwiedzin miasta, owych karnawałowych kadencyi, mniej służby djabełkowi (lancusiowi) faraonowi, więcej książek;—mniej czasu na wieczory wistha, więcej czasu na czytanie książek;—mniej kosztownego napoju, mniej wybrednego jadła u francuskich restauratorów (boć nawet i zdrowsza Polska strawa) więcej książek:—ujmijmy sobie tylko po odrobinie z każdego zbytkowego wydatku, a stanie nas na kupienie dostatecznej ilości dzieł pożytecznych; że zaś przy szczeręj chęci, do czytania czasu każdemu starczy, o tém wszystkich leniwców najuroczyściej zapewniam, a tym którzy by się krótkim wzrokiem wymawiali,—polecam wyborne, wzrok wzmacniające okulary u optyka Bachmana na Podwalu, za ceny najumiarkowańsze. Ale ten głos mój jakże małą liczbę uszu doleci?... Ci właśnie panowie, którychbym prawdą moich wyrazów przeniknąć chciał, którzy tej odzwym potrzebują, zaprawde książek nie czytają. Piotr usiadł na kotle parowym w gorzelni i oresztę agronomicznego świata nie pyta; wydał tysiące na miedz, zapłacił rozum który mu gorzelnię urządził, grosza na żadną książkę nie wyda; prędzej dałby kilkadziesiąt złotych składki na postawienie promnika nieśmiertelnemu Pistorijuszowi;—Paweł wie, że w żadnej książce sposobu zwiększenia ilości pańszczyzny i ulubionych darmochoów nie wyczyta; Jakób wyjechał na jarmark

kwoli dobrego ponczyk u Abrahmki; Jerzy procesem zaperzony o dwie morgi krzaków i o zniesienie karczmy którą mu sąsiad na klinie granicznym o sto kroków od jego bachusowej kaplicy wystawił, pisze adwokatowi instrukcją do appellacyi i ładuje dlań 500 złp.; Wojciech w ogłności czytać nie lubi, i już siódmy rok jak bez przerwy gra w wistha; — Staś z żydami prowadzi bezprzerwne układy i zajęty jest wymazaniem z hypoteki dożywocia matki swojej; Władzio wyjechał do Włoch; Alfons utrzymuje, że w jednym dniu od króla Faraona na Krakowskiem-Przedmieściu więcej zyskać może, aniżeli przez trzy lata nudnej gospodarki na wsi, — a z przysłałych mu Roczników Gospodarstwa Krajowego, kazał porobić fidibusy do zapalania fajek, — nadto on nie potrzebuje wiadomości agronomicznych, dla niego gastronomiczne u Marego są wystarczające, — dobra wypuścił w trzechletnią dzierżawę panu Zgoninie, a pan Zgonina na trzechletniej dzierżawie, osobiście od rana do wieczora pilnując wymłotu, jak żyw nie słyszał, że są ludzie którzy piszą o gospodarstwie. Potrzeba przeto szczegółowej siły elektrycznej aby tę zgraję do życia naukowego w zawodzie rolniczym pobudzić. Czcigodni obywatele! wy którzy na tę nazwę rzeczywiście zasługujecie, wy jedynie moglibyście waszych ku dobremu nieskorych, niechętnych lub niedołącznych sąsiadów, na rozumniejszą naprowadzić drogę. Silni wciąż i powszechnym szacunkiem, uczynicie prywatne do waszych sąsiadów odezwy o składkę na zakupienie dzieł agronomicznych ku spólnemu użytkowi służyć mających. Pierwszy początek w tej mierze najłatwiej uczynić przy wyprawieniu uczty swoich imienin. Przy-



puszczając, że się zjedzie dziesięciu sąsiadów, — gospodarz solenizant, po obiedzie, (w którym to czasie nasze animnsze zwykle już żywszym goreją ogniem) płeć męską zaprasza do osobnego pokoju, — wnosząc omszałego węgrzyna, pije się »Obywatelskie Zdrowie« poczem jędrna wymowa ogłasza projekt; — równocześnie podają arkusz papieru, atrament i pióra, solenizant gospodarz pierwszy wpisuje: »Celem zakupywania książek agronomicznych i modeli na ulepszone narzędzia gospodarskie, na spólny naszego powiatu użytek służyć mających, wypłacę po strzyży owiec złp, I. rocznej składki, z każdej włóki ziemi przezemnie posiadanej; (dzierżawca płaci tylko 15 gr. pol. od włóki folwarcznej), nadto zobowiązuję się jednego jeszcze z moich tu nieobecnych przyjaciół do równiejsze składki nakłonić, w przeciwnym razie składkę podwoję. Taką sumę rok rocznie płacić uroczyście przyrzekam i obowiązuje się, dla spólnego dobra naszego, — na co się własnoręcznie podpisuję. N. N.

Że czcigodnemu solenizantowi żaden z szanownych gości nie wymówi się od podobnego zapisania się, wątpliwości nie ulega. Dalsze formy jako to: wybór wykonawcy, ustanowienie kolejki rozsyłania książek, oznaczenie ilości czasu do czytania, łatwo się wypełnią. A tak w jednym powiecie, od razu stworzyłoby się 20 członków; — w przecięciu licząc na każdego włók 50, a więc złp. 50, — powstałaby przeto summa złp. 1000 rocznie; — przez lat 10, gdyby się liczba członków i zwiększyć nie miała, urosłoby do 10,000 złp. — Jakże to sporą za te pieniądze biblioteczkę skupićby można. Należałoby do tego zaprowadzić zjazdy w mieście powiatowem pod prezy-

denciją Naczelnika Powiatu np. co kwartał odbywać się mogące;—na których to zjazdach byłaby wymiana ustnych zdań o czytanych dziełach, z czego z czasem wyrodziłyby się rozprawki na piśmie, wyborne, bo miejscowe materiały do agronomicznych pism periodycznych. Najobojętniejsi niechęć się wyłączać z ogółu, zwabiliby się i wciągnęli zwolna; powstałoby życie naukowe w naszym gospodarstwie,—a w kraju którego najgłówniejszą rzeczą i bogactwem jest rolnictwo,—rząd opiekunicy nieodmówiłby swęj sankcyi tak pożytecznym zamiarom. Dla obywateli czyniących początek w tym celu, dla podejmujących trudy wykonania i zaprowadzenia porządku, należeć się będzie znakomita cześć i wdzięczność narodu. Wiecyste kosztem spólnym zadzierżawienie małego folwarku już nie wkażdym powiecie, ale w każdej gubernii, i oddanie tego folwarku pod zarząd uczonego agronoma, któryby wszystkich teoryi w praktyce probował; zaprowadzenie tamże szkoły dla owczary, karbowych, ekonomów, szkoły w którejby się praktycznie usposobić można w urządzaniu jedwabnictwa, pasieki, tyle u nas zaniedbanego rozmnażania ryb, szczepienia drzew owocowych, wzorowego chodowania koni, bydła rogatego, i t. d.; wyznaczenie nagród dla rzemieślników narzędzia rolnicze udoskonalających,—i tym podobne agronomiczne dążenia,—zwolna, z czasem wysnułyby się jak z rogu obfitości, z agronomicznego zestowarzyszenia obywateli, bo to co dla jednego jest niepodobieństwem, dla kilkudziesięciu przychodzi z łatwością. Mojem przekonaniem jest, że bynajmniej nieuciążliwe składki, byłyby dostateczne do stworzenia na tej drodze olbrzymich postępów w materialnej pomysłności kraju.

a każdemu sowicie by się wynadgrodził grosz dany do wspólnej skarbnicy. Do tej chwili każdy w swojej siedzi skorupie, spójność dążeń w ulepszeniu naszego gospodarowania wiejskiego, jest nam jeszcze obcą a wieści z prowincyi niemieckich, o agronomicznych stowarzyszeniach, które tyle błogich wydały owoców, które najgorliwszą opiekę rządów znalazły, rozbijają się o nasze uszy jak gdybyśmy nieuleczoną głuchotą nawiedzeni byli. Powtarzam: czyniących u nas początek zestowarzyszeń agronomicznych, oczekuje cześć i wdzięczność.

Nieład i zbytnią ogółowość, jakie się w tej mojej odezwie znajdują, tem uniewiniam, że niewidiałem potrzeby narzucać szyku myśli i szczegółowych formułek, tam — gdzie dowolność pierwszym jest warunkiem.

Po raz trzeci: czyniących u nas początek zestowarzyszeń agronomicznych, oczekuje cześć i wdzięczność.







## SPIS RZECZY

*w tomie pierwszym zawartych.*



	stron.
Przedmowa . . . . .	7
Głos pierwszy do czytelników . . . . .	9
Głos drugi do czytelników . . . . .	11
Do panów kryyków . . . . .	13
Do najszanowiejszych prenumeratorów . . . . .	16
Wspomnienie żółne . . . . .	23
Spostrzeżenia ad moralnemi chorobami XIX stulecia. (kołowaciznie literackiej . . . . .	31

Malenki odłamek z historyi mojego nosa . . . . .	49
Napoleon i żydki Swarzędzkie . . . . .	55
A. B. C. dla pełnoletnich dzieci . . . . .	61
Zemsta mlecznego brata (szkie) . . . . .	147
»Za pozwoleniem, ja państwu opowiem bardzo ciekawą historię« . . . . .	167
Moja mówka pogrzebowa . . . . .	179
List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, i list do Włodzimierza pisany z Noskowa . . . . .	191
O potrzebie założenia u nas bibliotek i zesto- warzeń agronomicznych w każdym po- wiecie . . . . .	205











Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0505377

17

4